

Angeles Caso

Pod wiatr

Janickowi le Menowi i Alejandrowi Vargasowi za ich serdeczność

Narodziny i śmierć, a pomiędzy nimi kruchość.  
Ian McEwan, Pokuta

Problem polega na tym, co każdy z nas zrobi z kartami,  
jakie przypadły mu w udziale.

Amos Oz, Opowieść o miłości i mroku

## Moja matka

Zawsze zazdrościłam tym, którzy mają poczucie, że kontrolują swoje życie. Tym, którzy z całą satysfakcją mogą stwierdzić, że sami krok po kroku budowali swoją egzystencję, układając sukcesy obok porażek, dobre doświadczenia obok złych, szczęście obok bólu, jakby wznosili solidną fortecę na szczycie skały, mocną i niezwyciężoną. Ich życie było podporządkowane własnym planom i żelaznej woli, płynącej żyłami jak krew. A stanowczość emanowała z trzewi.

Dla mnie życie jest czymś zewnętrznym, podobnym do gęstej mgły, która snuje się wokół mnie, we własnym tempie, i zmusza do określonych zachowań, niemal nie dając szans na podjęcie jakiejkolwiek decyzji. Nie stawiam kroków świadomie, kierując się rozumem i dążąc do jasnego celu, migoczącego daleko w przyszłości jak latarnia morska. Nie idę żadną drogą, żadnym strumieniem ani nawet stromą, nieprzyjazną ścieżką, wśród ostrych jak sztylety kamieni. Po prostu unoszę się w tej mgle i ile mogę, macham rękami, żeby nie zatonać. Nic więcej. Tak, czasem, przez chwilę, widzę błękitne niebo i zielone drzewa, i cudowne barwne motyle krążące wśród kwiatów. A w nocy mnóstwo gwiazd, które migoczą dla mnie jak miliony łaskawych darów. Wiem jednak, że to złudzenie potrwa tylko chwilę. Oddycham głęboko. Nabieram powietrza. Biorę oddech. A gęsta mgła, zimna i doskonała, otacza mnie ponownie wedle swego upodobania.

Zawsze byłam tchórzem. Lękliwa, wystraszona i bojaźliwa. Zawsze. Od dziecka. Uważam, że winę za to ponosi mój ojciec. Był bardzo okrutnym człowiekiem, jednym z tych, którzy przechodzą przez życie, zostawiając na innych znamię strachu, jak piętno wypalone ogniem na ich skórze. Nie chcę powiedzieć, że nas bił: nie potrzebował. Wystarczała sama

jego obecność, z której emanowało odpychające i lodowate napięcie. Jego piskliwy, raniący głos, a także biczące spojrzenie małych ciemnych oczu, dwóch niewielkich oczek gada, zadawały ból znacznie gorszy niż smaganie batem. Każdego dnia, kiedy wracał do domu punktualnie o siódmej dwadzieścia pięć, nasz świat, wypełniony zwykłymi sprawami, nagle się zatrzymywał, jakby jakiś czar zamieniał nas w kamienie. Była to pora strachu. Moja matka, gdy tylko usłyszała jego samochód parkujący przed kratą ogrodu, natychmiast wyłączała radio, które towarzyszyło jej przez całe popołudnie. Jej ciało się kurczyło, stawało się wątłe i kruche. Moi bracia przerywali swoje zabawy. Nagle zadane lekcje stawały się niezrozumiałe, cyfry i litery zaczynały nam fruwać przed oczami, a my nie potrafiliśmy ich dosięgnąć. W całym domu zapadała wymuszona cisza. Milczenie ogarniało rzeczy, teraz niefunkcjonujące, jakby nie istniało nic innego poza wszechwładną obecnością tego człowieka, przytłaczającą nas i nasz świat całym swoim ciężarem.

Nie witał się z nikim. Szedł na górę do swojego pokoju, zdejmował ubranie, rozrzucając je po kątach - skąd za chwilę zbierała je moja matka - wkładał piżamę oraz krótki szlafrok i schodził do salonu popatrzeć na telewizję. Mama zamykała się w kuchni, ukrywając złe samopoczucie wśród garnków i patelni. My siedzieliśmy przerażeni w swoich pokojach, udając, że nadal jesteśmy zdolni zrozumieć logarytmy albo nauczyć się dziejów Niezwycięzonej Armady, w oczekiwaniu na jego krzyk. Każdego wieczoru bowiem, po powrocie, mój ojciec wykrzykiwał imię któregoś z nas. Wówczas musieliśmy natychmiast się przed nim stawić, czując się jak szczury, które zaraz zostaną uderzone gracą. Nie zadając sobie nawet trudu, żeby ściszyć telewizor, pytał nas o oceny w szkole, które, jego zdaniem, nigdy nie były wystarczająco doskonałe, lub o skaleczenie na kolanie po ostatnim upadku na patio czy o

nowe obtłuczenie którejs z ścią, o cokolwiek, co pozwalało nas o coś obwinić, powiedzieć kilka nieprzyjemnych słów i wysłać do pokoju służącego za rupieciarnię. Potem przez długi czas trzeba było tam siedzieć, czasem nawet wtedy, gdy pozostali jedli kolację, dopóki ojciec nie posłał po winowajcę matki.

Wiele wieczorów mojego dzieciństwa spędziłam w ciemności tego pomieszczenia, nieżywa ze strachu, słuchając skrzypienia drewnianych szaf, trzeszczenia skrzyń, w których przechowywano bożonarodzeniowe cacka i zdekompletowane serwisy stołowe, oraz trzaskania gipsu na suficie. Byłam pewna, że któregoś dnia jakaś odrażająca postać - może wielki czarny ptak - wyjdzie z jednej z szaf, w której żyła ukryta od wielu lat, i rzuci się na mnie, żeby mnie zabrać do jeszcze większej ciemności. Chciałam płakać i krzyczeć, ale nie mogłam, bo gdyby ojciec mnie usłyszał, kara trwałaby dłużej. Chwytałam się jedyne, co byłam zdolna zrobić: kuliłam się w kącie, wpatrywałam w światło padające z kuchni na korytarz, które przesączało się pod drzwiami przez wąziutką szczelinę, i cichutko mamrotałam, niemal nie oddychając, wszystkie znane mi piosenki. Te, które śpiewałam z moimi przyjaciółkami, bawiąc się w kółku lub na skakance, i te, które słyszałam w domu na wsi, głośno śpiewane przez moją babcię podczas mycia naczyń lub ścielenia łóżek, głosem rozstrojonym i drżącym, z którego jednak była dumna i który podnosiła pod byle pretekstem.

W miarę jak śpiewałam, bicie serca uspokajało się, choć od czasu do czasu kolejne skrzypnięcie desek znowu je pobudzało. Czas płynął wolno, bardzo wolno, ześlizgując się w ciemności, aż w końcu powolutku otwierały się drzwi i w progu pojawiała się malutka, krągła sylwetka mojej mamy. I wówczas, bez słowa, prowadziła mnie z powrotem do normalnego życia - zapalonych świateł, dalekich i łagodnych

głosów moich braci, siedzących w swoich pokojach, dźwięku telewizora, przed którym spał w salonie ojciec, smakowitego zapachu mięsa, duszącego się powoli na ogniu.

Pełna wdzięczności, chwyciłam mocno rękę mojej matki, przez chwilę czułam, jak jej puls bije razem z moim pulsem, teraz w końcu spokojnym. Siadałam w kuchni, zadowolając się tym, że mam mamę w zasięgu wzroku, mimo smutnej ciszy, która zawsze ją otaczała, jak zgubna aura trzymająca ją z dala od świata. Jej smutek był równie widoczny jak skóra - pełen uległości i doskonały. A ja patrzyłam, jak chodzi z kąta w kąt, potrząsa garnkami, obiera ziemniaki, starannie prasuje koszule ojca, ubrania moje i moich braci, i ta normalność, spokojny rytm życia, emanująca z niej melancholia wywoływały we mnie uczucie bardzo podobne do szczęścia. Tam, przy niej, wśród zwykłych, jasnych spraw, czułam się bezpieczna. Nie widziałam ojca ponownie aż do chwili, gdy miałam powiedzieć mu dobranoc, ponieważ dzieci jadły kolację same, w kuchni. Była to ulga dla niego, ale i dla nas. Choć zawsze po cichutku, niemal nie czyniąc hałasu, by nas nie usłyszano, mogliśmy jednak pozwolić sobie na mówienie głupstw, dawanie kopniaków pod stołem, robienie pełnej odrazy miny na widok wątróbki z cebulką czy pochłanianie z zapalem półmiska z frytkami.

Po skończonej kolacji wkładaliśmy talerze do zlewu i razem, w piątkę, szliśmy do jadalni. Mój ojciec pił kawę z lampką koniaku i palił cygaro, którego odrażający zapach unosił się w całym domu wraz z jego głębokimi wydechami. „Dobranoc, tatusiu” - mówiliśmy mu po kolei. A on odpowiadał:

„Dobranoc. Śpijcie dobrze”. I to wszystko. Ani buziaka, ani pieszczoty, ani nawet uśmiechu, który pomógłby oddalić złe sny.

Nie przypominam sobie, żeby ojciec kiedykolwiek nas pocałował. Nigdy jednak za tym nie tęskniłam. Nigdy tego nie pragnęłam. Z całą pewnością go nie kochałam. Dorastałam, bojąc się go, tylko to mnie z nim łączyło - okropne samopoczucie w jego obecności. Nigdy też nie odczuwałam potrzeby, żeby go kochać, jakby ta miłość nie należała do kręgu niezbędnych uczuć składających się na moje życie. Miłości, przyjaźnie, rodzina. Relacja z ludźmi, których w jakiś sposób kochamy, tworzy rodzaj impulsu elektrycznego przepływającego między naszymi i ich ciałami, między naszymi i ich umysłami, jak potężna energia, otaczająca nas i nadająca kształt światu, którego nie możemy sobie wyobrazić bez jej istnienia. Ale ja mogę sobie wyobrazić niemal wszystko bez istnienia mojego ojca, przede wszystkim szczęśliwsze życie.

Powiedziałam mu to, gdy umierał. Nie z zemsty, nawet go nie nienawidziłam. Strach, jaki we mnie wzbudzał w dzieciństwie, rozszerzył się z czasem na całe moje życie. W stosunku do niego czułam tylko obojętność. Nie wiem, co mi się stało. Nie planowałam tego, ale się stało, tak jakby wszyscy ci, którym sprawił ból, milcząco desygnowali mnie, żebym u kresu życia mu to uświadomiła. Czuwałam przy nim w szpitalnej sali. Był mój dyżur. Ojciec spał. Nagle obudził się i popatrzył na mnie, a jego spojrzenie wyrażało nieskończoną pogardę, jakbym była mrówką, której on może wyrwać nóżki, obciąć głowę i zdeptać bezkarnie w poczuciu pychy. Nawet teraz - pomyślałam - kiedy umiera, musi na mnie patrzeć w ten sposób. Spuściłam wzrok, by uniknąć tego spojrzenia, i zobaczyłam jego białe niewielkie dłonie, które zawsze budziły we mnie odrazę, odcinające się od prześcieradła jak dwie plamy śluzu. Nie dotknęłam ich, nie ucałowałam jego czoła, nie gładziłam policzka, nie szeptałam mu niczego do ucha, jak czynią kochające dzieci w stosunku do swoich umierających



rodziców. Ale też nie krzyczałam, nie pluć, nie przeklinałam jego imienia. Po prostu coś wybuchło w mojej głowie, coś zimnego i twardego jak bryła lodu rozpadająca się na kawałki. Mówiłam do niego, jakbym opowiadała film, który oglądałam poprzedniego dnia.

- Nigdy nas nie kochałeś - powiedziałam mu - ani mamy, ani nas. Unieszczęśliwiłeś nas wszystkich. Nic ci nie jesteśmy winni. Nie myśl, że będziemy po tobie płakać.

Przez resztę życia tysiące razy żałowałam tych słów. Ubolewałam, że poddałam się temu wybuchowi okrucieństwa, popchnęłam ojca ku wrotom śmierci kompletnie samego, z tą straszną myślą pulsującą w jego głowie w chwili, gdy gasło bicie jego serca: przeszedł przez życie jak absurdalny cień i nikt nie będzie za nim tęsknił. Ale wówczas, przez kilka chwil, czułam tylko ogromną ulgę.

Nie wiem, co on poczuł. Źrenice mu się rozszerzyły i wydawało mi się, że dostrzegłam lekkie drżenie jego ciała. Ułamek sekundy drżenia. Nic więcej. Natychmiast doszedł do siebie i powiedział mi z tym samym spokojem, z jakim ja mówiłam do niego:

- Życie jest ciężkie. Takie już jest. Nie myśl, że boleję nad tym, iż nie będziecie po mnie płakać. Nigdy o to nie zabiegałem.

Wyszłam z pokoju, zostawiając go samego. I rozplakałam się. Płakałam długo, aż do świtu. Płakałam dlatego, że mu to powiedziałam, a przede wszystkim dlatego, że jego to nie obeszło. Płakałam z samotności i strachu, na które mnie skazał, płakałam nad śmiercią mojego brata Ernesta, uzależnionego od niewielkiej strzykawki, nad problemami z alkoholem Antonia, uczuciowymi kłopotami Miguela. I nad nieuleczalnym smutkiem mojej matki.

Mama nie zawsze była smutna. Tak przynajmniej opowiadała mi babcia. Mówiła, że jako dziecko była równie

rozśpiewana jak ona sama i wesoła, że wspinała się po drzewach jak małpka, biegała po łąkach i głośno wołała krowy po imieniu, sadząc pod górę wielkie susy. Twierdziła, że moja mama byłaby szczęśliwa z każdym chłopakiem z okolicy, pracowita i czuła jak kobieta, wytrzymała jak mężczyzna. Pewnego lata, kiedy miała szesnaście lat, pojawił się jednak on, mój ojciec, wówczas około trzydziestki, dobrze ubrany, z plikami pieniędzy, które zarobił na interesach w Meksyku, dokąd jako dziecko wyjechał z rodzicami. Wrócił, żeby otworzyć w mieście odlewnię żelaza i założyć rodzinę. Zdecydował się założyć ją z moją matką.

Powód, dla którego ten poważny mężczyzna - zdaniem mojej babci zgorzkniał - wybrał sobie najweselszą dziewczynę, stanowił dla wszystkich tajemnicę. Może nie mógł znieść jej radości i chciał ją stłamsić, zabić, jak się zabija ptaka, który swoim śpiewem przeszkadza w ogrodzie. Bywają osoby tak zatrute, tak nienawidzące ludzi emanujących siłą i zadowoleniem, że zamiast się od nich odseparować, zarzucają sieć, łapią ich i grzebią pod tonami ziemi, aby osiągnąć perwersyjną satysfakcję patrzenia, jak powoli umiera wszystko to, czego nienawidzą. Może w tym wypadku też tak było.

Jeszcze bardziej zagadkowe wydaje się jednak to, że moja matka się zgodziła. Dlaczego to zrobiła? Nie wiem. Nie sądzę, żeby wyszła za męża z miłości. Szesnastoletnia dziewczyna lubiąca tańczyć na zabawach ludowych, kąpać się w rzece i jeździć na rowerze w dół zbrocza jak szalona nie zakochuje się w takim typie jak mój ojciec, który chodzi po wsi w garniturze i krawacie, warczy na ludzi, zamiast się z nimi przywitać, i patrzy na wszystkich wzrokiem twardym jak granit. Nie odbyli nawet czegoś, co moja babcia nazywała zalotami. Nie było kwiatów ani uśmiechów, ani odprowadzania do domu, ani długich rozmów w podcieniach, ani oglądania zachodów

słońca opadającego za góry czy deszczu ześlizgującego się jak peleryna na ogród warzywny. Dwie czy trzy rozmowy w pobliżu kościoła, kilka odpustów i nagle on się pojawia, żeby prosić o rękę mojej matki. Dziadkowie starali się ją przekonać, żeby się nie godziła. Nie podobał im się ten amerykański bogacz mimo jego plików pieniędzy. Ale ona już zdecydowała i nie było sposobu, by zmieniła zdanie.

Czy zrobiła to dla pieniędzy? Nigdy nie wydawało mi się, żeby ją nadmiernie obchodziły. Nie pociągały ją luksusy ani wygody. Owszem, zawsze mieszkała w dużym, porządnym domu, tym, który mój ojciec kupił po powrocie z Meksyku na ówczesnych obrzeżach miasta, ale nie godziła się na żadną pomoc do prac domowych czy opieki nad nami. Nigdy nie miała służących ani pokojówek, ani klejnotów czy futer. Nawet po otrzymaniu spadku żyła tak jak zwykle, wtedy już sama w domu, nie pozwalając sobie na żaden wydatek wykraczający poza to, co niezbędne. Możliwe, że nie interesowały jej pieniądze, bo gdy pewnego dnia ich zapragnęła, uczyniło ją to nieszczęśliwą. Może właśnie ich pragnęła. Kto wie, czy mój ojciec nie opowiadał jej o pięknym i przyjemnym życiu. Może powiedział jej, że nigdy więcej nie będzie musiała doić krów ani karmić kur, ani pielic ogrodu warzywnego, ani zbierać jabłek czy przyrządzać krwawych kiszek po uboju. Może miała jakieś ukryte ambicje, chciała ubierać się elegancko i nosić buty na obcasach, malować sobie usta i co tydzień chodzić do fryzjera. Może chciała podróżować, zwiedzić świat, sprawdzić, co jest za zielonymi górami otaczającymi jej wieś, zobaczyć ogromne morza, olśniewające miasta, stepy z niekończącymi się równinami i wysuszoną ziemią w kolorze pomarańczy... Kto to wie, jakie głupstwa mogły chodzić po głowie szesnastoletniej dziewczyny?

Podejrzewam, że nigdy mi tego nie powie. Nigdy nie rozmawiałam z nią o moim ojcu. Kiedy umarł, założyła czarny żałobny strój - nie płakała, jak przepowiedziałam - i chodziła na nieodzwonne msze. Wyczyściła szafy, uporządkowała papiery, sprzedała odlewnię żelaza, ale nigdy o nim nie wspominała. Tak jakby nie istniał albo jakby to wszystko było tajemnicą, której nie chciała z nikim dzielić: jak złudne miała nadzieje odnośnie do tego mężczyzny, i tego, co może jej dać, i jak gasły powoli kolorowe światła, które owego lata musiały się zapalić w jej głowie, i jak nauczyła się godzić z przegraną i żyć w tej bańce bólu, ona, która niegdyś była radosnym, rozśpiewanym dzieckiem.

Nigdy nie wiedziałam, czy trudniej jest nigdy nie zaznać szczęścia, czy czuć je przez chwilę, a potem utracić. Kiedy Pablo mnie opuścił i świat runął mi do stóp, przeklinałam fiestę, na której przedstawiła nas sobie Elena, oszałamiającą noc, gdy po raz pierwszy się pocałowaliśmy, dzień, w którym postanowiliśmy się pobrać. Oddałabym wszystko, co miałam, żeby tego nie przeżyć i za tym nie tęsknić. Moja przeszłość byłaby cicha i czysta, aseptyczna jak spokojna szpitalna sala. Bez złudzeń i emocji. Nie byłoby tego rozdarcia i wielki czarny ptak, który mnie prześladował, nie rzuciłby się na mnie i nie wywołał uczucia, że biegnę przerażona przez pustkowia. Wiodłabym życie samotne i nudne, ale nie poznałabym takiego bólu. Przez długi czas uważałam, że lata, które z nim spędziłam, były stracone, że całe moje życie u jego boku, cała moja miłość do niego były wielką klęską, umarłą budowlą, z której pozostały tylko jakieś cuchnące ruiny, pełne moczu, ekskrementów i zielska. Czymś, co nigdy nie powinno było się narodzić.

Teraz jednak, kiedy już przyzwyczaiłam się do patrzenia na moje małżeństwo jak na coś dalekiego i obcego, kiedy ból przestał krążyć wokół mnie, ogarniając wszystko, tylko osiadł,

pozostawiając grubą warstwę popiołów, pod którymi, choć nadal mnie to wiele kosztuje, mogę oddychać, cieszę się, że przeżyłam to, co przeżyłam. Nawet czasami, przez chwilę, czuję się dumna z moich uczuć. Jakby wielka pozłacana rama uwydatniała ogrom mojej miłości do niego. Teraz, od wielu nocy, kiedy kładę się spać i nadal dostrzegam jego nieobecność, zasmucające zimno, jakim jego odejście naznaczyło tę stronę materaca, jego stronę, której nigdy nie zajmę, teraz myślę, iż miałam szczęście, że go poznałam i pokochałam, i byłam przez niego kochana. I wówczas pośród tej okropnej tęsknoty pragnę, aby jego wspomnienie powróciło do mnie w ostatniej chwili, aby jego twarz, roześmiana, patrząca na mnie i zbliżająca się, by mnie pocałować, jego twarz młoda i kochana była ostatnią rzeczą, jaką zobaczę w moim życiu.

Nie wiem, czy mojej matce pomogło to, że była szczęśliwym dzieckiem. Może przeciwnie, wszystkie wspaniałe momenty jej dzieciństwa i dorastania, radość, jaką musiała odczuwać w tych pomyślnych latach, w końcu zamieniły się w nostalgię i nadmierny ciężar, który nosiła jak kamień uwiązany u szyi i który ciągnął ją bez przerwy na dno jej otchłani. Może stale żałowała, że powiedziała „tak” mojemu ojcu tamtego lata, może tysiące razy wyobrażała sobie, że wyszła za mąż za jakiegoś miejscowego rolnika albo za nikogo, sama na zawsze, żyjąca między lepkiem błotem dróg i wspaniałością słońca płonącego nad szczytami, w wiecznie pogniecionym fartuchu i kaloszach na nogach, budząc się o świcie, żeby wydoić bydło, i kładąc się spać wyczerpana, wśród zapachu nawozów i pestycydów, ale za to beztrudno nucąca wśród gór, dumnie wołająca krowy po imieniu, pluskająca się jak niezręczna nimfa w przezroczystych wodach sadzawki do moczenia lnu...

Tak łatwo jest żałować decyzji, jaką podjęliśmy w danej chwili, błędu, który popełniliśmy w krytycznym momencie, a który na zawsze naznaczył nasze życie. Nie czynimy tego bez namysłu. Dużo się nad tym zastanawiamy. Uruchamiamy wszystkie nasze neurony. Całymi dniami leżymy na łóżku, wsłuchani w najmniejszy głos w naszej głowie, wibrację naszej krwi, najlżejszy symptom strachu czy zachwytu. Podejmujemy decyzję rozważnie, wyobrażając sobie sekwencję zdarzeń, jakie nastąpią po naszym wyborze, jasne i pewne kroki, które doprowadzą nas do świetlistego i stabilnego miejsca: godzę się poślubić tego mężczyznę, ponieważ go kocham i zawsze będę kochała; będę studiowała ten kierunek, bo to pozwoli mi w przyszłości zarobić dużo pieniędzy; nie przyjmę tej pracy, ponieważ musiałabym się przeprowadzić do innego miasta, a nie chcę tracić ani tej atmosfery, ani niezmiennego obrazu tych samych domów i tych samych drzew nieśmiało rosnących wzdłuż ulicy, ani ciepłego towarzystwa moich przyjaciół, z którymi spotykam się co wieczór w tym samym barze.

Myślimy, rozważamy konsekwencje, wyobrażamy sobie. Albo nie. Podejmujemy decyzję pod wpływem impulsu, nagłego uniesienia, wprawiającego nasze ciało w stan napięcia, niespodziewanego szarpnięcia nerwów, gwałtownego bicia serca, ucisku w żołądku, światła, które zapala się promiennie w naszym mózgu i rozjaśnia wszystko. Nieważne. Najprawdopodobniej i tak się pomylimy. Życie pójdzie swoją drogą obok naszych planów, jakby jakaś grupa szyderczych bogów na wysokościach urozmaicała sobie swoją absurdalną wieczność, dmuchając nam w nos, gmatwając sprawy, komplikując sytuacje, wykrzywiając uczucia. Mężczyzna, którego przysięgałyśmy kochać przez całe życie, w końcu staje się obrzydliwą postacią, dla nas nie do zniesienia. Zawód, do którego z trudem się przygotowujemy,

wyjdzie z mody, kiedy właśnie skończymy studia. Miasto, którego nie będziemy chcieli opuścić, bardzo szybko się zmieni, aż w końcu nie będziemy mogli go rozpoznać, nasi przyjaciele odejdą na zawsze, bar zamknie swoje podwoje, a pamięć o nim zaginie, jakby nigdy nie istniał.

Życie nabierze własnego pędu, będzie się kręciło wokół własnej osi, robiąc piruety, wznosząc się lub z nagłą upadając, szalone i brutalne, będzie nas popychać według własnego kaprysu w stronę rajów lub przepaści, mimo naszego wysiłku i naszych zasług. Kłamstwem jest wszystko, co opowiadają; nasze czyny nie mają konsekwencji. Są tylko trwonieniem energii, odłamkami patetycznych prób uchwycenia czegoś trwalszego, satysfakcji, dobrobytu, wygody... Zakładamy rodziny, budujemy domy, tworzymy firmy, w każdym posunięciu zostawiamy część siebie, i w jednej chwili wszystko się wali, a my nie możemy nic zrobić, żeby to powstrzymać. Albo przeciwnie, patrzymy, jak powstaje wokół nas przyjazna przestrzeń, chociaż nie machnęliśmy nawet palcem, żeby ją stworzyć, rodzi się z nicości, mimo naszego byle jakiego wnętrza, naszego niedbalstwa czy niegodziwości, jakby świata kompletnie nie obchodziło to, czy otaczamy go miłością, czy łżymy.

Co by było z moją matką, gdyby pozostała na wsi? Może skończyłaby w tym samym punkcie, w tym samym ciemnym zakątku swojego smutku. Moja babka mówiła, że matka cierpiała na „depresję poporodową”, ten smutek i brak woli życia, który powstaje w duszach kobiet zaraz po porodzie. To kwestia hormonów. Jej depresja poporodowa rozpoczęła się po narodzinach mojego starszego brata. Coś, co dziś łatwo można by wyleczyć. Ale wówczas nie istniały odpowiednie leki. O takich sprawach nawet się nie rozmawiało. Ludzie albo chowali w sobie smutki, albo popełniali samobójstwo, rzucając się któregoś dnia przez okno. Pozostali szeptali

cichym głosem na widok pustych oczu, drżących rąk i głębokiego zniechęcenia charakteryzującego ludzi chorujących na nerwy; z litością lub pogardą, ale ze świadomością, że nikt nie może uwolnić ich od tej choroby, tylko przeznaczenie lub modlitwy.

Moja babcia wierzyła za to w pewne stare lekarstwa. Odziedziczyła po swojej matce, a z kolei ta po swojej i tak wiele pokoleń wstecz, znajomość roślin i ich tajemnic. Czasami, kiedy spacerowała ze mną w górach, pokazywała mi liście i owoce, odkrywając korzenie i bulwy, te mające wielką moc cuda ziemi, i zrywała je własnymi rękami. Ruta przy murach łagodząca kaszel. Kolendra oczyszczająca wątrobę. Powojnik, z którego okłady leczą rany i wrzody. Wrzos dający ulgę w zapaleniu pęcherza...

Kiedy urodził się mój starszy brat Miguel, babka nie mogła być przy mojej matce. Chciała, oczywiście, że chciała. Wszystkie znane jej matki były ze swoimi córkami w chwili porodu, trzymały je za rękę, ocierały czoło, uspokajały i podtrzymywały na duchu. Wszystkie pomagały przez pierwsze tygodnie życia dziecka, gotowały odżywcze rosoly dla położnic, budziły je delikatnie w nocy, żeby nakarmiły niemowlę piersią, pokazywały im, jak dbać o to małe bezbronne ciało. Ale mój ojciec babce na to nie pozwolił. Po jej kolejnym liście z propozycją przybycia do miasta, po licznych wykrętach mojej matki, która nie wiedziała, co odpowiedzieć, ojciec napisał do babki zimny list, informując, że jej nie potrzebują. Bardzo się zasmuciła. Długo płakała, a potem, w ulewnym deszczu, wieczorem, najszybciej jak mogła, przebiegła trzy lub cztery kilometry dzielące ją od kaplicy, z pięknym bukietem pietruszki owiniętym w gazetowy papier. Opróżniła z wysuszonych ziół dzbanuszek, który zawsze stał obok obrazu świętego Pankracego, napełniła go wodą z deszczówki, wstawiła świeże gałązki i uklękła u



stóp świętego. Modliła się do niego, żeby wszystko dobrze się potoczyło, żeby bóle porodowe były lekkie, a dziecko miało wszystko co trzeba. Na koniec szybko dodała na głos złośliwą prośbę, żeby mój ojciec wyłysiał. Tylko to przyszło jej do głowy: żeby nic poważnego mu się nie stało, ale żeby wyłysiał, żeby stracił tę czuprynę ciemnych kręconych włosów, zawsze wygładzonych cuchnącą brylantyną - jedyny godny wzmianki element w całym jego wyglądzie. Była to jej skromna zemsta za to, że odsunął ją od rodzącej córki, żeby nie mogła jej pomóc i by nie oglądała pierwszych minut życia wnuka.

Święty Pankracy widocznie nie okazał jej tego dnia szczególnej uwagi, ponieważ mój ojciec aż do śmierci zachował nienaruszoną czuprynę, bez jednego siwego włosa. Za to moja matka bardzo szybko osiwiiała. Ja przynajmniej zawsze znałam ją już taką. Odkąd ją pamiętam - a wówczas nie skończyła jeszcze trzydziestu lat - miała włosy upstrzone jasnymi pasmami, które beztrósco szarpałam, bawiąc się w kuchni, że ją czeszę. Siedziała na niskim, wyplatany trzcina krzeselku, a ja klęczałam na taborecie za jej plecami. Wiele razy przeciągałam grzebieniem po jej sztywnych kosmykach, szarpiąc je, ona jednak się nie skarżyła.

Moja matka nigdy nie narzekała. Nie wiem, czy robiła to na początku, kiedy urodził się Miguel, a ona zaczęła się czuć źle i ostatecznie utraciła swoją radość. Wątpię. Nie potrafię sobie wyobrazić jej protestującej, szepczącej skargi, podnoszącej głos lub sprzeciwiającej się czemuś. Nauczyła się żyć razem z tym swoim smutkiem, dźwigać go, nigdy o nim nie wspominając na głos. Nie potrzebowała jednak narzekać, żeby moja babcia uświadomiła sobie, co się stało. Kiedy tylko, stojąc w drzwiach domu, zobaczyła ją wysiadającą z samochodu - mój brat miał już dwa miesiące, dni stały się dłuższe i letni łagodny klimat pozwalał, żeby takie małeństwo

zawieźć w odległe miejsce - zdała sobie sprawę, że córka ma depresję poporodową. Widziała ją już u innych kobiet, które niedawno rodziły: nieobecne spojrzenie, zwiotczałe usta, wyraźny brak zainteresowania dzieckiem na przemian z płaczem wywołanym poczuciem winy, że nie jest się dobrą matką.

Moja babcia nie powiedziała nic w obecności ojca. Już następnego dnia jednak, gdy tylko wyjechał zadowolony, że na kilka tygodni uwalnia się od słabej, apatycznej samicy i płaczu dziecka, zorganizowała wszystko, by zaopiekować się chorą. Zajmowała się Miguelem dzień i noc, podając go mojej matce tylko na karmienie lub żeby go przez krótką chwilę pokołysała, gdy córka była bardziej ożywiona. Wyjęła z szafy swoje najlepsze prześcieradła i kapę zrobioną szydełkiem, położyła resztę swojego posagu, aby zaścielić nimi łóżko. Wypełniła mały pokój młodej matki kwiatami, hortensjami i kaliami, jakie rosły przytulone do ścian domu, wilgotne i piękne. Okrywała ją i całowała co noc. Pozwalała jej spać do woli. Gotowała jej ulubione potrawy. Przede wszystkim jednak dała jej najlepszy, jaki знаła, lek na tę chorobę: żółte kwiatuszki dziurawca zwyczajnego - najświeższe w dolinie, zbierane przez nią samą w środku lasu Soto, tam gdzie o wschodzie najbardziej świeciło na nie magiczne słońce - namoczone w winogronowych wyciżkach. Trzy porządne łyki dziennie.

To wyleczyło dolegliwości ciotki Stylity, gdy jej narzeczony wyjechał na Kubę, a ona nie przestawała płakać, wiedząc, że nigdy go już nie zobaczy. Ogromnie pomogło też biednej Józefinie, kiedy w wieku trzydziestu dwóch lat została wdową z pięciorgiem dzieci. A gdy Manolo, ten, którego dom stoi przy rozdrożu, pewnego dnia niespodziewanie położył się do łóżka i już nie chciał wstać, uparczywie twierdząc, że poprzedniej nocy widział grupę zmarłych chodzących wokół

jego domu i wołających go po imieniu, to właśnie dziurawiec zwyczajny wydobyl go z przygnębienia i strachu, i ponownie uczynił z niego beztróskiego pijanicę, którym był od zawsze.

Zioła i opieka babki bardzo pomogły mojej matce. Stopniowo powrócił jej apetyt i zaczęła odwiedzać przyjaciół, którzy na początku przychodzili, żeby zobaczyć młodą matkę, i byli bardzo zmartwieni, widząc ją tak przygnębianą. Coraz częściej i z większą ochotą opiekowała się Miguelem. Czasami, gdy była ładna pogoda, spędzała całe popołudnie, śpiąc pod jedną z jabłoni w ogrodzie wyciągnięta na kocu, obejmowała dziecko, uśmiechała się, czując jego ciepłe ciało i słodki zapach, i myślała o tym, że z czasem urośnie i stanie się mężczyzną, który zawsze będzie ją kochał i którego ona będzie kochała jak nigdy nikogo. Wówczas zapewne wydawało jej się, że rozciąga się przed nią długa przyszłość pełna satysfakcji i zadowolenia, i że smutek, który nagle zagościł w jej duszy, rozwiął się na zawsze. Życie znowu zaczęło dostarczać przyjemnych wrażeń - świeża trawa, promienie słońca przedzierające się przez liście drzew, wietrzyk łagodnie omiatający świat były niczym przyjacielskie poklepywanie po plecach.

Wówczas właśnie, kiedy wydawało się, że wszystko odzyskało swój normalny rytm i moja matka pożegnała się z depresją, we wsi pojawił się ojciec, żeby zabrać ją i dziecko. Spędzili u babki sześć tygodni i pewnie wydawało mu się, że przyzwoitość wymaga, by wrócili do domu. Jeszcze trochę i zaczęłyby się komentarze sąsiadów i znajomych. A mój ojciec nie zamierzał pozwolić na to, żeby podważano jego nienaganną moralność, jego doskonałe przestrzeganie wszystkich świętych zasad ustalonych przez społeczeństwo. Zawsze z żelazną dyscypliną dopasowywał się na zewnątrz do wizerunku, jaki powinna prezentować osoba przyzwoita i uczciwa. Cały dzień spędzał w odlewni żelaza, a gdy ją

zamykał, wracał do domu jak kochający mąż i ojciec. Jedyłą chwilą nieróbstwa, na jaką sobie pozwalał po obiedzie, było krótkie spotkanie towarzyskie z grupą przyjaciół, przedsiębiorców podobnie jak on. W każdą niedzielę prowadził nas do katedry, gdzie po kolei musieliśmy się spowiadać, poprzedzani zawsze przez niego samego, a następnie uczestniczyć we mszy o dwunastej w południe, na którą przychodziły wszystkie ważne osoby z miasta. Zanim wszedł do środka, każdemu z nas wręczał monetę, którą trzeba było wrzucić do puszek na jałmużnę, razem z jego ostentacyjnie wrzucanym banknotem. Zawsze modlił się głośno, tłumiąc swoim meksykańskim akcentem słaby szept mojej matki, zamasyście bił się w piersi, a po komunii przez długą chwilę zanurzał twarz w dłoniach, jakby modlił się żarliwie o zbawienie świata.

Po mszy szliśmy do kawiarni przy głównej ulicy. Ojciec prowadził pod rękę moją matkę, smutną i niepewną, a z tyłu nasza piątka walczyła z wielką pokusą, żeby rzucić się do biegu i urządzić wyścig, podobny do tych, jakie urządzaliśmy w drodze do szkoły. O tej porze kawiarnia była pełna rodzin bardzo przypominających naszą: brzuchaci ojcowie, synowie w marynarkach i krawatach, córki ubrane w swoje najlepsze sukienki i błyszczące lakierki. Jedyne matki wydawały mi się różne. Inne kobiety zimą nosiły futra, a latem bardzo eleganckie stroje, dużo złotej biżuterii i naszyjniki z pereł. Malowały sobie usta i pachniały drogimi perfumami. Głośno całowały się na przywitanie, razem przeglądały tygodniki, od czasu do czasu śmiały się wesoło i z daleka sprawowały kontrolę nad dziećmi, gdy mężowie rozmawiali ze sobą pochyleni przy barze.

Patrzyłam na moją matkę, maleńką, pulchną, siwą, bezbarwną w swoim wiecznie ciemnym ubraniu bez ozdób, i obserwowałam jej smutny uśmiech, nigdy niesięgający oczu,

kiedy mówiła „dzień dobry” tym, którzy pofatygowali się, aby na nią spojrzeć. Wiedziałam, że inni nią pogardzają, śmieją się po cichu z jej wyglądu i milczenia, z jakim siadała w kącie, ignorowana przez wszystkie inne matki, które w tym czasie głośno plotkowały o narzeczeństwie modnej aktorki lub nowej kreacji córki generała Franco. Odczuwałam wówczas straszny ból i miałam wielką ochotę się rozplakać. Siedziałam obok niej i brałam ją za rękę pod stołem, ponieważ chciałam o nią zadbać, chciałam jej powiedzieć, że jest najlepszą z matek, chronić ją przed małodusznością tych kobiet w biżuterii, obojętnością mego ojca, który gawędził przy barze, kompletnie ignorując jej opuszczenie. To był dla mnie najgorszy moment w tygodniu. Popijałam napój orzeźwiający o mdłym smaku, podtrzymując rękę mamy, i obserwowałam ojca, czekając, aż nadejdzie chwila, kiedy pożegna się ze swoimi przyjaciółmi i skieruje w naszą stronę, aby nas zbarać, a moja matka wydobędzie się z tej klatki, w której bardziej niż kiedykolwiek wydawała się biednym ptakiem pozbawionym piór.

Moi rodzice wrócili z Miguelem do domu po lecie spędzonym na wsi. Babcia, powstrzymując łzy, dała córce kilka butelek swojej mikstury przeciw depresji poporodowej i radziła jej, by ukryła lek przed mężem i nadal zażywała za jego plecami. Matka trzymała te butelki w najgłębszej szafie ściennej, za puszkami z olejem. Pewnej nocy ojciec, zanim położył się do łóżka, wszedł nieoczekiwanie do kuchni i przyłapał ją na zażywaniu lekarstwa. Naturalnie zapytał, co to jest, wypytywał i groził, dopóki moja matka nie powiedziała mu prawdy. Przynajmniej jej części. Wyznała, że od urodzenia dziecka nie czuła się dobrze, nie miała apetytu, była zmęczona, i że babcia dała jej zioła na wzmocnienie.

Ojciec wrzasnął, że to wymysł czarownic. Kto wie, jakie stara rzuciła zaklęcia, jakie odmówiła modlitwy do diabła. Nie

chciał mieć nic wspólnego z tymi czarami. Był dobrym chrześcijaninem, porządnym człowiekiem i nie zamierzał pozwolić na to, żeby w jego domu odbywały się magiczne rytuały i sabaty czarownic. Kategorycznie zabronił mojej matce zażywania mikstury i osobiście wyrzucił butelki do toreb ze śmieciami, które stały już na ulicy. Następnie posadził ją w salonie i powiedział, że jego żona nie ma żadnego prawa do narzekań. Posiada wszystko, czego pragnęłaby każda kobieta: dobrego, bogatego męża, zdrowego syna i piękny dom. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko przyznać mu rację, choć oczy miała pełne łez, a ściśnięte serce nagle zmalowało i drżało w piersi. Wiedziała, że jej cierpienie nie ma nic wspólnego z losem, jaki ją spotkał, ani z nieszczęściami innych. Chodziło o chorobę. Nie istniała jednak możliwość, żeby ten człowiek zrozumiał jej smutek.

- Nie chcę nigdy więcej widzieć, jak płaczesz, ani słyszeć, jak narzekasz. Nie chcę lamentów w moim domu. Zabraniam ci.

Moja matka odważyła się odpowiedzieć:

- Kiedy nie narzekam...

- To tak na wszelki wypadek, żeby ci to do głowy nie przyszło. W przeciwnym razie doprowadzę do tego, że uznają cię za wariatkę. Poza tym wiedz, że nie zobaczysz więcej swojej matki.

To samo napisał w liście do mojej babki: od tej pory nigdy więcej nie przyjadą na wieś. A jeśli on się dowie, że mimo wszystko udało jej się w jakiś sposób dostarczyć córce mikstury czarownicy, zwróci się do sądu, żeby uznano żonę za chorą psychicznie i odebrano jej dzieci. I dopilnuje, żeby nigdy nie wyszła z domu wariatów.

Moja babka zrozumiała, że powinna tę groźbę potraktować poważnie. Zaciśnęła pięści i ugryzła je mocno, żeby nie krzyczeć i nie życzyć śmierci temu złemu

człowiekowi; tym razem nie poszła modlić się do świętego Pankracego. Los córki wydał się jej wystarczająco nieszczęsny, żeby pokornie zwrócić się wprost do Boga, bez pośrednictwa świętych. Co noc modliła się do Niego, aby dał jej dziecku spokojne życie i żeby od czasu do czasu mogło wrócić do domu. Przynajmniej raz na jakiś czas. Prosiła, żeby temu niegodziwemu człowiekowi przeszła obraza i żeby pozwolił im znowu być razem, by mogła się opiekować córką i rozpieszczać ją, ponieważ czuła, że potrafi to robić najlepiej ze wszystkiego. Tak jakby ta jej miłość była jedynym powodem, dla którego znalazła się na świecie.

Zobaczyły się dopiero wiele miesięcy później, kiedy urodził się Antonio. Mój ojciec pewnie znowu miał dość płaczu niemowlęcia i zdecydował się przedłożyć swój spokój nad karę, jaką nałożył na swoją żonę i teściową. Przedtem mama przeżyła najgorszy okres w swoim życiu: myślała, że już nigdy nie zobaczy chmur uderzających o górskie szczyty i rozrywających się na białawe strzępy, kwiatów jabłoni rozwijających się z pąków jak niewielkie klejnoty, zwinnych pstrągów nurkujących i skaczących, by zdobyć pożywienie; że nigdy więcej nie usłyszy wesołego szelestu liści poruszanych wiatrem, rytmicznych uderzeń ostrzonych o kamienie kos, długich rozmów rudzików na górskich drzewach i nocnego głośnego pohukiwania sowy, wołającej niczym królowa lasów; że nie poczuje zapachów, które nosiła w sobie - trawy i mchu, wilgotnych kamieni, mokrego krowiego nawozu wnikałego w głąb ziemi, słodkiego aromatu kwiatów, a przede wszystkim zapachu matki, tej niesamowitej mieszaniny mleka ze świeżego udoju i mydła, a także pieścizot jej rąk na swoich włosach i delikatnej miękkości pełnej ciepła piersi. Nigdy więcej nie zobaczy matki, nie porozmawia z nią, nie będzie mogła skulić się w jej ramionach i pozwolić się

całować, czując się znowu jak córeczka, lekka i słaba jak dziecko, a jednocześnie chroniona jej niezłomną siłą.

Zapewne długo się obejmowały. Babcia starała się podtrzymać to ciało, które zmałało, stało się chwiejne, jakby smutek zżerał je od wewnątrz i zostawił bez wsparcia, bez wystarczającej świadomości samej siebie, pozwalającej mocno stąpać po ziemi. Obie wiedziały bez słów, co się stało. Wiedziały także, że tym razem ziele dziurawca nie posłuży za lekarstwo. Mój ojciec, gotów na wszystko, by żadne podejrzenie o herezję nie mogło paść na rodzinę, obojętny na cierpienie mamy, zmusił babcię, żeby przysięgła na krucyfiks, że nie wypróbuje na niej żadnych magicznych recept. Nieusatysfakcjonowany, przeszukał cały dom, wszystkie szafy, także te wmurowane w ściany, stare skrzynie stoczone przez czerwie, nawet stajnię i bróg, zajrzał pod każdy kamień, do każdej bańki na mleko, do każdej wiązki siana. Następnie zagroził, że może pojawić się w każdej chwili, bez ostrzeżenia, i przyłapać je, jeśli znowu zajmą się diabelskimi praktykami. A przed tym, co się później stanie, już je ostrzegał.

Musiały przestrzegać jego nakazów. Babka otoczyła moją matkę całą miłością i opieką, do jakich była zdolna, ale nie odważyła się podać jej w ciągu tych tygodni choćby naparu z rumianku. Mama powoli się poprawiła. Policzki jej się zaróżowiły dzięki godzinom spędzonym na świeżym powietrzu i czasami, kiedy patrzyła na zabawy Miguela czy popołudniowe drzemki Antonia lub obserwowała latające wysoko kanie, skrzeczące jak dzicy władcy powietrza, kiedy oglądała przez kuchenne okno ulewę, jaka z całą siłą zalewała pola, albo pracowała w słońcu w ogrodzie warzywnym, plewiąc chwasty, czy słuchała nieskładnych pieśni swojej matki - w takich chwilach w jej oczach pojawiały się na kilka



sekund dawne iskierki z dzieciństwa, drobny ślad tego, co mogłoby nadać istnieć.

W miarę jak zbliżał się dzień przyjazdu ojca, te oznaki ożywienia zaczęły jednak znikać, pozostawiając moją matkę znowu drżącą i bez apetytu. Milcząca siedziała w kącie, myśląc bez wątpienia o życiu czekającym na nią w miejskim domu, życiu, które napełniało ją lękiem. Bała się swego męża. Jego samego i jego rozkazów, jego krzyków, jego kamiennego spojrzenia i odpychającego ciała poruszającego się jak jaszczurka na jej ciele, podczas gdy ona powstrzymywała mdłości, żeby nie zwymiotować na haftowane prześcieradła z jej śmiesznego posagu śmiesznej narzeczonej, która się pomyliła. Ta ciemna obecność dominowała nad wszystkim jak złe i kapryśne bóstwo.

Odczuwała także samotność. Jak miała sama sprostać złemu samopoczuciu, niemożności, na które cierpiała? Były dzieci, ale przy dzieciach należało być silnym, opiekować się nimi w każdej minucie i chronić je. A kto miał ją chronić? Kto pogłodzi ją po włosach, kiedy będzie się jej zbierało na płacz? Kto przygotuje dla niej jedzenie, kiedy poczuje się bezradna? Kto wysłucha jej narzekań, bólu, który czuła i nie potrafiła nazwać, i który powinna była wyrzucić, jak wyrzuca się truciznę? Komu opowie to wszystko?

Od tego czasu moja matka na stałe pograżyła się w smutku. Nie było sposobu, żeby wypędzić z niej tę czarną rozpacz, która się w niej kryła. Żyła jednak dalej, wlokąc życie za sobą jak ciężar. Wkrótce potem urodził się Ernesto, później Javier. A w końcu ja. Butelki ze smoczkiem, jedzenie, pieluchy, ubrania, obowiązki... Zajmowała się wszystkim. I zawsze starała się dać nam z siebie to, co miała najlepszego, tę niewielką siłę, jaka jej jeszcze pozostała, resztkę radości, która czasami pojawiała się w jej spustoszonej duszy. Czuliśmy to zwłaszcza wtedy, gdy byliśmy na wsi, podczas długiego,

trwającego prawie trzy miesiące lata, z dala od naszego ojca, wolni i szczęśliwi, zajęci wyłącznie bieganiem, pluskaniem się w rzece, wdrapywaniem się na drzewa, kradzeniem czereśni, budowaniem szałasów i opiekowaniem się szczeniakami, które urodziły się w okolicy. Wtedy moja matka wydawała się powoli odżywać, aż stawała się inną osobą: kobietą, która wołała nas na drodze, głośno krzyząc - chociaż w mieście nigdy nie podnosiła głosu - która długie godziny gawędziła ze swoimi przyjaciółkami, a nawet czasami tańczyła pasodoble na zabawach ludowych, tzw. werbenach.

Przez cały rok niecierpliwie czekaliśmy na nadejście lata i wyjazd na wieś. Wydawało się, że żyjemy wspomnieniami, tysiące razy opowiadaliśmy sobie nawzajem przygody z ostatnich wakacji i pisaliśmy listy do przyjaciół ze wsi, którzy informowali nas o stanie zdrowia psów, krów, osłów, koni, a nawet żab ze stawu znajdującego się za kościołem. Liczyliśmy miesiące, potem tygodnie, w końcu dni, wymazując je każdego wieczoru, przed kolacją, w kalendarzu wiszącym na ścianie w kuchni. Nie była to jednak tylko nasza upragniona przyjemność, odpoczynek, niekończące się zabawy i oddalenie od ojca, ale także „przerwa” w życiu mamy. Niewypowiedzianą ulgą było widzieć ją ożywioną i spokojną przez jakiś czas.

Miłość, której nie byliśmy zdolni czuć w stosunku do naszego ojca, skoncentrowaliśmy na niej. Wszyscy staraliśmy się dobrze zachowywać, żeby jej nie zasmucać, rozśmieszać ją naszymi wygłupami, chronić przed głuchą złością męża i opiekować się nią. Tak, wszyscy byliśmy trochę matką naszej matki. Nikt nam niczego nie wytłumaczył - babka powiedziała nam o depresji poporodowej dopiero wtedy, kiedy byliśmy starsi - ale byliśmy świadomi jej smutku i słabości. Widzieliśmy codziennie, jak walczy, żeby przeżyć, z jakim trudem każdego ranka wstaje z łóżka, kiedy jej dusza ciągle

śpi, jak toczy męczącą bitwę sama z sobą, żeby zachowywać się jak normalna żona i matka. Jakbyśmy byli ekspertami psychiatrii, znalibyśmy tę bezimienną chorobę, którą po cichu nazwałam chorobą cieni. Tym właśnie była bowiem moja matka przez większą część roku, niewiele więcej niż cieniem, ledwie tchnieniem życia, z którego emanowały bezsilne gesty, czyny i słowa. Cieniem, który uwielbialiśmy i w który pragnęliśmy wlać życiową siłę.

Zawsze zadawałam sobie pytanie, czy moje życie byłoby inne, gdyby moja matka nie była kobietą przygnębią. Przypuszczam, że tak. Może moje neurony ukształtowałyby się inaczej w jej brzuchu i miały inne połączenia, a hormony i proteiny sączyłyby się w odmiennym rytmie. Gdybym jako mała dziewczynka widziała, jak się śmieje i śpiewa, może świat nie wydawałby mi się miejscem pełnym okropności. Może byłabym kobietą odważną i zdecydowaną, na przykład poszukiwaczką przygód, jedną z tych, które wspinają się na Mount Everest, duszą się z braku tlenu, stale ryzykują, że źle postawią stopę albo wykręcą sobie palec u ręki i spadną w przepaść, igrają z własnym życiem przy każdym kroku, kimś zdolnym do pokonania wszystkich tych zagrożeń, kto dociera na szczyt, na najwyższe miejsce na ziemi i widzi mały, zwyciężony świat pod sobą. Pokonywałabym pustynie, wdychając piasek i skwar, nocami obserwowałabym gwiazdy przy ognisku i czułabym się jak nic nieznacząca drobina, spokojna pośród bezmiaru. Przemierzałabym lasy, walczyła z dzikością ziemi, ciesząc się jej dźwiękami i kolorami, światłem przedzierającym się przez ogromne liście, śpiewem nieznanymi ptaków, potężnym wyciem czepiaków. Zdobywałabym bieguny, słuchając wycia wiatrów i trzaskania lodów, niewzruszona i pewna siebie wśród nieograniczonej i okrutnej nicości. Oglądałabym ruiny zaginionych bezimiennych cywilizacji, nieznanne zwierzęta, gwałtownie

rwące rzeki i miasta zastygłe w przeszłości, zasypane i milczące. Kochałabym wielu mężczyzn, jakby każdy z nich był jedynym. Zrealizowałabym wiele prac, znała mnóstwo języków i zgłębiłabym tajemniczą wiedzę o cząstkach, energii i niezwykłym ruchu gwiazd we wszechświecie.

Żyłam jednak zamknięta, zatopiona w swoich lękach, niemal niema i głucha, czyniąc wszystko, co możliwe, żebym nie musiała się konfrontować z potrzebą zmian czy obawą ryzyka. Sztywna i blada jak statua. Jakby moja krew zastygła. Jakby brudne okruchy kamieni uniemożliwiały jej jakikolwiek ruch.

Dlatego podziwiam Sao. Ona potrafiła bowiem żyć z tym wszystkim, co ja w sobie zdusiłam, zgasiłam, przykryłam na stałe warstwami ziemi. Tak, ze wszystkich osób na świecie, jakie znam, najbardziej podziwiam Sao.

Sao

Carlina urodziła Sao sama. Był to już jej drugi poród, tak nagły i szybki, że zabrakło czasu, aby kogokolwiek powiadomić. Poczowała tylko wilgoć między nogami, silny, ciepły strumień cieczy, który spływał po jej ciele na podłogę, oraz napór czegoś twardego, co z trudem walczyło, by wyjść z jej brzucha. Dobrze wiedziała, co się dzieje. Ledwie zdołała ściągnąć koc z łóżka i położyć go pod nogami. Przykucnęła, silnie parła, wydając krótki okrzyk, znowu parła, dwa, trzy razy, i już, urodziła dziecko. Popatrzyła na nie z niedowierzaniem, zdyszana. Była to dziewczynka; sądząc z wyglądu, zdrowa. Kręciła się jak robak, silnie zaciskała piąstki, poruszając nimi rozpaczliwie w powietrzu, z wysiłkiem starała się otworzyć oczy jak ktoś, kto powraca do rzeczywistości po bardzo długim śnie. Kiedy jej się to wreszcie udało, wybuchnęła płaczem. Oстрыm i suchym, przytłumionym odgłosem gwałtownego deszczu, który właśnie w tej chwili lunął brutalnie na dom i całą wieś.

Carlina z wściekłością przegryzała pępowinę, w końcu zdołała ją rozerwać. Potem odczekała chwilę, aż wypadło łożysko, obwinęła dziecko w czysty kawałek koca i wyszła na drogę. Z czerwonej ziemi gór, przez cały ranek nagrzewanej słońcem, buchała para. W ogrodach podmuchy wiatru zakotyły drzewami, które teraz wyglądały jak duchy śmiejące się z Carliny i z jej kłopotu. Bose nogi kobiety zapadały się w błoto. To najlepiej zapamiętała z tego ranka, obraz swoich lepkich i jakby zakrwawionych stóp, które unosiła z wysiłkiem, by znowu zanurzyć je w błocie. Po długiej chwili dotarła do domu Jovity. Drzwi były solidnie zamknięte, nacisnęła więc je z całych sił.

Jovita raptownie wstała, wystraszona hałasem i wtargnięciem przemoczonej postaci, trzymającej zwinięty koc na rękach. Cały ranek czekała, aż przestanie padać, siedząc w

swoim fotelu na biegunach, który cztery lata temu, podczas swoich ostatnich odwiedzin, kupił jej syn Virgilio w Vila da Ribeira Brava. Kiedy nadchodził czas pasatów przynoszących deszcze i nie mogła już siedzieć w drzwiach domu, paląc fajkę i obserwując powolne wzrastanie fasoli i pomidorów, ptaki przelatujące z drzewa na drzewo, przechodzących sąsiadów, którzy zwykle zatrzymywali się, aby pogawędzić z nią przez dłuższą chwilę, czy hałaśliwe zabawy dzieci, Jovita siadała w swoim bujanym fotelu i popadała w melancholię. Nie lubiła deszczu. Nudziła się, choć wiedziała, że powinna dziękować Bogu za wodę, która pozwala rosnąć fasoli i pomidorom i sprawia, że źródło na Monte Pelado, z którego wszyscy korzystali, nie wysycha. Wiedziała, że deszcz jest dobry, ale się nudziła. Sama, w półmroku, nie mogła z nikim rozmawiać ani gderać, ani pleść warkoczy dzieciom, których matki szły do pracy, i szarpać je za włosy, żeby wcześniej się nauczyły, czym jest życie: kupą bólu i goryczy, cierpieniem, jakiego sama doznała podczas klęsk suszy i głodu, gdy skręcały się jej puste kiszki, słabość ogarniała całe ciało, a w głowie czuła bezustanne pulsowanie, a także bólem jedenastu porodów, bólem po stracie czterech zmarłych synów i siedmiu, którzy wyjechali do Europy, by już nigdy nie powrócić, bólem razów zadawanych przez jej mężów, gdy wracali pijani.

Nie zaznała szczególnego szczęścia w małżeństwach. Jedynym dobrym był trzeci mąż, biedny Sokrates, który pracował od świtu do zmierzchu przy owocach i rybach, pielęgnował ogród warzywny i wspinał się na górę poniżej dracen po mleko od kóz i który traktował ją jak królową, wytrzymywał jej kłótnie i pijaństwa i robił wszystko to, co mu kazała. Idź po wodę. Szedł. Podrap mnie po plecach. Drapał. Daj mi rozkosz tej nocy. Dawał. A tak, rozkosz, seks. To było najlepsze w jej życiu. Zawsze bardzo lubiła seks, to przyjemne zespolenie z drugą osobą, zapach potu i chwilowe zatracenie,

kiedy zamroczona rozkoszą, nie zwracała uwagi na płaczące dzieci ani na kukurydzę gotującą się na ogniu. A potem spokój, przyjemne odprężenie ciała, dzika radość umysłu ze szczyptą tkliwości wibrującą pod tą jasnością.

Także w tym Sokrates był lepszy od innych, bo bez oporów robił to, co chciała, inaczej niż pozostali, którzy przejmowali się tylko sobą i pozostawiali ją samą szukającą rozkoszy. Ale Sokrates nie żył od wielu lat. Przeklęty, pewnej nocy zasnął na zawsze, zanim skończył pięćdziesiąt lat. Raz w tygodniu, w poniedziałki, szła do niego na cmentarz. Myła mu nagrobną płytę. Zazwyczaj przynosiła gałęzie drzewa kapokowego, ukwiecone jak czerwone płomienie, które tak mu się podobały. I zawsze robiła mu długie wymówki, podobne do tych z najlepszych czasów ich związku, za to, że umarł tak wcześnie. I że nie stara się wrócić.

Jovita, która po matce odziedziczyła przymus zamykania oczu wszystkim zmarłym we wsi i „porządkowania” ich, wiedziała dużo o tym i owym i była przekonana, że ludzie umierają wtedy, kiedy chcą, nawet dzieci. Oczywiście nigdy nie mówią o tym na głos, że chcą umrzeć. Większość ich nawet nie jest tego świadoma. Ale duchy, które wszyscy ludzie mają w głowie i które czasami stają się złe i zazdrosne o szczęście żywych, szepczą im o tym raz i drugi do ucha, aż ich przekonają: „No dalej, chodźmy już, wystarczająco się już nażyłeś. Po co masz spędzić tu więcej czasu, skoro pozostało ci tylko znoszenie nieszczęść?”. I jeśli ludzie nie są wystarczająco wyczuleni na bezustanny atak głosów albo nie mają dostatecznie dużo siły, żeby się im oprzeć, w końcu dają się przekonać, nawet nieświadomie. I wówczas umierają. Ona sama słyszała wiele razy, jak wzywały ją duchy. Nie była jednak gotowa, żeby już odejść w zaświaty. Nawet nie dlatego, żeby czuła się szczególnie przywiązana do życia, które wydawało jej się raczej niewiele warte - a jeszcze mniej

od chwili, gdy zabrakło jej cielesnych rozkoszy - ale dlatego, że nie była zbyt pewna, czy zasłużyła na niebo i czy Bóg nie pośle jej do czyśćca. Do piekła nie, o tym była przekonana. Nie zrobiła niczego, czym zasłużyłaby sobie na wieczne smażenie się w kadzi i niekończący się ból. W końcu dobrze opiekowała się swoimi dziećmi, zawsze utrzymywała dom w czystości, a w lepszych czasach dzieliła się jedzeniem z którymś z nieszczęśników, jacy od czasu do czasu przechodzili przez wieś, uciekając przed suszą w inny rejon wyspy. Z drugiej strony jednak nie była nadmiernie cnotliwa: zbyt wiele razy się upiła, potężne łyki wódki z trzciny cukrowej rozgrzewały jej ciało i zamieniały ją w zwierzę, zmuszały, by tańczyła jak opętana, biła dzieci, pełzała po ziemi albo niszczyła rzeczy bez powodu. Był też seks, który tak lubiła. Prócz trzech mężów w młodości miała wielu przelotnych, czasem nawet żonatych kochanków - wzbudzających jej chwilowe pożądanie - z którymi zwykle spotykała się potajemnie w zaroślach drogi opadającej ku wybrzeżu lub za kościołem na Monte Pelado. Trzeba było być rozpustnicą, żeby kłaść się z mężczyznami zaraz za obrazem Madonny.

Nie wiedziała, czy Pan wybaczy jej to wszystko. Zazwyczaj ksiądz mówił jej, kiedy mu się spowiadała i nalegała, by ją zapewnił, iż pójdzie do nieba, że w takim przypadku jak jej trudno coś wiedzieć. Pozostawała w stanie grzechu ciężkiego z powodu nadmiernej rozwiązłości i wszystko będzie zależało od humoru Pana w dniu, w którym przyjdzie jej się przed Nim stawić. Bóg bowiem także miewa lepsze i gorsze dni. Czy nie powiadają księgi, że po stworzeniu świata musiał odpocząć, bo był bardzo wyczerpany? A więc w pewne dni jest zmęczony albo znudzony, albo ma dość wieczności. I zależnie od stanu ducha bywa mniej bądź bardziej miłosierny. Dlatego jej przypadek



leży w rękach losu. Myśl, że los może skłaniać się ku czyścowi, napełniała ją wielkim lękiem. Wyobrażała sobie to miejsce jako bardzo ciemne, gdzie ciągle pada deszcz, woda sięga po kostki, wieje wiatr i panuje zimno, i wcale nie chciała tam skończyć. Oczywiście z czyścica można było wyjść, ale do tego trzeba, żeby ktoś się za nią modlił. A kto miałby się za nią modlić? Nie miała pieniędzy, żeby zamówić co najmniej setkę mszy, które zagwarantowałyby jej zbawienie, co, jak słyszała, zwykle czynili bogacze. Co do dzieci, miała spore wątpliwości, czy teraz, kiedy są w Europie i mają tyle rzeczy: samochody, mieszkania i drogie stroje, a nawet wiele par butów na zmianę, zależnie od pogody i rodzaju ubrania, czy nadal pamiętają o Bogu i chodzą się modlić do kościoła, skoro nawet o niej nie pamiętają, tylko piszą na Boże Narodzenie krótkie listy, które zwykle czyta jej jeden z sąsiadów chodzących niegdyś do szkoły, a czworo z jej pociech nigdy nie pojawiło się na Wyspach Zielonego Przylądka, odkąd wyjechali. Nie, na swoje dzieci nie miała co liczyć.

Jedyne, co mogła zrobić, to żyć jak najdłużej bez alkoholu i seksu, i liczyć na łut szczęścia, że Pan zapomni o jej wcześniejszym życiu. Przy tylu ludziach na świecie było mało prawdopodobne, żeby dobry Bóg pamiętał o wszystkim. Jeśli ostatnie lata życia przeżyje trzeźwa i czysta, i stawi się przed Nim, udając, że zawsze zachowywała się w ten sposób, może jej uwierzy. Na wszelki wypadek Jovita zawsze powiadamiała matkę o swoich zamiarach:

- Powiedz swoim przyjaciom, żeby zostawili mnie w spokoju, nie zamierzam zwracać na nich uwagi i nie myślę umierać, dopóki naprawdę nie będę tego chciała ja, a nie oni. Tak jak ty zrobiłaś.

Jej matka wracała we wszystkie noce nowiu. Wchodziła przez drzwi w swoim czerwonym ubraniu, tym, które przez lata nosiła co niedziela i w którym została pochowana, tym z

wielkimi falbanami przy spódnicy i haftowanymi kwiatami wokół hojnego dekoltu. Zatrzymywała się w nogach łóżka i patrzyła uważnie przez dłuższą chwilę. Jovita, choć od dawna na nią czekała, teraz udawała, że śpi, by sprawić jej przyjemność. W końcu otwierała bardzo powoli oczy i zaczynała mówić:

- Witaj, mamó. Co tam u ciebie? U mnie wszystko w porządku. Było bardzo ciepło, ale wiesz, że upał mi nie przeszkadza. Martwię się jedynie, że boli mnie ząb trzonowy. Będę musiała iść do Vila do dentysty, ale czekam, aż dostanę pieniądze z Europy, bo prawie nic mi nie zostało. Któregoś dnia Carlina przyniosła mi dobrą rybę, sargo. Ugotowałam ją z ziemniakami, papryką, pomidorami i kilkoma liśćmi laurowymi, tak jak zwykle ty ją przyrządzałaś. Była bardzo smaczna. Od dawna nie jadłam sargo. Mówią, że jest ich coraz mniej i że trudno je złowić. Była jednak bardzo silna burza i pewnie skupiły się w jednym miejscu, tu, blisko brzegu, by się schronić, bo Carlina powiedziała, że dużo złowili. Pamiętasz, matko, jak ci smakowała sargo? Prawie nic nam nie zostawiałaś, nawet na spróbowanie, tylkoś, pani, sama wszystko zjadała... Najmłodsze dziecko Pauliny było bardzo chore w zeszłym miesiącu, po tym jak przyszłaś. Dostało okropnej gorączki i w środku nocy Paulina zaniosiła je na rękach aż do Faja, do lekarza. Nie wiem, jak dała radę. Tyle kilometrów przez te wertepy, po ciemku, nad tym urwiskiem... Była bardzo ciemna noc i biedna kilka razy omal się nie zabiła, bo nic nie widziała. Przyszła z poranionymi nogami, tak pokrwawionymi, że leczyliśmy je okładami przez wiele dni. Ale zdołała uratować dziecko dzięki lekarstwu, jakie zapisał doktor. Przynajmniej tyle, w przeciwnym razie jej mąż zatłukłby ją na śmierć, jak wróciłby z Europy... Pięc dziewczynek i ten jedyny syn. Ojciec ma bzika na jego punkcie, mówi, że zabierze go do Włoch, żeby grał w piłkę

nożną, i że będą bardzo bogaci... Już idziesz, matko? Dbaj o siebie. Do szybkiego zobaczenia. I powiedz innym, żeby się nie fatygowali i nie przychodzili, bo nie będę zwracać na nich uwagi...

Matka nic nie mówiła. Tylko patrzyła na nią bardzo poważnie, słuchając z uwagą wszystkiego, co Jovita jej opowiadała. Sama jednak nie wypowiadała ani słowa, jakby śmierć razem z pulsem krwi zabrała jej głos. Córkę bardzo to złościło. Duchy na ogół długo gawędziły z żywymi. I w tych rozmowach dawały im rady, ostrzegały przed przyszłością. Matka Jovity za życia poznała wszelkie zło, jakie miało ją później spotkać - wiedziała o śmierci członków rodziny, a nawet sąsiadów, zanim się zdarzyła, dzięki różnym zjawom, które ją często nawiedzały i opowiadały jej wszystko, czasami po to, żeby uniknęła nieszczęścia, kiedy indziej, by wcześniej o czymś wiedziała i była przygotowana. Ale z jakiegoś powodu, którego Jovita nie zdołała zrozumieć, w zaświatach matka stała się niema. Może dlatego, że na tym świecie mówiła zbyt dużo, plotkowała bez przerwy, oczerniała różnych ludzi i zdradzała ze szczegółami nawet ich najbardziej intymne sekrety, o których była informowana dzięki wizytom z zaświatów, i to milczenie było rodzajem kary, jaką Bóg nałożył na nią za jej nierozwagę.

Jovicie bardzo by odpowiadało, gdyby matka do niej mówiła i uprzedzała, co się wydarzy. Uniknęłaby wielu cierpień. Wiedziałyby wcześniej o nadchodzącej suszy i gromadziłyby jedzenie, co pozwoliłoby jej uniknąć okropnego głodu. Zostałyby poinformowana o śmierci Sokratesa i nie krzyczałyby jak szalona z sercem wyrywającym się z piersi i nagle zrujnowanym życiem, gdy tamtego ranka znalazła go sztywnego i zimnego. Wiedziałyby, że dwaj inni mężowie będą ją często bezlitośnie bili, i prawdopodobnie nie związałyby się z nimi lub, gdyby to wiedziała, traktowałyby

ich inaczej. I gdyby dowiedziała się wcześniej, że zostawią ją wszystkie dzieci, nie dopuściłaby do tego, żeby tyle razy zająć w ciąży. Pierwszy mąż ulotnił się właśnie dlatego, że miał dosyć wrzawy w domu, i odszedł ze znacznie młodszą dziewczyną. Drugi dlatego, że to ona miała dość jego złego traktowania i pewnej nocy zaczęła na niego z nożem w ręce, gdy przyszedł pijany jak bela i zaczął wrzeszczeć - co zawsze budziło dzieci, które wybuchały płaczem - a wówczas ona, zanim zaczął ją bić, rzuciła się na niego i z wielu ciosów, jakie starała się mu zadać, dwa trafiły w ramię. Wyszedł z domu, wyjąc i tryskając krwią, i nigdy więcej już go nie zobaczyła.

W tym czasie miała już ośmioro dzieci - dwoje zmarło wcześniej, ponieważ nie było czym opłacić lekarza, gdy się pochorowały - i przywykła do ciężkiej pracy, żeby je utrzymać. Każdego ranka o świcie napełniała ogromny kosz owocami i warzywami z własnego ogrodu oraz z ogrodów sąsiadów: układała gwajawy, mango, papaje, sałaty, pomidory, papryki. Stawiała sobie kosz na głowę i w deszczu czy w słońcu jak najprędzej przemierzała sześć kilometrów dzielących ją od wybrzeża. Czuła, jak ciężar wbija się w jej czaszkę i płaszczy kręgosłup, czyniąc ją coraz mniejszą, aż skurczona i mokra od potu lub ulewy docierała do Carvoeiros. Tam sprzedawała swoje produkty na placu osłoniętym bryłą kościoła chroniącego zarówno przed wiatrem, jak i ostrym przedpołudniowym słońcem. To była jedyna część jej pracy, jaką lubiła: na plac przychodziły kobiety i opowiadały wiele rzeczy, w tym wszystkie plotki z miasteczka. Godzinami stały i rozmawiały na najprzeróżniejsze tematy - o zdrowiu mężów, o dzieciach, o ubraniach, przepisach kulinarnych - śmiejąc się w chwilach szczęścia i płacząc nad skończoną miłością albo śmiercią kogoś z rodziny.

W południe, kiedy jej kosz stał się pusty, a łodzie rybaków zaczynały wpływać do portu przy dźwiękach syren, szła na

nabrzeże i kupowała ryby: sardynki, ośmiornicę, mątwy i kawałki tuńczyka, które znowu dźwigała na głowie wśród sapania i jęków, wspinając się z powrotem długą drogą do wsi, gdzie je sprzedawała.

To w porcie poznała Sokratesa. Pływał na łodzi zwanej Amada, pomalowanej na czerwono i zielono. Nazwa okazała się prorocza. Pochodził z pobliskiej wyspy. Od kiedy się pojawił, zawsze przyglądał się Jovicie, choć nic nie mówił. Pociągał ją ten niski i krzepki mężczyzna z małą głową, grubymi wargami, lekko skośnymi błyszczącymi oczami i rumieńcami na twarzy i od razu zaczęła się do niego uśmiechać. Pewnego dnia zaproponował, że ją odprowadzi, i doszli razem aż do Queimada. Opowiedział jej swoje życie. Urodził się w Sao Vicente i był rybakiem od dwunastu lat. Miał żonę, ale zdarzyło się wielkie nieszczęście. Nie mogli mieć dzieci. Próbowali latami, ale to nic nie dało. Ona czuła się pusta w środku, smutna i przygaszona, kiedy widziała, jak wszystkie jej przyjaciółki i sąsiadki coraz rodziły. Mówiła, że nie czuje się prawdziwą kobietą. Uważała, że skoro nie rodzi i nie może zostawić na świecie sporej gromadki potomków, mężczyzn, którzy by emigrowali, posyłali pieniądze i mieli lepsze życie niż ona, pięknych i wesołych dziewcząt, które opiekowałyby się nimi na starość i obdarzyły wnukami, jej ciało nie ma żadnej wartości.

Małżonkowie robili wszystko, co mogli. Udali się nawet na pielgrzymkę do kościoła Świętej Łucji, szli boso przez sześć dni i spali pod gwiazdami. Położyli u stóp świętej figurkę z wosku w kształcie dziecka, zakupioną w Mindelo, wiele razy odmawiali wszystkie znane im modlitwy, a żona napiła się wody ze źródła, które tryskało z tyłu za kościołem i które w cudowny sposób nawadniało tę oazę palm w środku pustyni lawy. Wszyscy mówili, że jeśli jakaś kobieta odbędzie pielgrzymkę do świętej Łucji i dopełni rytuałów, natychmiast

zajdzie w ciążę. W ich wypadku coś się jednak nie udało, bo to nie zadziało. Zwrócili się wówczas w stronę czarów. Wyjechali do Caraquinha, gdzie mieszkała stara czarownica ciesząca się wielką sławą. Zdarła z nich fortunę, wszystkie pieniądze, jakie Sokrates zarobił przez miesiąc połowów. Żona musiała zabić koguta, następnie jego krwią zbryzgać swoje ciało i oblizać jego serce, powstrzymując bezskutecznie nudności, a w tym czasie starucha szeptała tajemnicze słowa i od czasu do czasu wznosiła okrzyki. Następnie zapaliła fajkę, wypuszczała dym i uważnie go obserwowała. Powiedziała im, że kanały w ciele Marii były zatkane przez rozmaite świństwa, ale teraz są już czyste i że urodzi im się sześć córek i dwóch synów, i że wszyscy będą mieli wspaniałe życie.

Powrócili do wsi pełni nadziei, przekonani, że ta wróżba okaże się prawdziwa. Minęły jednak dwa lata i nic się nie zdarzyło. Maria stawała się coraz smutniejsza. Mąż starał się ją przekonać, że nieposiadanie dzieci nie jest aż tak ważne, bo dla niego naprawdę liczy się to, by być z nią, i że z nią zostanie. Mnóstwo razy jej powtarzał, że może nawet tak jest lepiej, gdyż brak potomstwa uwolni ich od wielu problemów i wielkiego zniewolenia. Mogli robić to, na co mieli ochotę, razem lub osobno. Ale wszystkie słowa pocieszenia na nic się zdały. Pewnego dnia Maria nie wstała z łóżka. Nic jej nie bolało. Po prostu powiedziała, że nie ma siły wstać. Dwa tygodnie później już nie żyła. Sokrates uważał, że z żalu, choć lekarz, który przyszedł ją zbadać jeden raz, powiedział, że to rak jajników. Nie mieli pieniędzy na więcej konsultacji.

Po śmierci Marii wyjechał do Sao Nicolau, ponieważ z Sao Vincent łączyło go zbyt wiele wspomnień, a on nie chciał żyć tęsknotą, jak pies, który straciwszy nagle właściciela, obwąchuje drzwi domu i drogę, na której zgubiły się jego ślady. Myślał, żeby wyemigrować do Europy, tak jak większość jego braci i przyjaciół, ale był na to zbyt leniwy:

tyle wysiłku, żeby uzyskać zgodę, zaoszczędzić pieniądze na bilet, poszukać pracy, nauczyć się nowego języka, poznać inne zwyczaje. Był mieszkańcem Wysp Zielonego Przylądka i tu chciał umrzeć, oddychać tutejszym powietrzem, patrzeć na przezroczyste niebo i zielone morze oraz na kobiety takie jak Jovita, których nie było w żadnej innej części świata... Ona uśmiechnęła się i zrobiła minę jak mała dziewczynka. Teraz chciał mieć rodzinę, dobrą żonę i hałaśliwe, radosne dzieci. Bardzo lubił hałaśliwe dzieci z ich niewyczerpaną energią.

- Masz rodzinę? - zapytał.

- Ośmioro dzieci. I zapewniam cię, że robią mnóstwo hałasu. Podobałyby ci się!

- A masz męża?

- Ostatni odszedł przed miesiącami.

- Chcesz, żebym został z tobą? Porzucę rybołówstwo, będę uprawiał ziemię i zaopiekuję się tobą i twoimi dziećmi.

Jovita wyobraziła sobie życie z tym mężczyzną: kładłaby się z nim nocami i dysponowała jego silnymi ramionami do pracy w ogrodzie oraz przy naprawie domu, i ta myśl nagle rozjaśniła przyszłość, która ostatnimi czasy wydawała jej się raczej ciemna, z mnóstwem pracy i nielicznymi przyjemnościami. Nie wiedziała jednak, kim on jest, musiała być ostrożna. Może ją oszukuje, stara się zwieść, żeby potem maltretować ją jak inni.

- Kiedy ja cię nie znam! - odrzekła.

- Owszem, znasz mnie. Nie ma nic więcej do poznania. Nie piję ani nie biję kobiet. Jestem pracowity i wydaję mało. To wszystko.

- A czy ja ci się podobam?

- Bardzo. Odkąd cię po raz pierwszy zobaczyłem. Podobają mi się twoje biodra i to zagłębienie, jakie masz poniżej szyi, twardy i bezczelny sposób, w jaki targujesz się z

rybakami, jakbyś doskonale wiedziała, co trzymasz w rękach...

Roześmiała się: ten człowiek ją zrozumiał, rzuciwszy zaledwie jedno spojrzenie, i wydawało się, że akceptuje ją taką, jaka jest. Zdecydowała się zaryzykować:

- Dobrze. Przyjdź, gdy tylko będziesz mógł zostawić pracę. Spróbujemy. A teraz wracaj. Nie chcę, żeby moje dzieci cię zobaczyły, zanim im o tobie powiem.

I tak pojawił się Sokrates, a wraz z nim najlepszy okres w życiu Jovity, lata, kiedy miała dobrego męża, tak łatwe dla niej. To było jak cud. Mogła nawet przestać pracować. Bolesny trud noszenia owoców i ryb zniknął z jej życia, tak jak z powierzchni ziemi znika deszcz, kiedy zaczyna świecić słońce. Sokrates podjął się tej pracy, poza tym zajmował się ogrodem warzywnym, co zwiększyło jej oddanie. Był jej słońcem.

Kiedy ujrzała go martwego, była już zbyt stara, żeby powrócić na drogę do Carvoeiros, dźwigając ciężar na głowie. Starsi synowie wyjechali do Portugalii czy do Włoch i przysyłali pieniądze, które wystarczały jej na przeżycie. Postanowiła siedzieć w drzwiach domu, paląc fajkę, i patrzeć, jak rośnie fasola i pomidory. To Carlina zastąpiła ją w obwoźnym handlu.

Carlina miała wówczas około dwudziestu lat i bardzo małe dziecko. Ojciec dziecka wyjechał do Europy, pozostawiając oboje we wsi, w której dopiero co się osiedlili i gdzie nie mieli żadnej rodziny. Na początku wysłał kilka listów i trochę pieniędzy, ale potem już nic. Mijały miesiące, a ona nie wiedziała nawet, czy on żyje, aż do chwili, gdy ktoś, kto przyjechał do wsi na wakacje, opowiedział jej, że widział go w Mediolanie - pracuje w fabryce i związał się z inną kobietą. Carlina za nim nie tęskniła, jednak przeklęła go za to, że ją opuścił z małym dzieckiem, i pragnęła, żeby wszystkie jego



dzieci, te, które już miał, i te, które ewentualnie będzie miał w przyszłości, odwróciły się do niego plecami; żeby umarł sam w biedzie, bo na to właśnie zasługiwał.

Na szczęście dla niej właśnie wtedy Sokrates miał atak serca czy cokolwiek innego, co zabrało go w jedną noc. Ktoś musiał zająć się przynoszeniem do wsi ryb i zanoszeniem na wybrzeże warzyw z ogrodu i ona postanowiła to robić. Nosiła kosz na głowie i, jak wcześniej Jovita, przyzwyczała się do pokonywania codziennie dwunastu kilometrów tam i z powrotem między ciemnymi skałami i czerwoną ziemią, bez choćby jednego drzewa, które chroniłoby przed słońcem lub przed ulewami, z morzem połyskującym w dole jak srebrna tafla, które „rosło” i stawało się coraz bardziej niespokojne i hałaśliwe, w miarę jak się do niego zbliżała.

Podobnie jak Jovicie podobała jej się wrzawa na placu, krzątająca kobiety, które chodziły tam i z powrotem, oglądając towary, rozmawiając i kupując. Konkurowała z innymi przekupkami, z którymi walczyła słownie, a niekiedy - jeśli jedna z nich przeżywała ciężkie chwile i nadmiernie obniżała ceny - także czynnie, choć bijatyki nigdy nie wykraczały poza szarpanie za włosy i kilka szybkich kopniaków. Natychmiast bowiem przerywali je ludzie, którzy rzucali się, by rozdzielić walczące kobiety i trzymać je z dala od siebie dopóty, dopóki emocje nie opadły. Przekupka, która kilka minut wcześniej oferowała swoje produkty zbyt tanio, podnosiła nieco ceny, a pozostałe trochę je obniżały i sytuacja wracała do normy. Na placu znów rozlegały się głosy zachęcające do kupna, kręciły się kobiety w kolorowych strojach, jak radosne, tańczące barwne plamy, bawiły się dzieci, biegając z jednego krańca na drugi. Nieliczni mężczyźni, którzy odważyli się przejść przez plac, byli zawsze onieśmieleni taką przewagą kobiet. Wydawały się bowiem władać tą przestrzenią przez kilka godzin, wykluczając ich ze świata śmiechu, paplaniny i

ssących niemowląt uczepionych życiodajnych piersi, tej ekshibicji zapachów i smaków, które następnie magicznie mieszały się powoli w garnkach, w codziennym rytuale ognia, którego one były kapłankami.

Heraclio miał zaledwie siedem miesięcy, kiedy Carlina zaczęła pracować. Nosiła go na plecach w wielkiej chuście przywiązanej do ciała, spokojnego, ukołysanego krokami matki podczas długiej drogi. Z tygodnia na tydzień stawał się jednak coraz cięższy. A gdy zaczął chodzić, powstał prawdziwy problem. Był dzieckiem niesfornym i ciekawym świata, nie bał się niczego. Przez znaczną część drogi kopał, machał rękami i popłakiwał, upierając się, że pójdzie sam, aż w końcu zasypiał. Gdy tylko docierali do pierwszych zabudowań miasteczka, od razu się jednak budził, jakby nawet we śnie pilnował trasy. Na placu Carlina nie miała innego wyjścia, musiała go puścić, a on biegał z jednego krańca na drugi, goniąc starsze dzieci, które zwykle go szturchały i w końcu zostawiały samego, albo siadał na ziemi i bawił się z rówieśnikami, które gryzł lub rzucał w nie kamieniami, aż w końcu matki były zmuszone rozdzielić malców choćby na chwilę. To zamieszanie bardzo komplikowało Carlinie pracę. Musiała cały czas pilnować dziecka i czasami, kiedy je doglądała, traciła klientkę. Mimo to nie chciała zostawiać go we wsi. Niektóre sąsiadki proponowały, że się nim zajmą w zamian za kilka porcji ryby. Ale ona się opierała. Mimo wszystkich związanych z tym kłopotów lubiła mieć go przy sobie, słuchać jego niezgrabnych słów, czuć, kiedy zasypia na jej plecach, a sen gasi jego zniecierpliwienie. Wydawało jej się, że gdy są razem, oboje są bezpieczni. Tak jakby jedno z nich chroniło drugie. Bała się zostawić go samego, bała się, że wówczas coś złego mu się stanie. Czasem, kiedy wracała do domu, patrzyła na niego, jak spał, i ogarniał ją nieokreślony

smutek ściskający żołądek. Jakby już dało się słyszeć głosy duchów szepczących do ucha dziecka, które go wzywały.

Tragedia wydarzyła się w niedzielę, kiedy wszyscy mieszkańcy byli na mszy w niewielkim kościele na Monte Pelado. Ksiądz śpiewał w nieznanym języku, mieszaninie łaciny i kreolskiego, a wierni odpowiadali mu w ten sam sposób. Muchy bzyczały w całej świątyni i chętnie przylatywały do nosa świętego Antoniego, którego twarz rozjaśniało słońce. Zza pieśni i modlitw słyszeć było głosy małych dzieci, które jeszcze nie przystąpiły do komunii i zawsze zostawały na zewnątrz, pilnowane przez jedną ze starszych dziewczynek, zwolnioną z obowiązku uczestniczenia we mszy. Podczas odmawiania Ojciec nasz matki uświadomiły sobie, że głosy ucichły. Pewnie dzieci gdzieś się oddaliły, szukając przygód. Te kobiety, których pociechy były bardziej rozbrykane, poczuły niepokój. Nie odważyły się jednak wyjść z kościoła, bo ojciec Virgilio bardzo się złościł, gdy ktoś z jakiegoś powodu opuszczał liturgię.

Carlina starała się dalej modlić, ale po kilku minutach musiała przerwać. Wydawało jej się, że ciągnie ją jakaś tajemnicza siła, jakaś dziwna energia schodząca z nieba i wprawiająca całe jej ciało w stan napięcia, jak u zwierzęcia intuicyjnie wyczuwającego, iż zaraz zostanie zaatakowane. Wiedziała, że coś się stało z Heracliem. Odsunęła ręką kobiety blokujące jej wyjście z ławki i ruszyła w stronę drzwi. Ksiądz spojrział na nią z uniesionymi brwiami i przerwał modlitwę.

Gdy dotarła do małej esplanady z tyłu za kościołem, zobaczyła, jak biegnie ku niej na wpół oszalała dziewczynka, która tego dnia miała pilnować dzieci.

- Pomocy! Pomocy! - krzyczała.

- Co z Heracliem? Co mu się stało? Gdzie jest? Dziewczynka nic nie odpowiedziała, tylko wzięła ją za rękę i

pociągnęła w stronę skalistej góry, wznoszącej się za kościołem. Zaczęły wspinać się między kamieniami. Słyszając krzyki, wszyscy mieszkańcy, nawet ksiądz, przerwali mszę, niektórzy wspinali się za nimi. Mimo tłumu ludzi panowała dziwna cisza. Słysząc tylko krakanie wielkich padlinożernych ptaków, latających wysoko nad górą, jakby szykowały się do ataku, i dyszenie ledwie oddychającej Carliny, która była na granicy uduszenia.

Weszły w zakręt, pod ogromną skałę, czarną i chwiejną, sprawiającą wrażenie, że może spaść w każdej chwili. Tam, po drugiej stronie, leżał Heraclio twarzą do ziemi. Carlina zbliżyła się do niego, idąc bardzo powoli. Odwróciła go. Chłopczyk był oblepiony czerwoną ziemią, która wpadła mu nawet do otwartych oczu, utkwionych w jakimś miejscu na niebie. Nie miał żadnej rany, ani jednej plamki krwi, choćby draśnięcia. Mimo to nie oddychał: upadek ze skały był gwałtowny i rozkruszył jego maleńkie ciało, niszcząc je w środku jak delikatny owoc, który spadając z wysokiego drzewa, roztrzaskuje się przy uderzeniu z ziemią.

Trzy dni później Carlina wróciła do pracy. Szła chwiejnym krokiem z braku snu; podkrążone oczy sprawiły, że jej twarz straciła silny i zdecydowany wyraz. Klientki ucałowały ją i złożyły kondolencje; już wiedziały, co się stało. Kiedy sprzedała swoje owoce i jarzyny, zamiast udać się do portu, poszła do tawerny. Wypełniający ją hałaśliwi i ożywieni mężczyźni na chwilę ucichli i popatrzyli na kobietę z niezadowoleniem, marszcząc brwi, szepcząc coś jeden do drugiego, mieli jej za złe, że ośmieliła się wejść do takiego miejsca, na dodatek sama. Odpowiedziała im spojrzeniem promieniującym odwagą i niezależnością, które sprawiło, że szybko zostawili ją w spokoju i ponownie zajęli się swoimi rozmowami, napitkami i grą w wauri, odwracając się tyłem do tej samicy, zapewne szalonej, na którą postanowili nie

zwracać uwagi. Poprosiła o wódkę z trzciny cukrowej. Następną. I następną. Chciała opuścić samą siebie, zatracić się w pijaństwie, żeby chmura zapomnienia i lekkości przykryła cały ból popychający ją bezustannie ku niemożliwemu do zniesienia życiu, ku ciemnej, pełzającej strefie, nawet niebędącej życiem, a jedynie ciągiem gestów i ruchów - poruszaniem nóg, oddychaniem płuc, otwieraniem ust wypowiadających słowa, które nikogo nie interesowały. I ten straszny smutek, z jakim musiała wstawać i kłaść się spać, i chodzić po świecie, udając, że obchodzą ją sprawy innych ludzi, że nadal wierzy w modlitwy i boskie miłosierdzie, i że będzie zdolna zbudować sobie przyszłość poza niewielkim grobem - prostym drewnianym krzyżem wbitym w mały kopczyk ziemi - gdzie odpoczywał na zawsze Heraclio. Odpoczywał?

Wydała wszystkie pieniądze, jakie zarobiła przed południem. Po piątej szklance grogu już nie wiedziała, jak się nazywa. Siadła przy stole i siedziała tam, kołysząc głową, z rozsuniętymi nogami, dekoltem odsłaniającym wspaniałe piersi, rękami zagubionymi w fałdach ubrania i pustym łzawym spojrzeniem, podobnym do spojrzenia ryb, kiedy wyjęte z wody zaczynają się powoli dusić.

W tawernie nie było już nikogo. Wszyscy klienci poszli na obiad; przechodząc obok niej, spoglądali z pogardą, rzucali sprośne komentarze i rechotali, na co ona kompletnie nie zwracała uwagi. Podszedł właściciel tawerny. Był to tęgi, brudny mężczyzna, śmierzący alkoholem i octem, którym doprawiał ryby oraz czyścił ladę i stoły, wycierając je zatłuszczoną szmatą. Od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, spodobała mu się ta kobieta, z sutkami sterczącymi pod cienkim ubraniem i krągłymi nogami. Teraz, kiedy była tak pijana, może będzie mógł ją wykorzystać i spędzić miłą chwilę.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał.

Carlina wykonała niezdarny ruch ręką, wskazując dal.

- Właśnie zamykam. To pora obiadu. Zaprowadzę cię do mojego domu.

Zgodziła się kiwnięciem głowy.

Mężczyzna zbliżył się do drzwi i uśmiechając się, popchnął ją przed sobą. Czuł, jak rozgrzana krew zaczyna szybciej krążyć w jego genitaliach. Potem podszedł do niej, chwycił ją za kibić i pomógł wejść schodami na górę do pokoju, który zajmował nad tawerną. Tam położył ją na łóżku, rozebrał się, zerwał z niej majtki i wszedł w nią brutalnie, ze zwierzęcym pożądaniem. Nie protestowała, nieobecna, zagubiona w alkoholowym upojeniu jak w zimnej grocie, w której odbijają się echa dochodzących z oddali pomieszanych głosów i dyszenia.

Spała aż do następnego ranka. Kiedy się obudziła, nie wiedziała, gdzie jest. Światło wpadało już przez okno, rozjaśniając pokój, którego nie знаła. Usłyszała chrapanie mężczyzny leżącego u jej boku i poczuła lepkość jego ciała. Wówczas się przestraszyła. Usiadła na łóżku i przez kilka sekund starała się cokolwiek sobie przypomnieć. Ostatni obraz, jaki został jej w głowie, to tawerna, patrzący na nią mężczyźni i cierpki zapach stojącej przed nią szklanki z alkoholem. Wszystko pozostałe sobie wyobraziła. Popatrzyła na mężczyznę, który nadal spał, wyrzucając w górę swój cuchnący oddech. Poczwała, że chce wymiotować. Nagle, jakby jakieś światło zajaśniało w jej głowie, przypomniała sobie o Heracliu i Queimadzie oraz o nieprzyniesionych rybach. Wstała bardzo powoli, nie czyniąc żadnego hałasu, i poszła w stronę wsi, czując odrazę i wstyd, i ponownie ból, który powrócił po cichu, podpełzł jak wąż, żeby się wokół niej owinąć.

Dwa miesiące później, kiedy po raz drugi nie miała menstruacji, piersi jej nabrzmiały, a talia zaczęła zanikać, bo brzuch przygotowywał się na przyjęcie rosnącego w niej płodu, zrozumiała, że jest w ciąży. Nie chciała tego dziecka. Nie chciała, żeby ktokolwiek zastąpił jej zapach ciała Heraclia, jego gaworzenie i ciepło, które zalewało ją jak słońce o brzasku. Nie chciała również kolejnego dziecka bez ojca. Było już jednak za późno. Nie usunie ciąży - ksiądz mówił, że kobiety, które dokonują aborcji, z pewnością idą do piekła - pozostało tylko się z nią pogodzić. Bóg jej to zesłał i pewnie wiedział dlaczego.

Zaledwie Carlina się pojawiła, ze spływającą po nogach krwią zmieszaną z deszczem i owiniętym w koc tłumoczkim na rękach, Jovita zdała sobie sprawę, że dziewczyna odbyła poród. Natychmiast wyszła na podwórko, żeby poszukać ciepłej wody. Kiedy wróciła, młoda kobieta już wyciągnęła się na łóżku. Obok niej leżała dziewczynka, płacząc i wiercąc się.

Jovita zapaliła kilka świec i zajęła się dzieckiem. Dokładnie je obmyła, wytarła ręcznikiem i starannie zawiązała pępowinę. Powiedziała Carlinie, że jej córeczka jest śliczna i okrągłutka jak jabłko. Ona jednak nadal kuliła się na materacu z zamkniętymi oczyma, nie chciała spojrzeć na małą. Czuła straszny ból w brzuchu, jakby ją pobito młotkiem. Chciała tylko spać. Spać długo i żeby, kiedy się obudzi, dziewczynka zniknęła. Nie chciała, żeby umarła, to nie, ale żeby ją ktoś zabrał, ktoś, kto nie ma dzieci, i chciałby się nią zaopiekować. Ona nie mogła. Rozbita i martwa w środku, nie była gotowa, by wziąć odpowiedzialność za jej kruchość, wytrzymać jej niesamodzielną, podjąć się obowiązku wykarmienia, mycia, noszenia na plecach, nauczenia pierwszych słów, trzymania mocno za rękę, kiedy mała zacznie chodzić, pilnowania, żeby nie skręciła sobie nogi na skale. Pragnęła nie czuć się zmuszona do wzruszania się jej niewinną radością, która

wkrótce wybuchnie w uśmiechach, gaworzeniu i delikatnych pieszczotach. Zdecydowanie nie chciała kochać tego dziecka.

Jovita zaniosiła niemowlę do łóżka, owinięte w stare czyste prześcieradło. Położyła je na pościeli i odsunęła Carlinie ubranie, by odsłonić pierś. Dziewczynka zdawała się rozumieć, co powinna zrobić. Poruszyła silnie głowę, jednocześnie otwierając i zamykając usta. Mocno popychana wielkimi rękami starej, chwyciła brodawkę wargami i zaczęła energicznie ssać. Miała otwarte oczy, wielkie i ciężkie; wydawało się, że wpatruje się nimi w posmutniałe oczy matki, która odwróciła głowę do ściany, żeby na nią nie patrzeć.

Jovita siadła na brzegu łóżka.

- Boże mój! - krzyknęła. - To dziecko jest niezwykle. Będzie bardzo dzielną dziewczynką. Bardzo dzielną.



## Dzielna dziewczynka

Sao dorastała na wsi. Carlina zabierała ją ze sobą do Carvoeiros, dopóki karmiła piersią, czyli aż mała skończyła sześć miesięcy. Była spokojnym dzieckiem, zachowywała się niemal jak dorosła; ledwie się ruszała, czekając cierpliwie na porę karmienia, a gdy nie spała, obserwowała wszystko z ogromnym zainteresowaniem, jakby zwracała uwagę na zachowanie innych i starała się je zrozumieć, udając niemą obojętność. Mimo to przeszkadzała matce. Carlina czuła, że niesie ogromny ciężar na plecach, że dźwiga cały świat z jego wojnami i pokojem, coś obcego, za co nie chciała odpowiadać.

Kiedy doszła do wniosku, że dziewczynka jest wystarczająco silna i zdrowa, napisała do jednej z córek Jovity mieszkającej w Portugalii, włożyła do koperty kilka banknotów i poprosiła, żeby ta przysłała jej butelkę ze smoczką do karmienia niemowląt. Gdy tylko ją dostała, bez kłopotu przyzwyczaiła dziecko do picia koziego mleka rozcieńczonego wodą. Wówczas zdecydowała się porozmawiać ze starą:

- Chciałabym, żeby pani zostawała z Sao, kiedy idę do pracy. Nie mogę codziennie jej dźwigać. Pani wie, jak to jest, sama pani miała dużo dzieci. Każdego dnia coraz bardziej bolą mnie plecy. A kiedy zaczniesz chodzić, oszaleję. Będę musiała stale jej pilnować i nie będę mogła obsługiwać klientek.

Jeśli się pani nią zaopiekuje, codziennie dam pani za darmo rybę.

Jovicie wydało się, że to dobra propozycja: w ten sposób mogłaby zaoszczędzić pieniądze, jakie przysyłali jej z Europy, na wypadek gdyby znowu nadeszły ciężkie czasy, czego była pewna. Przyjdzie susza i spali ogrody warzywne. Albo harmatan, wiatr wiejący czasami z Afryki, spadnie na wieś,

wściekły i pałacy, zostawiając zgubną warstwę piasku na zasianych polach i drzewach owocowych, zniszczy wszystko. Jej synowie pożenili się z nielitościwymi kobietami, które zabroniły im pomagać matce, zapomnianej już na zawsze na oceanicznej wyspie. Córki zostały opuszczone przez mężów, musiały płacić za naukę dzieci i wizyty u lekarza, gdy te zachorowały, i nie zbywał im ani jeden centym. Powinna odłożyć pieniądze na stare lata, kiedy zostanie sama, będą bolały ją kości i będzie potrzebować lekarstw, bo wówczas już nikt sobie o niej nie przypomni.

Poza tym lubiła tę dziewczynkę, mało absorbującą i spokojną, i bez problemu mogła się nią zaopiekować. Chciała jednak utargować jak najwięcej, dlatego udała, że odrzuca propozycję:

- Nie mogę. Już nie potrafię czuwać nad tak małym dzieckiem. Jestem zbyt stara, szybko się męczę. Twoja córka zacznie chodzić za parę miesięcy i mnie wykończy. Wyobrażasz sobie, jak będę za nią chodzić po wsi? Nie w tym wieku.

Carlina patrzyła na nią uważnie i się zastanawiała. Jovita mogła mieć około sześćdziesięciu lat. Była gruba, bo wiele godzin spędzała, siedząc, niemal się nie ruszała, ale miała nadzwyczajne zdrowie - nikt nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek chorowała - i ostry wzrok, była pełna energii i stanowczości. Dobrze wychowała swoje dzieci, a dawne zamiłowanie do alkoholu i do mężczyzn z wiekiem zanikło. Wydawało jej się, że ze wszystkich kobiet we wsi, które mogłyby zająć się dzieckiem, ona była najbardziej odpowiednia. Carlina wiedziała, że musi negocjować i podwyższyć swoją ofertę, choćby to oznaczało dla niej znaczną stratę:

- Tysiąc escudo na tydzień i ryba.

Jovita udawała, że się zastanawia, patrząc na ogrody warzywne po drugiej stronie drogi.

Stado małych, żółtych i hałaśliwych ptaszków starało się podfrunąć, żeby dziobnąć zwisające z błyszczących krzewów gwajawy o delikatnej różowawej skórce, ale gdy znalazły się w pobliżu stracha na wróble, wzbiły się przestraszone ku górze, żeby powrócić po kilku minutach. Miała ochotę się roześmiać: ona również zdołała przestraszyć Carlinę i złapać ją w swoją pułapkę. Tysiąc escudo na tydzień plus ryba to była niezła oferta. Spora oszczędność na przyszłość. W dodatku będzie miała rozrywkę, opiekując się Sao i plotąc jej małe warkoczyki, co przygotowuje ją do gorzkich chwil w przyszłości. Tak, zgodziła się na tę umowę.

Tak oto Sao została z Jovitą. Na długi czas. Carlina poznała bowiem pewnego mężczyznę, który mieszkał we Włoszech i przekonał ją, żeby się pobrali i wyjechali do Europy. Obie kobiety zgodziły się, że lepiej będzie pozostawić niespełna sześciolatnie dziecko.

Było wiele powodów, dla których nie należało jej zabierać: we Włoszech zimy są bardzo chłodne, Sao trzeba by zapisać do szkoły zaraz po przyjeździe, a dziewczynka nie mówiła ani słowa w tym diabelskim języku. Przede wszystkim jednak, gdy jej matka znajdzie pracę, nie będzie miała z kim zostawić małej. Carlina szermowała tymi argumentami, jakby pokazywała cenną tkaninę, coś, czego wartości nikt nie może podważyć. Nie odczuwała smutku; w sumie nie darzyła nadmiernym uczuciem tego dziecka, ograniczając się jedynie do zimnego i mechanicznego opiekowania się nim nocami, nie okazywała mu czułości ani nie łączyły jej z nim silne więzy, jak z Heracliem. W głębi duszy myślała, że los okazał się dla niej szcudry po śmierci syna, nie obdarzając miłością do Sao, dzięki temu bowiem uwolnił ją od bólu rozdzielenia. Widziała, jak inne matki, które wyjeżdżając za granicę,

musiały zostawić dzieci w domu, cierpiały i usychały z tęsknoty w oddaleniu, a co gorsza, czuły się winne, że je opuściły. Były zgnębione, nieszczęśliwe, poddane niesprawiedliwej torturze. Załamane matki, które gdzieś daleko opiekowały się dziećmi innych kobiet, myły je i czesały, gotowały im jedzenie, trzymały mocno za rękę na przejściu przez ulicę, śpiewały im piosenki, opatulały w łózkach, bawiły się z nimi, obcałowywały je i karmiły w razie potrzeby. Robiły to, wiedząc, że między nimi i tymi dziećmi tworzy się miłość tyleż głęboka, co chwiejna, powierzchowne uczucie, które pewnego dnia nagle zniknie, kiedy one zostaną wyrzucone z domów, w których pracowały, albo znajdą sobie lepszą pracę. A pod tą gorącą lawą okazywanych uczuć wrzała mętna warstwa udręki - z powodu niewątpliwego rozstania w przyszłości, a także wszystkiego tego, co pozostawiły za sobą, własnych dzieci, którymi nie mogły się opiekować, dorastających wśród obcych, często obojętnych, wrogich, a niekiedy nazbyt pobłażliwych ludzi. Tak, zdecydowanie Carlina była szczęśliwsza.

Jedyną osobą, która nie zgadzała się na tę propozycję, była sama Sao. Nie dlatego, że nie chciała rozstać się z matką. Jej miłość do niej była lekka i wesoła jak wiosenny deszczyk i w tej miłości nie mieścił się żaden dramat, nawet z powodu rozdzielenia. Nie dlatego również, że nie chciała zostać z Jovitą: przyzwyczała się do szorstkości tej egoistycznej i brutalnej kobiety, tak jak przywykła do oziębłości swojej matki, a nie była jeszcze w tym wieku, żeby się zastanawiać nad tym, czy istniały inne sposoby kochania dziecka, inne gesty, które miałyby coś wspólnego ze słodyczą, nieistniejącą jeszcze w jej postrzeganiu życia.

Słowo Włochy rozbudziło jednak jej wyobraźnię. Kilka miesięcy wcześniej przyjechała na wakacje z Neapolu para pochodząca z tej samej wsi. Zabrała ze sobą córkę. Noli miała

dziewięć lat. Była dziewczynką zarozumiałą i wesołą, i natychmiast stała się przywódczynią wszystkich dzieci w okolicy. Przywiozła ze sobą śliczną lalkę z długimi włosami i ubrankami na zmianę, a także kilka książek, pełnych obrazków i wspaniałych historii, oraz zeszyty i kredki, którymi można było rysować całe popołudnie, a które Noli dawała tylko temu, kto jej odpowiadał. Miała wiele rozmaitych ubrań - spodnie i bluzki, jakie nosili chłopcy, i dużo par butów, które pokazywała codziennie, widząc, jak wielkie budzą zaniepokojenie. Mówiła bez przerwy o wszystkich nadzwyczajnych rzeczach istniejących we Włoszech: o ulicach pełnych samochodów i autobusów, którymi można było dojechać w dowolne miejsce, światło elektrycznym rozjaśniającym ciemności, jakby to był dzień, o windach w dużych budynkach, szkole, gdzie się uczyła, żeby zostać pielęgniarką, o cukierkach i lodach, jakie kupowała jej matka co niedziela, telewizji nadającej popołudniami kreskówki i programy dla dzieci...

Sao nie rozumiała większości tego, co opowiadała Noli, ale jej mały umysł wibrował od tych opowieści o słodyczach, zabawkach, podróżach i planach na przyszłość. Nigdy nie zastanawiała się nad możliwością stania się osobą dorosłą. Jak wszystkie małe dzieci żyła z dnia na dzień, nie uświadamiając sobie tego, że rośnie i staje się starsza, i że nadejdzie chwila, kiedy będzie musiała robić plany i podejmować decyzje. Do tej pory nie wiedziała także, że istnieje jakiś inny świat poza wsią i Carvoeiros, dokąd pewnego dnia poszła z matką; zapamiętała widok wielkiego miasta, pełnego domów i ludzi, oraz fantastyczny, hipnotyzujący obraz ogromnego zimnego morza.

Nagle wszystko to, o czym mówiła Noli, skryzalizowało się w jej wyobraźni. Pomieszane słowa i obrazy: dorastanie, nauka, podróże, drugi brzeg morza, Italia... Zobaczyła siebie

na miejscu swojej mającej właśnie skończyć dziesięć lat przyjaciółki - jako właścicielkę lalki, książek i zeszytów, mówiącą o tym, co będzie robić w przyszłości, i samodzielnie spacerującą po miejscach podobnych do Carvoeiros, ale pełnych sklepów z cukierkami w rozmaitych kolorach - jak te noszone przez Noli w wielkiej torbie - do których wchodziła i kupowała wszystko, co chciała. Wiedziała już, że pragnie tam pojechać, do Włoch, gdzie życie dzieci nie polegało jedynie na chodzeniu po wodę do źródła, wałęsaniu się między warzywnymi ogrodami czy wspinaniu do kościoła na Monte Pelado, ale gdzie miały do wyboru wiele rzeczy: zabawki, łańcuchy, szkoły, mówiące i poruszające się rysunki oraz niezliczone pary butów. I miały przyszłość, planowały, kim zostaną, miały ambicje, które mogły rozwijać i urzeczywistniać, były jak nieruchome poczwarki, które w końcu przekształcają się w piękne motyle, rozwijają skrzydła i zdobią świat.

Sao nie wiedziała jeszcze, co było jej ambicją. Dowiedziała się tego niebawem, kiedy zachorowała i umarła jej przyjaciółka Renee. Renee była dziewczynką bardzo wesołą, chętnie się bawiła, biegała, wspinała po drzewach i turlała się po ziemi. Pewnego ranka Sao spotkała ją siedzącą pośrodku drogi przecinającej wieś: wyglądała, jakby się przewróciła. Głowę pochyliła ku ziemi, a gdy podniosła wzrok, jej oczy świeciły się jak rozżarzone węgle. Powiedziała, że czuje się bardzo zmęczona, boli ją głowa i nie ma ochoty się ruszać. Sao bardzo się zmartwiła. Siadła obok niej wśród kurzu i przez długą chwilę, w milczeniu, rysowała kamieniem po ziemi. Potem Renee bardzo powoli, chwiejnym krokiem poszła do domu i już nigdy z niego nie wyszła.

Następnego ranka Jovita powiedziała Sao, że jej przyjaciółka jest bardzo chora. Miała wysoką gorączkę i choć natarli całe jej ciało sokiem z draceny i dali do picia napar ze

znamion kukurydzy, gorączka nie przechodziła. Nastaly dni pełne niepokoju. Dorośli chodzili pośpiesznie tam i z powrotem, mówili bardzo cicho. Kobiety wchodziły i wychodziły z domu Renee, niektóre z nich o niezwyklej porze, w najgorszy upał, wspinały się na górę do kościoła. Mężczyźni oddalili się ze wsi, żeby pograć w wauri, i czynili to niemal w milczeniu, nie wznosząc okrzyków, którymi zazwyczaj zagrzewali się do gry lub rzucali sobie nawzajem wyzwanie.

Dzieci posłano do ogrodów warzywnych, nakazując, żeby nie hałasowały, bo Renee bardzo boli głowa. Dwie starsze, najbardziej odpowiedzialne dziewczynki nie poszły do szkoły, tylko pilnowały, żeby maluchy przestrzegały tego polecenia. Zachowywały się bardzo poważnie, jak osoby przedwcześnie dorosłe, jakby spodziewały się dramatu. Od czasu do czasu jedna z nich szła do wsi i wracała z informacjami, które szeptała drugiej do ucha. Sao wyczuwała powagę sytuacji, choć nikt nie chciał jej niczego wytłumaczyć. Wiedziała tylko tyle, że Renee nadal jest ciężko chora. Nalegała, dopytywała, czy ona umrze, ale ci, których pytała, odwracali wzrok i zaczęli mówić o czymś innym. W końcu, drugiego dnia o piątej po południu, jedna z kobiet ze wsi przyszła im powiedzieć, że Renee poszła do nieba.

Słońce zaczynało zachodzić. Zasłaniała je grupa białych chmur. Potężne promienie przebijały się przez tę ruchomą warstwę, wypełniając ją olśniewającymi czerwieniami i błękitami i tworząc wokół chwiejną koronę światła. Sao siadła u stóp mango, szukając schronienia przed nagłym smutkiem, i przez długą chwilę obserwowała niebo. Wydawało jej się, że dusza Renee podróżuje w tych chmurach, wznosząc się wśród blasku ku tronowi Boga. Co tam jest? Czy będzie jej brakowało wsi, matki i przyjaciół, szalonych wyścigów wzdłuż drogi, które zawsze wygrywała? Sao była

przestraszona i poczuła się krucha. Nigdy nie zastanawiała się nad śmiercią. I teraz nagle odkryła, że może pojawić się w taki sposób, w ciągu zaledwie kilku godzin, i nieoczekiwanie pokonać kogoś, kto jeszcze kilka dni wcześniej bawił się i krzychał, jakby życie, cała siła wszechświata zamieszkały na zawsze w jego ciele. Czego miała się uchwycić, na czym wesprzeć, co było pewne?

Następnego ranka przyprowadzono wszystkie dzieci ze wsi, żeby zobaczyły ciało martwej Renee przed pogrzebem. Wyglądała pięknie w swojej różowej koronkowej sukience, której jeszcze nie nosiła, z gałązką pachnących kwiatów jaśminu w rękach, jakby spała, pogodna, a nawet wesoła pomimo bezruchu. Sao uspokoił jej widok. Może niebo jest tak dobre, jak wszyscy mówią, i teraz tam, w górze, jest jej bardzo dobrze, równie dobrze jak we wsi.

Matka Renee, otoczona innymi kobietami, siedziała u wezłowania trumny, płacząc rozpaczliwie. Sao uświadomiła sobie, że tamta raz po raz powtarza to samo zdanie. Na początku nie mogła zrozumieć słów, bo zagłuszał je płacz. Dziewczynka stała przed nią przez dobrą chwilę, obserwując, jak kobieta rozpacza, i zastanawiając się, czy jej własna matka płakałaby tak samo, gdyby ona umarła. I nagle zrozumiała wypowiedane wśród łkania słowa:

- Gdybyśmy mieli pieniądze, żeby zawołać lekarza i zapłacić za leki, moja biedna dziewczynka by nie umarła...

A więc to było to. To się właśnie wydarzyło. Renee umarła nie dlatego, że Bóg przywołał ją do siebie, jak wszyscy powtarzali od poprzedniego dnia. Umarła, ponieważ jej rodzice nie mogli zapłacić za lekarza. Sao poczuła, jak coś w niej pęka, i cały żal, który do tej pory więziła w żołądku, nagle wybuchł. Zaczęła płakać i biegiem wypadła z tamtego domu. Nie przestała biec, aż dotarła do kościoła na Monte Pelado. Padła twarzą w dół, dysząc, mocząc ziemię swoimi łzami. Po



chwili się uspokoiła. W końcu usiadła, umazaną błotem twarz oczyściła spódnicą i przyciskając kolana do piersi, jakby chciała objąć samą siebie, patrzyła na okolicę, na biedne chaty Queimady, rachityczne ogrody warzywne, wyschnięte góry, o zboczach opadających aż do morza, jak poczerwieniała kaskada kamieni, urywająca się nagle, tam, w dole, na niewyraźną i daleką plamę Carvoeiros, z jego nieustannym ruchem i radością, tak obcą temu smutnemu dniowi we wsi.

Wówczas coś sobie uświadomiła. Ludzie, którzy mieszkali w miasteczku, w dużych domach, mieli dostatecznie dużo pieniędzy, by zawołać lekarza, kiedy zachorują. Także ludzie we Włoszech - gdzie ulice były pełne domów ze światłem elektrycznym i gdzie istniały tysiące szkół. Jeśli masz pieniądze, nie umrzesz, przynajmniej nie w wieku sześciu lat. A ona chce sprawić, żeby sześciolatnie dziewczynki nie musiały umierać. Będzie lekarzem i będzie leczyć ludzi, którzy nie mają pieniędzy i mieszkają we wsiach otoczonych skałami. Chce zostać lekarzem. Właśnie to pragnie zrobić ze swoim życiem, to jest plan do zrealizowania, pewnik, na którym może się oprzeć. Wydało jej się nagle, że zrozumiała to niewytłumaczalne, co dorośli nazywają światem.

Miesiąc później Sao zaczęła chodzić do szkoły. Każdego ranka dzieci z Queimada wstawały bardzo wcześnie i przemierzały pięć kilometrów, jakie dzieliły je od Faja de Baixo, idąc krętą ścieżką nad brzegiem przepaści, z zeszytami i pudełkiem na jedzenie. Na początku szły zwykle na wpół śpiące, milcząc, potykając się i potrącając kamienie leżące wzdłuż drogi. Po pewnym czasie zaczynały się jednak budzić - żartowały i śpiewały, a pod koniec drogi ścigały się, kto pierwszy dobiegnie do drzwi zielonego budynku stojącego pośrodku placu w miasteczku, w cieniu bananowców, otoczonego wielkimi bugenwillami z kwiatami w kolorze fuksji, o które z miłością dbała dona Natercia.

Dona Natercia, nauczycielka Sao, była ładną, mniej więcej czterdziestoletnią kobietą, w miły sposób energiczną. Uwielbiała dzieci, chociaż sama ich nie miała. Wyróżniała się bardzo jasną karnacją. Jej rodzice byli Mulatami, potomkami dawnych europejskich kolonistów, którzy w przeszłości wybierali sobie kochanki wśród Murzynek. Ich interesy szły nieźle: mieli pensjonat w Praia, stolicy kraju, i za zarobione pieniądze mogli posłać jedyną córkę do kolegium portugalskich zakonnicek, w którym kształciły się przede wszystkim dziewczynki z najbogatszych domów. Uczęszczały tam również dzieci nędzarzy, uczące się pod kuratelą zakonu. Całe ich życie w kolegium było jednak naznaczone innością: wchodziły innymi drzwiami, mniejszymi i nie tak ozdobnymi jak wejście główne, nosiły znacznie skromniejsze mundurki, siadały w klasie w ostatnich ławkach i nie wracały na obiad do domu, tylko jadły w klasztornym refektarzu, po zakonnicach, żywiąc się resztkami, czyli tym, co zostawiły siostry. Otaczająca je bieda była ich udręką, niczym łańcuch wiążący je w kącie świata, w którym kumulowała się nędza i marginalizacja i skąd z trudem udawało im się wyjść bez naznaczającego je na zawsze stygmatu na czole. Ich rodzice - alkoholicy, żebracy, prostytutki - byli pasożytami, karaluchami, które nie powinny były istnieć, a one nosiły we krwi ich plugawy ślad i zapach zgnilizny, były skazane na hardą walkę ze złośliwym aniołem towarzyszącym im od urodzenia, który co rusz przewracał je i dławił pod ciężarem nie do zniesienia.

Prawie żadna z dziewcząt z kolegium nie odzywała się do nich ani słowem, z wyjątkiem Natercii, która od pierwszego dnia obserwowała je uważnie i bardzo im współczuła. Obdarzona żywą wyobraźnią, omal się nie rozpląkała, kiedy na dziedzińcu inne uczennice, patrząc na biedne dziewczynki z ukosa, szeptem opowiadały sobie, co na ich temat przekazali

im dorośli. Myślała o tym, jakie byłoby jej życie, gdyby mocą tajemniczej boskiej decyzji urodziła się w jednej z takich rodzin, nie znałaby ojca, a jej matka robiłaby straszne i niemożliwe do nazwania rzeczy z mężczyznami.

Następnego ranka ukradła w domu jabłko i podczas pauzy podeszła do jednej z biednych dziewcząt, która stała z dala od innych, oparta o bananowce, jakby szukała wśród nich schronienia, żeby nikt jej nie zaatakował. Tego dnia przyszła brudna i nieuczczesana, z poplamioną twarzą. Siostra Maria del Socorro zaprowadziła ją do klasztoru, umyła, a potem wymierzyła jej mocny policzek, co zdawało się nie robić na niej żadnego wrażenia.

Natercia uśmiechnęła się do niej:

- Jak się nazywasz?

Dziewczynka popatrzyła na nią nieufnie, może jednak uśmiech na twarzy tamtej skłonił ją do odpowiedzi:

- Ilda.

- Ja mam na imię Natercia. Zobacz, co ci przyniosłam. Dała jej jabłko. Ilda popatrzyła na nią z przestraszeniem, jakby ten prezent był pułapką, za którą skrywał się czarny dół.

- To dla ciebie, zabrałam je ze swojego domu. Weź je... Dziewczynka w końcu się zdecydowała i wzięła jabłko.

Jednak przerażona myślą, iż ktoś mógłby ją zobaczyć i pomyśleć, że je ukradła, odwróciła się, by je zjeść, stojąc plecami do dziedzińca. Była przyzwyczajona do bicia przez ojczyma i do obojętności matki, i starała się ukryć wszystko, co mogłoby wywołać wrażenie, że źle postępuje, jak szczeniak chowający się ze strachu pod stołem, kiedy wie, że dostanie reprimendę. Tak naprawdę Ilda była właśnie takim drżącym i pozbawionym opieki szczeniakiem. Natercia podeszła i szybko pocałowała ją w policzek. Potem pobiegła i dołączyła do grupy przyjaciółek, które ją obserwowały i

zaczęły surowo przepytywać. Ona jednak potrafiła wyjść z opresji, podpierając się autorytetem matki:

- Mama dała mi jabłko, żebym podarowała je jednej z biednych dziewczynek. Powiedziała, że powinniśmy je dobrze traktować i opiekować się nimi, bo one nie są winne swojemu losowi.

Odtąd Natercia stała się protektorką nieszczęśliwych dzieci, szczególnie zaś Ildy. Bardzo często przynosiła im z domu jedzenie, także ubranie, którego już nie nosiła. Podczas przerw pomagała im odrabiać lekcje. Interesowała się, jak się mają one i ich rodziny. Nigdy jednak nie zdołała skruszyć muru izolacji, jaki je otaczał. Niektóre z dziewcząt nie godziły się przyjąć od niej pomocy, kpiły z niej, przezywały głupią białaską. W taki sposób okazywały, że odrzucają świat, który zamknął drzwi przed nimi, że mogą żyć dalej same w jego ciemnym zakątku, jaki przypadł im w udziale. Prawdziwa przyjaźń łączyła Natercię tylko z Ildą, choć nawet ona nigdy nie opowiadała jej o swoim codziennym życiu, o biciu przez wiecznie pijanego ojczyma, o wstydzie, jaki odczuwała, spotykając matkę żebrzącą w drzwiach katedry, o śmieciach w prowizorycznej budzie na przedmieściu będącej jej domem, szczurach i brudzie, długich nocach, które przesypiała skulona na klepisku razem z czterema braćmi, o ponizającym poszukiwaniu resztek jedzenia w skrzyniach na śmieci ludzi bogatych, o bólu kiszek z głodu, o nędzy świadomości, że jedyne, co może w życiu zrobić, to przeżyć, bez żadnej nadziei na przyszłość ponad elementarny obowiązek - złączony nierozwiązywalnie z samym życiem - bicia własnego serca.

Biedne dziewczynki stopniowo opuszczały kolegium. Jednym kazano zostać w domu, żeby opiekowały się młodszym rodzeństwem, gdy matki wychodziły do pracy, innym znajdowano pracę służących czy podręcznych w sklepach. Ilda odeszła w wieku dziesięciu lat. Miała zacząć

zmywać talerze w jakiejś tawernie. Chciała zaoszczędzić pieniądze, żeby wyjechać z wyspy i odseparować się na zawsze od matki i ojczyma. Natercia prosiła, żeby dziewczynka utrzymywała z nią kontakt. Zapraszała, by ją odwiedzała, kiedy tylko zechce. Zobaczyła ją dopiero dwa lata później. Któregoś dnia, gdy wychodziła z kolegium, ona czekała na nią na placu.

Niewiele urosła. Nadal przypominała wygłodniałego szczeniaka o dużych wystraszonych oczach i drobniutkim ciele. Uścisnęły się z radością. Ilda powiedziała, że przyszła się pożegnać:

- Jutro wsiadam na statek do Maio. Zdołałam zaoszczędzić tyle pieniędzy, żeby mi starczyło. Matka myślała, że oddaję jej wszystko, co zarobiłam, ale ja co tydzień trochę odkładałam. Wkładałam pieniądze do butelki, którą zakopałam na górze. Każdej niedzieli, kiedy dawali mi wypłatę, szłam tam i zostawiałam pięćset escudo. Teraz starczy mi na podróż i przeżycie kilku dni, zanim znajdę pracę.

Natercia poczuła straszny żal. Nadal każdego popołudnia będzie wracała do swojego domu, pomalowanego na żółto, z niewielkimi wesołymi pokojami z widokiem na morze i pachnącym jaśminem pnącym się po fasadzie. Matka ucałuje ją i spyta, jak jej minął dzień w szkole, a ona opowie o wszystkich nawet najbłahszych wydarzeniach, sprzeczce z Fatimą, dziesiątce z języka, gniewie siostry Marii de las Angustias. Potem pójdzie na górę do swojego pokoju, zdejmie mundurek, przebierze się w wygodne ubranie i odrobi lekcje. Kiedy wróci ojciec, usiądą przy stole w rogu jadalni, przywitają się z przybyłymi wcześniej pensjonariuszami i zjedzą na kolację to, co będą chcieli: smaczną rybę z ziemniakami, xerem z kukurydzą, i popiją dużą szklanką mleka. W końcu Natercia pójdzie spać w swoim wygodnym

łóżku, opatulona kolorową kołdrą, którą babcia zrobiła jej na urodziny, i słuchając kołyszącego dźwięku fal uderzających o plażę. Nadal będzie żyła swoim codziennym życiem w chronionym i pełnym ładnych przedmiotów kawałeczku świata, myśląc o przyszłości, jak ptak zwinnie fruujący w poszukiwaniu wody. Tymczasem Ilda będzie sama wałęsała się po ulicach, cierpiała głód, wchodziła do wszystkich sklepów i tawern w poszukiwaniu wyczerpującej i źle płatnej pracy, będzie spała w kruchcie jakiegoś kościoła, pozbawiona wszystkiego, co przydaje życiu ciepła, czułości i radości, przyjemnego miejsca, gdzie można odpocząć, planów stania się dobrym i szczęśliwym człowiekiem. Chciała wyrwać ją z tej nędzy i samotności, zatrzymać blisko siebie, wlać w nią trochę lekkiego tchnienia, które towarzyszyłoby jej w życiu:

- Zostań tutaj. Moja matka da ci pracę w pensjonacie. Zawsze potrzebuje ludzi. Zostań. Będziemy się codziennie widywały. Moja matka jest dobra, przekonasz się.

Ildzie przyszło do głowy, że to wspomniały pomysł, miałyby przyjaciółkę i uczciwą pracę. Już miała się zgodzić, kiedy nagle coś bardzo mętnego wymazało ten pomysł i wszystko, co on oznaczał, z jej myśli. Spuściła głowę i ten jeden jedyny raz jej oczy napełniły się łzami.

- Nie mogę zostać. Matka i ojczym mnie znajdą. Zmuszą, żebym oddała im pieniądze, a on znowu będzie mnie dotykał, gdy tylko będzie mógł. Teraz, kiedy wracam do domu, a matka tego nie widzi, dotyka mnie i chce, żebym go pocałowała. Wiem już, co się stanie. Muszę wyjechać.

Natercia zrozumiała, że została sama ze swoim współczuciem. Ogarnęło ją uczucie równie zaborcze, co bezużyteczne, przypominające czarną chmurę, która zasmuca świat, a nie jest zdolna zmoczyć go błogosławionym deszczem. Rzeczywistość okazała się o wiele potężniejsza od

pragnienia, żeby zrobić coś dla przyjaciółki. Objęła ją ze smutkiem.

- Dobrze, jedź - powiedziała - ale nie zapomnij, że jestem tutaj, w razie gdybyś czegoś potrzebowała. Pisz do mnie, proszę, napisz do mnie zaraz po przyjeździe, żebym wiedziała, jak ci idzie.

Szybko zanotowała swój adres na kartce w zeszycie, wyrwała ją i podała Ildzie. Dziewczynka wzięła kartkę i uczyniła ogromny wysiłek, żeby się uśmiechnąć, jakby walczyła z ciężarem nie do uniesienia, którego musiała się pozbyć. Potem pobiegła w stronę katedry i zniknęła za rogiem. Natercia patrzyła na jej oddalające się delikatne plecy, które zdawały się usilnie walczyć o utworzenie sobie przejścia wśród wrogiego otoczenia, i miała wrażenie, że już nigdy więcej o niej nie usłyszy. Ilda rzeczywiście w tej właśnie chwili zniknęła z jej życia na zawsze.

W pewien sposób zostawiła w niej jednak głęboki ślad. Po ukończeniu liceum Natercia postanowiła studiować pedagogikę. Chciała móc uczynić dla innych dziewczynek, podobnych do jej przyjaciółki, to, czego nie mogła zrobić dla niej - pomóc im wyjść z nędzy, pokazać, że dzięki nauce i wysiłkowi ich życie może stać się lepsze, mogą być szanowanymi kobietami, wolnymi od okropności, jakie niesie ze sobą skrajna bieda. Chciała dać im nadzieję i środki i sprawić, żeby miały pragnienia i o nie walczyły.

Nic nie zdołało jej odwieść od tego powołania. W czasie studiów miała narzeczonego, który pragnął się z nią ożenić. Anibal był właścicielem jednego z najlepszych pensjonatów w Praia. Zakochał się w niej, gdy odwiedzał jej ojca, swojego dobrego przyjaciela. Natychmiast uzyskał jego zgodę, by poprosić ją o rękę. Ona przystała na to ze spokojem, bez miłości czy pożądania: miłość nie stanowiła komponentu jej marzeń. Była na to zbyt spokojna i realistyczna.

Przypuszczała, że któregoś dnia będzie musiała wyjść za mąż, chciała tylko, żeby mąż był człowiekiem dobrym, pracowitym i obyczajnym, kimś, kto otoczy ją szacunkiem. Nie marzyła o porywach serca ani uniesieniach. Anibal wydał jej się dobrym kandydatem: był o dziesięć lat starszy od niej i przynajmniej od czasu, kiedy mieszkał na wyspie, miał dobrze prosperujący biznes, nie słyszano też, by nadmiernie lubił alkohol ani o jakichkolwiek skandalach z kobietami. Było to narzeczeństwo nudne i przewidywalne, ale solidne. Matka Natercii natychmiast zaczęła przygotowywać posag: ręczniki i prześcieradła, a on opowiadał jej, jak urządzą swoją sypialnię z wielkim łóżem i toaletką, przed którą będzie mogła siedzieć i czesać się, jak damy na filmach.

Wszystko się jednak skończyło z powodu planów Natercii dotyczących pracy. O zmierzchu siedzieli na plaży. Do ukończenia studiów brakowało jej sześciu miesięcy i Anibal powiedział, że chciałby urządzić ślub wkrótce potem. Popatrzyła na niego bardzo poważnie, trochę przestraszona tym, co musiała mu odpowiedzieć:

- To nie będzie możliwe. Na pierwszy rok pracy wyślą mnie poza Praię, do jakiejś wsi na jednej z wysp. Trzeba będzie poczekać, aż wrócę. Przy sprzyjającym szczęściu w następnym roku będę już tutaj.

Wstał, obrażony, i niemal krzyknął:

- Masz zamiar pracować?

- Jak to: czy mam zamiar pracować? Oczywiście, że tak.

Czy nie po to teraz studiuje?

Jego rozdrażnienie rosło:

- Nie pozwolę na to, żeby moja żona pracowała poza domem! A tym bardziej żeby pojechała sama nie wiadomo dokąd! Jest aż nadto pracy w pensjonacie!

Natercia pojęła, że dzieli ich ogromne wzajemne niezrozumienie, coś, o czym nigdy nie rozmawiali i co oboje



uważali za oczywiste. Anibal się spodziewał, że ona skończy studia i powiesi dyplom w charakterze ozdoby, którą on będzie mógł się pochwalić: moja żona jest nauczycielką, wie pan, choć oczywiście nie pracuje. Ona natomiast chciała walczyć o dzieci, nawet gdyby miała to robić na końcu świata, i wydobyć z każdego z nich to, co miało najlepszego. Było to jej największe pragnienie i nikt nie mógł jej od tego odwieść, nawet dobry mąż.

Podniosła się. Anibal, ujawszy się pod boki, zezłoszczony, patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Podeszła do niego.

- Sądzę, że się nie zrozumieliśmy - powiedziała. - Powinniśmy byli porozmawiać o tym wcześniej. Ja chcę uczyć i nie porzucę tego za nic w świecie. Lepiej będzie, jak się rozstaniemy teraz. - Wyciągnęła do niego rękę, którą on, upokorzony, niezgrabnie potrząsnął. - Dziękuję ci za okazaną dobroć i życzę wszystkiego najlepszego.

Odeszła pewnym krokiem. Szła powoli po muldach piachu i choć w głębi duszy wiedziała, że powinna przed innymi udawać smutek, czuła się wolna i szczęśliwa. Żadne zobowiązanie czy przyjemność nie oddali jej od jedyne go pragnienia.

Sao i Natercia od razu się polubiły. Dziewczynkę pociągała łagodność nauczycielki, jej spokojny, wciągający sposób omawiania tematów, ale także emanująca z niej energia, jakby niewzruszona płynęła pod prąd, oraz wszystkie wspaniałe informacje zawierające się w jej słowach. Uwagę Natercii zwróciła pasja, z jaką Sao jej słuchała i uczyła się, spokojny charakter dziewczynki, pod którym zdawała się skrywać ogromny entuzjazm, i ten cudowny uśmiech, z jakim obserwowała świat.

W ciągu sześciu lat spędzonych w szkole Sao była wspaniałą uczennicą. Chwytała się nauki, jakby to była sieć mogąca ją wydobyć z nędzy. Nauczycielkę stale zadziwiała

nad wiek dojrzałe rozumienie życia przez dziewczynkę urodzoną na dalekiej wsi, która jednak uważnie odbierała bodźce z otoczenia. Pewnego dnia, zaraz po rozpoczęciu lekcji, Natercia zapytała dzieci, kim chciałyby zostać, gdy dorosną. Większość nawet nie pomyślała o tym, że ma jakiś wybór. Prawie wszyscy uważali za oczywiste, że będą robili to samo, co ich rodzice: będą rolnikami, sprzedawcami lub robotnikami w jednej z europejskich fabryk albo będą sprzątać domy. Jedno z nich, któremu udało się zobaczyć port w Carvoeiros, marzyło, żeby zostać rybakiem, a pewna dziewczynka powiedziała, że chciałyby mieć tawernę i gotować bardzo smaczne potrawy. Tylko Sao miała własne marzenie, pragnienie gigantyczne jak ogromna góra opromieniona słonecznym blaskiem.

- Chciałabym zostać lekarzem i leczyć biedne dzieci - powiedziała swoim pogodnym głosem.

Natercii omal łzy nie napłynęły do oczu. Nie tyle ze względu na powodowane współczuciem ambicje jej uczennicy, tak podobne do jej własnych, ale dlatego, że wiedziała, jak trudno będzie zrealizować dziewczynce ten plan. Podczas przerwy zawołała ją, by pomogła jej w pielęgnacji roślin, które rosły w malutkim szkolnym ogródku.

- Twój pomysł, żeby zostać lekarzem, wydaje mi się bardzo dobry - powiedziała, a Sao przytaknęła, szczęśliwa, że nauczycielka aprobuje jej plany. - Wiesz, że będziesz musiała się dużo uczyć. Studia kosztują mnóstwo pieniędzy, tylko bogatych ludzi stać na ich zapłacenie. Jest jednak jeden sposób, żebyś nie musiała płacić. Jeśli uzyskasz bardzo dobre oceny, wówczas pewni panowie, którzy mieszkają w Praia, mogą zdecydować, że zasługujesz na darmowe studia, i wyślą cię do Portugalii, żebyś tam została lekarzem.

- Czy Portugalia to to samo co Włochy?

- Nie, to dwa różne kraje, choć oba leżą w Europie.

- Ale ja chcę pojechać do Włoch, jak mama i Noli.

- Dobrze, może ci się to uda. Tak czy inaczej Portugalia jest bardzo ładna. Spodoba ci się. Teraz jednak musisz mieć jak najlepsze stopnie. Jak najlepsze.

- Tak, dono Natercio, zdobędę je, przyrzekam.

I rzeczywiście tak było. Sao niemal od razu została pierwszą uczennicą w klasie, a może nawet i w całej szkole. Szybko nauczyła się czytać i pisać, podstaw arytmetyki i wszystkich map. Uwielbiała mapy. Godzinami je oglądała, ustalając położenie Wysp Zielonego Przylądka, Portugalii i Włoch, mierząc odległość, jaka dzieliła ją od tych dwóch krajów, w których planowała swoją przyszłość - cały palec, żeby dostać się do Portugalii, i prawie jeszcze jeden, żeby dotrzeć do Turynu, gdzie mieszkała matka. W piątki po południu, kiedy wracała do wsi, wspinała się aż do kościoła na Monte Pelado, skąd było widać morze. Nauczycielka wytłumaczyła jej, w jakim kierunku leżą te kraje. Sao siadała na skale, patrzyła na północny wschód i myślała o swoim życiu tam daleko, gdy nauczy się, jak leczyć kaszel niepozwalający spać w nocy, co należy zrobić, żeby zwalczyć w drżącym ciałku gorączkę, a co, by przerwać okropne biegunki. Jej umysł ulatywał ku miejscom złożonym z kolorowych książek i zeszytów, ogromnej auli, w której jakaś nauczycielka, podobna do doni Natercii, opowiadała o wszelkich chorobach ciała i lekach na nie, oraz ku małemu pokoikowi zawsze przepelnionemu światłem, gdzie przez długie godziny będzie odrabiała lekcje, nigdy się nie męcząc. Całe jej życie było nakierowane na ten jeden jedyny cel, jakby szła szeroką, nakrytą dywanem drogą prowadzącą ją do rajy, do miejsca pełnego skarbów znajdujących się na wyciągnięcie ręki. Wówczas zaczynała śpiewać pewną starą mornę (Morna - rodzaj fado, śpiewane na Wyspach Zielonego Przylądka.): „Kto wskazał ci tę drogę, która wiedzie tak daleko, aż do Sao

Tome? Tęsknota, tęsknota za moją ziemią, Sao Nicolau". I wybuchała śmiechem. Wiedziała bowiem, że nie będzie odczuwała tęsknoty, gdy wyjedzie tam daleko, ponieważ wróci, przywożąc ze sobą wszelkie możliwe dobro.

To wielkie marzenie rozplynęło się jednak jak biała porowata chmurka pewnego lipcowego dnia, w którym Sao, skończywszy ostatnią klasę szkoły podstawowej, rozpoczęła wakacje. Niedawno ukończyła dwanaście lat. W następnym roku szkolnym miała już pójść do liceum i rozpocząć naukę w szkole średniej. Musiałyby wyjechać do Vila i tam poszukać pokoju do wynajęcia. Tego popołudnia z wielkim żalem pożegnała się z doną Natercią, która ucałowała ją wiele razy i mówiła, iż powinna dalej się uczyć i że ona zawsze będzie ją wspierać. Oczekiwała, że kiedy zostanie staruszką, Sao będzie lekarzem, najlepszym na Wyspach Zielonego Przylądka.

Dziewczynka przyszła do domu przepełniona dumą, z niebieską szarfą i świadectwem potwierdzającym ukończenie nauki w szkole podstawowej. Jovita przygotowała kolację w patio. Wydawała się zdenerwowana. Mimo iż rzadko wychodziła z domu, tego dnia poszła do ogrodu, żeby poszukać najlepszych warzyw, zabiła kurę, zmieliła najdrobniej, jak mogła, kukurydzę i teraz miała zamiar przygotować smaczną cachupę (Cachupa - narodowa potrawa Wysp Zielonego Przylądka.). Ale zgasł jej ogień, choć długo dmuchała i machała starym wachlarzem, mąka zbiła się w grudki, warzywa się rozgotowały i rozpaćkały, wchłaniając tłuszcz, za to mięso było niedogotowane. Nie wyszło jej to dobrze. Jakby nigdy nie gotowała, jakby nigdy nie przyrządzała tego dania, zawsze towarzyszącego świątecznym dniom, takim jak Boże Narodzenie lub odwiedziny jednego z jej dzieci, które czasami przyjeżdżały z Europy na wakacje.

Jasne, że chwila była dla niej szczególnie trudna. Jovita nie była kobietą zbyt sentymentalną, jednak jej miłość do Sao

była niezłomna. Choć traktowała ją surowo, kochała tę dziewczynkę być może bardziej niż własne dzieci. Zapewne wiedziała, iż była ona jej ostatnim w życiu towarzystwem. Kiedy od niej odejdzie, wyjedzie i zamieszka gdzie indziej, Jovita zostanie sama już na zawsze. Była to ostatnia okazja, by cieszyć się odrobiną miłości, ostatnia więź z męczącymi codziennymi zajęciami - utrzymaniem w porządku domu i ubrania, zdobyciem jedzenia, gotowaniem - bez których, jak sądziła, jej życie byłoby znacznie bardziej nudne i puste. Gdyby Sao zniknęła, zostałyby jej tylko duchy. A duchów nie obchodzi to, czy podłoga jest dobrze pozamatana, kuchnia wyczyszczona z popiołu, a prześcieradła czyste.

Jovita była ogromnie niezadowolona. Chciała, żeby dziewczynka nigdy nie ruszyła się z Queimada, ale jednocześnie rozumiała jej plany. Świat bardzo różnił się od tego, co jej o nim mówiono. Ludzie o wiele łatwiej podróżowali, zmieniali miejscowości, wyspy, kraje, a nawet kontynenty. Dawniej trzeba było iść na piechotę wiele godzin i płynąć daleko łodzią, żeby się gdziekolwiek dostać. Teraz w wielu miejscach były już samochody i autobusy, a także samoloty, które zabierały ludzi na koniec świata w ciągu zaledwie kilku godzin.

Była też kwestia pozycji kobiet. Jovita słyszała, że w Europie kobiety studiują, tak jak mężczyźni, i zdobywają zawód, co na Wyspach Zielonego Przylądka było jeszcze niewyobrażalne. We Włoszech i w Portugalii wiele kobiet było lekarzami, dlatego to, iż Sao chciała nim zostać, wydawało jej się może dziwne, zaskakujące, ale nie złe. Nie potrafiła zbyt dobrze zrozumieć, jak wyglądałoby życie lekarki. Zadawała sobie pytanie, czy spotkałaby mężczyznę, który chciałby być z kobietą tak inteligentną, i jak radziłaby sobie z dziećmi, gdyby je miała. Godziła się jednak z tym, że choć ona sama nie potrafi sobie tego wyobrazić, to nie

oznacza, iż jest to niemożliwe. Prawdę mówiąc, perspektywa, że Sao stanie się ważną kobietą, kimś, kto ratuje życie i kogo cały świat musi tytułować panią, napełniała ją podziwem. Przez wiele nocy, gdy dziewczynka, pochylona nad zeszytem, przy świecy, cierpliwie uczyła się czytać i pisać, czuła zazdrość, a czasami zadawała sobie pytanie, czy jej własny los byłby inny, gdyby mogła chodzić do szkoły. Wydawało jej się, że kreski stawiane na papierze były częścią magicznego rytuału, ceremonii, jaka bez wątpienia zmieniała bieg spraw tego świata, stwarzając odmienne energie i otwierając drzwi do przestrzeni, które bez posiadania tej wiedzy pozostawały zamknięte na zawsze.

A teraz musiała powiedzieć Sao, że jej droga ku temu niewątpliwie lepszemu życiu właśnie się skończyła - nieoczekiwane urwisko odgrodziło ją od tej wymarzonej przyszłości. Przed dwoma miesiącami Jovita dostała list od Carliny. Zwykle, gdy przychodził list - pięć lub sześć razy w roku - stara kobieta czekała, żeby dziewczynka wróciła ze szkoły i przeczytała go jej na głos. Ale w tym wypadku jakieś dziwne przeczucie sprawiło, że postąpiła inaczej. Poszła poszukać sąsiada, który potrafił czytać. I wtedy dowiedziała się o nieszczęściu: Carlina straciła pracę. Przez sześć lat pracowała jako służąca na stałe u pewnej rodziny - opiekowała się trojgiem dzieci, gotowała i dbała o dom. Sytuacja się jednak zmieniła, gdy niespodziewanie zaszła w ciążę; kiedy była w czwartym miesiącu i już nie mogła dłużej ukryć swego stanu, pani wyrzuciła ją na bruk. Powiedziała, że jej dzieci są już duże i więcej jej nie potrzebuje, choć ona wiedziała, że to nieprawda. Najgorsze było to, że teraz, z tym brzuchem i napęczniałymi żyłakami, nie miała szans znaleźć żadnej pracy. A to oznaczało, że nie będzie mogła dalej posyłać pieniędzy. Zarobki jej męża w fabryce ledwie starczały na opłacenie czynszu i utrzymanie. Musieli ograniczyć wydatki, co było

bardzo trudne w chwili, gdy spodziewali się dziecka. Carlina prosiła, żeby stara przyjaciółka przez kilka miesięcy zechciała utrzymać Sao, do czasu, gdy ona sama urodzi dziecko i znajdzie nową pracę.

Kiedy odczytano Jovicie list, usiadła w drzwiach domu i głęboko się zamyśliła. Była przekonana, że Carlina napisała prawdę: znała inne podobne historie. Może rzeczywiście w Europie kobiety podczas ciąży stają się słabe i nie nadają się do pracy. Była również pewna, że już nigdy więcej nie dostanie żadnych pieniędzy z Turynu. Jeśli Carlinie, mimo dziecka, uda się znaleźć jakąś pracę, będzie potrzebowała wszystkich zarobionych pieniędzy na opiekę nad nim. Po kilku miesiącach przyzwyczai się do myśli, że Jovita zajęła się Sao, mimo iż nie otrzymuje nic w zamian, i uzna to za oczywiste. A nawet gdyby w końcu dotrzymała słowa, to przez wiele miesięcy dziewczynka i jej opiekunka będą miały tylko te środki, które przysła jej dzieci. Za każdym razem było tego jednak coraz mniej. Liceum zaś drogo kosztowało. Trzeba zapłacić za stancję, chesne, kupić mnóstwo zeszytów i książek. Jeśli Jovita wyda wszystkie pieniądze na naukę dziewczynki, nie zostanie jej prawie nic na starość. Musiała podjąć decyzję. A była to ważna decyzja, w której jej sumienie ważyło się z finansami, przyszłość Sao zaś z jej własną przyszłością. Przed rozmową ze swoją wychowanką potrzebowała naradzić się z Sokratesem.

Minęło już kilka lat, od kiedy wreszcie zaczął ją odwiedzać. Pojawił się nagle pewnej niedzieli o świcie, leżał obok niej na łóżku. Jovita, jeszcze na wpół śpiąca, poczuła ciepło jego ciała i oddech na karku. Kiedy się odwróciła, zobaczyła uśmiechniętego Sokratesa, z lekko rozchylonymi grubymi wargami i szczęściem głębokim w spojrzeniu. To ponowne spotkanie było jednym z najszcześniejszych momentów w jej życiu. Na dodatek, w odróżnieniu od jej

matki, Sokrates mówił do niej, i to dużo, przez tę krótką chwilę, jaką spędził u niej w świetle wilgotnego, złocistego poranka, dopóki nie zniknął dokładnie w momencie, gdy promienie słońca zaczęły ostro świecić w szyby okna, wszystkie przedmioty odzyskały swój cień, a ptaki, po pierwszym nieśmiałym świergotaniu o świcie, rozśpiewały się z entuzjazmem. Wtedy właśnie zniknął, pozostawiając swój zapach między prześcieradłami.

Jovita przyzwyczała się do rozmów z nim. Pojawiał się każdej niedzieli, rozmawiali po cichu, szepcząc sobie do ucha, żeby nie zbudzić śpiącej jeszcze Sao. Sokrates nie ostrzegał jej przed złymi zdarzeniami, jak to zwykle robiły inne duchy. Te przemilczenia wynikały z miłości do niej: nie chciał jej straszyć. Przeciwnie, pocieszał ją w trudnych chwilach, uspokajał, kiedy była zdenerwowana, podnosił na duchu, gdy miała gorsze dni, i zawsze rozsądnie doradzał. Dużo się razem śmiali, on mówił jej mnóstwo pieprznych rzeczy, które sprawiały, że czuła się pożądana. Szkoda oczywiście, że nie mogli się dotykać.

Oczekiwała go niecierpliwie każdej niedzieli. Tej nocy nie mogła zasnąć. Kiedy się pojawił, siedziała na łóżku z zaczerwienionymi oczami i bólem głowy pulsującym w skroniach. Ledwie dała mu czas, by się całkiem ukazał.

- Już wiesz, co się stało z Carliną? - zapytała go od razu, zanim jeszcze zarysowała się jego sylwetka.

- Jasne, że wiem.

- Co powinnam zrobić? Jeśli wydam pieniądze na Sao, nie zachowam ich dla siebie. Ale jeśli ich nie wydam, zepsuję jej plany. Mam okropny kłopot.

Sokrates głęboko westchnął i powiedział do niej bardzo powoli i wyraźnie, jakby obawiał się, czy go dobrze zrozumie:

- Musisz myśleć o sobie. Ona dorośnie i będzie miała lepsze lub gorsze, ale własne życie. Odejdzie stąd i zostawi cię



samą. Będziesz potrzebowała pieniędzy, żeby o siebie zadbać. Możesz któregoś dnia trafić do szpitala albo do tego przytułku dla starców, który jest w Vila. I będziesz musiała płacić.

- Chcesz powiedzieć, że zachoruję?

- Nie, nie chcę tego powiedzieć. Nie wiem, co stanie się z tobą za tak długi czas. Tylko sobie wyobrażam, co się może zdarzyć. Bądź egoistką. Myśl o sobie. Pozwól jednak, żeby dziewczynka ukończyła tę klasę. Jeszcze będziesz miała czas, żeby później przekazać jej złe wieści. Dziś jesteś taka ładna...

Jovita przygładziła włosy.

- Przecież wcale nie spałam!

- Przypominasz sobie czasy, kiedy nie spaliśmy przez całą noc? Tamta bezsenność także bardzo dobrze ci służyła... Wstawiałaś taka cudna, jak świeżo dojrzała gwajawa. Taka jesteś i dziś.

- Pochlebca!

Jovita skończyła przygotowywać swoją nieudaną cachupę. Sao nakryła już do stołu. Nie zdjęła niebieskiej szarfy połyskującej na jej żółtym ubraniu. Usiadły. Dziewczynka zaczęła nakładać jedzenie, dziękując jednocześnie opiekunce, że przygotowała to specjalne danie, aby uczcić ukończenie przez nią szkoły podstawowej.

Stara popatrzyła na Sao, która z tą swoją ładną okrągłą twarzą i ogromnymi oczami śmiała się radośnie, pełna entuzjazmu. Jovita zdecydowała się nie czekać dłużej.

- Nie będziesz mogła pójść do liceum. Nie mam pieniędzy. Twoja matka już nie pracuje i nie może mi nic przysłać.

Łyżka Sao upadła w talerz. Tłuszcz z cachupy prysnął na szarfę, pokrywając ją w ciągu ułamka sekundy mnóstwem plamek, nie do wywabienia z błyszczącej tkaniny. Dziewczynka patrzyła na nie osłupiała, koncentrując całą swoją uwagę na malutkich brunatnych kropelkach, które

właśnie zepsuły najlepszy dzień jej życia i położyły kres jej dumie i marzeniom, podobnie jak powódź, która w jednej chwili rujnuje pracę wielu lat, zatapia budynki, niszczy pamiątki, pustoszy ogrody, niwecząc cały trud, jaki ludzie włożyli w zbudowanie sobie domu, iluzji schronienia przeciw okrucieństwu świata. Wybuchnęła nieoczekiwanym płaczem.

- Moja szarfa! Zniszczyła mi się szarfa! - mówiła wśród łez.

## Obudzić marzenie

Następny rok Sao spędziła wewnątrz szklanej kuli. Tkwiła w niej sztywna i skulona, a ponad nią płynęło życie - świty i zmierzchy, zabawy i obowiązki, śmiech i drobne wybuchy złości. Normalne życie dwunastoletniej dziewczynki na dalekiej wsi na Wyspach Zielonego Przylądka, która już nie chodzi do szkoły. Ale ona nie potrafiła się go uchwycić. Nic łącząca ją ze wszystkim tym, co być powinno, rozerwała się owego lipcowego popołudnia, kiedy Jovita powiadomiła ją, że nie będzie mogła pójść do liceum. Sao nie przestawała jednak szukać sposobu, by się dalej uczyć. Była zbyt mała, żeby to wszystko zrozumieć, ale bez wątpienia uświadamiała sobie, że została pozbawiona ważnej części samej siebie, tej, która miała się w przyszłości rozwinąć, wyrosnąć z małego pączka, teraz jeszcze zamkniętego, i rozkwitnąć z całą siłą, rzucając na świat potężny i dobroczynny cień.

Każdego ranka wstawiała, czując głęboką pustkę. Tęskniła rozpaczliwie za szkołą, długą drogą do Faja o świcie, do ciszy podczas lekcji i hałasu na przerwach, szorstkiego dotyku książek, przyjemności stopniowego zapełniania zeszytu, zapachu kredy, gumek i ołówków. Tęskniła do wiedzy, w której nauczyła się zanurzać, jak człowiek gaszący pragnienie w świeżej wodzie, i do ciepłej, stymulującej obecności doni Natercii.

Często chodziła ją odwiedzić, szła pod szkołę o pierwszej po południu i czekała na nią przy wyjściu, aż skończy lekcje. Nauczycielka zwykle zapraszała ją do domu. Siadały razem w małym ogrodzie, otoczone bugenwillami i majestatycznymi strelicjami, a pies Homer przysiadł u stóp Sao, niecierpliwie czekając, aż spadnie na ziemię jakaś kropla wspaniałych lodów mango, którą pospiesznie zlizywał.

Natercia bardzo ubolewała nad sytuacją swojej dawnej uczennicy. Rozumiała lepiej niż ona sama rozmiary jej klęski i

dramatyczne konsekwencje, jakie będzie ona miała w życiu dziewczynki, skazując ją na wykonywanie podrzędnych i źle płatnych prac, zmuszając do emigracji do obcych krajów, a może nawet, jak to było w wypadku tylu innych kobiet, do znoszenia obecności mężczyzn, którzy bez skrępowań zafundują jej kolejne cięższe, będą się upijać i nad nią pastwić, podczas gdy ona będzie się wykańczać pracą i opieką nad dziećmi, i którzy potem ją opuszczą, kiedy znuży ich zbyt spowszedniały seks. Bała się, że Sao stanie się jeszcze jedną z tylu pozbawionych ochrony i ciemionych kobiet na tym świecie.

Gdy mała przekazała jej złe wieści, Natercia spędziła wiele nocy, dodając i odejmując, starając się zbilansować swój budżet, by wziąć na siebie finansowanie nauki dziewczynki. Okazało się to jednak niemożliwe: nauczycielska pensja była niewielka, a ona od lat posyłała połowę pieniędzy rodzicom. Jej matka miała udar mózgu i od tego czasu stała się kaleką. Z powodu jej stanu i przygnębienia ojca, spędzającego wiele godzin na opiece nad żoną, pensjonat stopniowo podupadł; w końcu rodzice byli zmuszeni go zamknąć. Teraz potrzebowali dużo pieniędzy na opłacenie lekarzy oraz lekarstw dla matki i choć mieli własne oszczędności, niezbędna była również pomoc córki. To, co jej zostawało, wystarczało na wynajem domku i bardzo skromne życie. Nie stać jej było na podróże do Europy, o których zawsze marzyła, niemal nie korzystała z żadnych wygód i niewielkich luksusów, których zaznała w dzieciństwie i młodości. Pozwalała sobie tylko na dwie przyjemności: jedzenie mięsa raz w tygodniu i kupienie od czasu do czasu jakiejś książki, którą zamawiała przez pocztę w księgarni w Vila i witała z bijącym sercem, jakby przybył do niej ukochany przyjaciel. Była gotowa zrezygnować z tych dwóch wydatków, mimo to, choć wielokrotnie liczyła, nie

starczyłoby jej na zapłacenie za chesne, pomoce szkolne i stancję.

Jedynie zatem, co mogła zrobić dla Sao, to wspierać ją i doradzać. Ilekroć się spotykały, mówiła jej, by się nie zniechęcała, że gdyby znalazła dobrą pracę w mieście, zapewne mogłaby kontynuować naukę na kursach wieczorowych. Chciała, żeby dziewczynka zachowała nadzieję, chęć walki o swoją przyszłość i nie poddała się rezygnacji, niebezpiecznej jak bagno, w którym utopiło się już tyle dzieci w ciągu wielu lat jej pracy nauczycielskiej, pogodzonych z koniecznością przetrwania i radzenia sobie na tyle, by nie umrzeć z głodu. Opanowała je rutyna i ospałość ducha, przekonanie, że nie ma możliwości opuszczenia pustej i duszącej klatki biedy. Akceptacja bezlitosnego przeznaczenia, ufne wieczorne modlitwy w nadziei na to, że zwykła gorączka, skażona woda czy grypa otworzą nareszcie drogę do świata zawsze zielonych pól, niewyczerpanych źródeł i wiecznego odpoczynku - to wszystko, co im pozostawało.

Mimo to Natercia często zadawała sobie pytanie, czy postępuje słusznie. Wiedziała, że szanse na to, by Sao kontynuowała naukę, były bardzo niewielkie. Nawet gdyby znalazła jakąś pracę: służącej w czyimś domu, pomywaczki w tawernie czy uczennicy w warsztacie, najprawdopodobniej musiałaby tak długo pracować, że nie mogłaby sobie pozwolić na chodzenie na lekcje. I było niemal pewne, że jej zarobki nie wystarczyłyby na pokrycie niezbędnych wydatków. Musiałaby mieć dużo, bardzo dużo szczęścia, aby wytrwać w swoim uporze. Byłoby to niezmiernie trudne. A jeśli, choć karmiona przez nauczycielkę nadzieją, nie zdoła tego osiągnąć, jak się będzie wówczas czuła? Frustracja i żal pogłębią się po następnej klęsce, doprowadzając ją, być może, do kompletnej abnegacji. A jeśli to osiągnie? A jeśli jakies

szczodre bóstwo jej się przygląda i jest gotowe wyciągnąć do niej ramiona, obsypać darami, położyć jej pod nogi miękki dywan, który poprowadzi ją w stronę świetlanej przyszłości?

Natercia zmagala się w duszy z tymi wątpliwościami. Przez wiele nocy, gdy zaczynał władać nią sen, wprawiając jej umysł w stan, w którym rzeczywistość przypomina gęstą mgłę, w jakimś zakątku jej mózgu budziło się poczucie odpowiedzialności, przeszkadzające jej zasnąć. Często siadała w końcu na podłodze obok Homera, a pies kładł głowę na jej nogach w nadziei, że pani w zamyśleniu go popieści. W tych chwilach niepewności cieszyła się, że nie ma dzieci, którym musiałaby doradzać i nimi pokierować, wpływając na ich dalsze życie i, być może, popychając ku katastrofie.

Kiedy słońce wschodziło i oświetlało fotografie przyklejone na ścianie, zaczynała im się po kolei przyglądać. Były to pocztówki, które przez lata przysyłali jej przyjaciele i dawni uczniowie z rozmaitych zakątków Wysp Zielonego Przylądka, z Afryki, Europy, a nawet z Ameryki. Część z nich przedstawiała piękne miejsca, do których ona z całą pewnością nigdy nie dotrze. Świat ukazany w taki sposób, zawieszony w czasie, pełen zadziwiających kształtów i kolorów - błękitu nieba, różnych odcieni szarości morza, zieleni lasów, złocistych kamieni ustawianych jeden na drugim w bardzo dawnych czasach, bieli śniegu w górach, czerwieni dachów dających schronienie tylu istnieniom - wydawał się miejscem pasjonującym i pełnym obietnic. Wtedy znowu się ożywiała: może Sao osiągnie to, czego pragnie, i będzie się cieszyć tymi nadzwyczajnymi widokami. Powinna nakłaniać ją, żeby spróbowała. Już spokojniejsza, Natercia wracała do łóżka i zapadała w krótki sen, na który jeszcze mogła sobie pozwolić przed rozpoczęciem zajęć, myśląc, że cokolwiek się zdarzy, nigdy nie puści ręki swej uczennicy, nie zostawi jej zdanej na własny los, żeby szła

sama ku swemu przeznaczeniu, tak jak musiała postąpić w przypadku Ildy.

Poza wizytami u doni Natercii Sao w ciągu tych miesięcy nie robiła niczego istotnego. Pozwalała tylko, żeby płynął czas, czekając na pracę, która wyciągnie ją z tej równiny i, jak utrzymywała nauczycielka, może pozwoli jej wrócić do nauki, kontynuować wytyczony plan, nadający kierunek jej życiu, a udaremiony przez okoliczności. Od dawna wieś przestała być dla niej jedynym miejscem na świecie i to, że musiała pozostawać tu przez wiele dni, zatrzymana w swojej aktywności jak żaglówka podczas flauty, sprawiało, iż miała poczucie życia w zamknięciu. Wszystkie dni były do siebie podobne - niewiele codziennych zajęć, które nie wzbudzały jej emocji. Oczywiście, zajmowała się domem. Jovita scedowała na nią wszystkie domowe zajęcia; sama ograniczała się do wysiadania całymi dniami w swoim fotelu na biegunach i obserwowania tego, co się działo naokoło, krzycząc od czasu do czasu na dzieci i starając się wprowadzić nieco porządku w ich hałaśliwe zabawy. W tym czasie Sao dokładnie sprzątała niewielki dom, ścierała kurze z nielicznych mebli, starannie zamiatała i grabiła klepisko, wygładzała prześcieradła na łóżkach, szła do źródła po wodę i żeby zrobić tam pranie, mielila kukurydzę, rozpalala ogień, przygotowywała kuskus, dusiła ryby i jarzyny, gotowała groszek... Zajmowała się również ogrodem warzywnym: wyrywała chwasty, plewiła, nawozila, przywiązywała tyczki, obcinała gałęzie, przycinała dzikie pędy i suche liście. Opiekowała się też małymi dziećmi - bawiła się z nimi, opowiadała im bajki i uczyła piosenek. Nauczyła się nawet pleść im malutkie warkoczyki. Podczas długich sesji czesania dzieci zwykle jej się wymykały, pozostawiając ją samą z grzebieniem w ręku i bzdurną chęcią roześmiania się, którą w sobie tłumila, by zachować resztki autorytetu.

Popołudniami, kiedy upał powoli stawał się mniej dokuczliwy, wspinała się zazwyczaj do kościoła na Monte Pelado i siadała pod jego murem, żeby poczytać. Dona Natercia zostawiła jej kilka książek, jakie zachowała jeszcze ze swojego dzieciństwa: zbiory bajek i legend, żywoty świętych i Biblię dla dzieci. Sao przez dłuższą chwilę siedziała odseparowana od świata, słuchając dalekiego krakania wielkich ptaków krążących ponad górą i lekkiego stukania małych kamyków zastygłej lawy, które odrywały się od skał i spadały, tocząc się po ziemi. Słońce powoli zachodziło, jeszcze bardziej czerwieniąc rdzawą ziemię, która wydawała się wówczas odbijać w niebie, a dziewczynka czytała, starając się maksymalnie wydłużyć krótkie chwile przyjemności, emocjonowała się miłością nieszczęśliwego Bestii, współczuła świętej Genowefie zmuszonej jechać nago na koniu albo zachwycała się opowieścią o krzaku gorejącym i Bogu ukazującym się Mojżeszowi ze swoimi Tablicami Praw.

Nie robiła tylko jednego, nie patrzyła na morze. Nie wspinała się już na żaden pagórek i nie pozwalała na to, by jej myśli ulatywały ku wybrzeżom Europy. Nie chciała się dręczyć, wyobrażając sobie to, co teraz wydawało jej się nieosiągalne. Obserwowanie ogromnej szarej toni prowadzącej ku innemu, tak upragnionemu światu wywoływało w niej uczucia, nad którymi nie chciała się zastanawiać; zmartwienie i lęk o przyszłość wolała oddalić od siebie, podobnie jak odpędza się brudne moskity roznoszące choroby. Dlatego siadała plecami do wybrzeża, opierając się o ciepły mur kościoła, by budowla oddzielała ją od dawnego marzenia. I czytała tak, jak czytają dzieci, pogrążona w magicznym świecie, w którym wszystko może się wydarzyć. Czasami się zastanawiała, czy to mogłoby zaistnieć w realnym życiu. Czy dzięki samej chęci można osiągnąć to, czego się najbardziej pragnie? Syrenka musiała zapłacić bardzo wysoką



cenę za wejście do świata ludzi, utraciła głos i cierpiała na silne bóle w nogach. Eliza dotkliwie poparzyła sobie ręce pokrzywami, żeby ocalić swoich braci zamienionych w łabędzie. A ołowiany żołnierz i tancerka omal nie zginęli wśród płomieni, by pozostać na zawsze razem. Jednak wszyscy oni wiedzieli, że warto było podjąć ten trud. Ona tak samo była gotowa się poświęcić, by osiągnąć to, czego chciała: tak, zrobi tyle, ile da radę, by nadal móc się uczyć i zostać lekarzem. Nie będzie spała, będzie się odżywiała wyłącznie kukurydzą, będzie pracowała jak oślica, ale to zdobędzie. Kończyła lekturę podniesiona na duchu i zadowolona, jakby całe jej ciało skropił świeży, ożywczy deszcz w najbardziej wycieńczający upał. Wstawała, by powrócić do Queimada. Zanim ruszyła w drogę, rzucała szybkie i trochę wystraszone spojrzenie na morze i przez chwilę wydawało jej się, że tam, w oddali, za horyzontem, gdzie morze i niebo zlewają się ze sobą, łącząc się w jedną złocistą i drgającą, opromienioną słońcem plamę, rysowała się ciemna linia, która musiała być Europą.

To ojciec Virgilio w końcu pomógł Sao znaleźć pracę. Pewnego dnia pojawił się w domu Jovity z listem, jaki otrzymał z Praia. Napisała do niego Joana, kobieta pochodząca z tej samej wsi, która przed laty wyjechała do stolicy. Potrzebowała jakiejś dziewczyny do pomocy przy zajęciach w domu, gdzie sama pracowała jako służąca. Chodziło o sprzątanie i gotowanie, ale przede wszystkim o opiekę nad czworgiem małych dzieci, ponieważ ich rodzice dużo podróżowali. Pani chciała przyjąć dziewczynę, która przez jakiś czas chodziła do szkoły, mogła poczytać dzieciom bajki i pomóc w nauce liter, powinna być też miła, poukładana i bystra. Ksiądz uważał, że Sao spełnia te wymagania. Po krótkiej wymianie listów piętnaście dni później ruszyła w

drogę do Tarrafal, gdzie miała wsiąść na statek płynący na wyspę Santiago.

Jovita pożyczyła jej sześćset escudo na podróż pod warunkiem, że zwróci je, gdy tylko dostanie pierwszą pensję. Stara była smutna, ale nie miała zamiaru tego okazywać. Ostatniego dnia przygotowała dziewczynce naleśniki oraz sporą garść owoców, żeby miała co jeść w czasie podróży. Podarowała jej również trzysta escudo na wypadek, gdyby czegoś potrzebowała. Powiedziała, że tych pieniędzy nie musi zwracać. Kiedy dawała je Sao w drzwiach domu, niemal zawstydzona swoją szczodrością, poczuła ukłucie w sercu i omal się nie popłakała; monety były prawdopodobnie ostatnią rzeczą, jaką dała temu dziecku, którym opiekowała się od małego. Po raz ostatni wyciągnęła do niej rękę, żeby dać jej coś, co uczyni jej życie nieco lepszym - przedtem dawała jej jedzenie, łąski do zabawy, kawałek mydła... a teraz pieniądze, prezent odpowiedni dla osoby dorosłej, coś, co daje się komuś, kto ma już własne życie i powinien być odpowiedzialny za to, co posiada. Ostatni szczodry gest. Jovita przełknęła ślinę, żeby nie wybuchnąć płaczem. Sao mocno się do niej przytuliła i ucałowała ją głośno w policzek. Mogła wymamrotać tylko:

- Dziękuję. Dziękuję za wszystko.

Odwróciła się, udając, że stara się włożyć monety do małego tobołka, do którego spakowała wszystkie swoje rzeczy: trzy sukienki, zakiet, trochę bielizny i parę butów. Potem, zagryzając wargi, z twarzą mokrą od łez, poszła w stronę Faja, gdzie pożegnała się z doną Natercią i złapała furgonetkę jeżdżącą co rano na dół, aż do portu Tarrafal. Właśnie świtało. Przez drobne białe chmurki przebijało różowawe światło, otaczając domy miękkim woalem, świat przez chwilę zakołysał się w oszukańczej łagodności, którą raptownie zakończyło bezlitosne słońce, atakując ziemię. To

ono wyostrzyło spiczaste krawędzie skał, rozpaliło pył, lepiący się do stóp jak przesywający żar, uciszyło ptaki, które schowały się w sadach wśród gałęzi drzew owocowych, i skłoniło odporne jaszczurki do gorączkowego poszukiwania najmniejszego śladu cienia, zmusiło każde stworzenie do dzikiej walki o przetrwanie.

Sao szła bardzo szybko. Jovita gwałtownymi ruchami rąk odpędzała kłębiące się wokół niej muchy, które jakby dostrzegły jej nagłą bezbronność. Krzyknęła: „Przeklęte diabelskie stworzenia, żebyście zgnęły w piekle!”, spojrzała na bujany fotel, ale tym razem nie mogła w nim usiąść, lecz weszła do domu i położyła się na łóżku. Leżała tam wiele godzin z boleśnie suchymi oczami, patrząc, jak upał wdziera się przez otwarte okno i przenika przez szczeliny ścian, docierając do każdej szpary w meblach, we wszystkie pory jej spoczonej i nagle nieprzyjemnie pachnącej skóry. Tego dnia upał, chyba po raz pierwszy w życiu, wydał jej się nie do zniesienia.

Przez następne trzy lata Sao zajmowała się rodziną Monteiro. Państwo Monteiro mieszkali w dużym domu w najlepszej dzielnicy miasta. Do domu przylegał ogród pełen kwiatów i krzewów, w którym spędzała dużo czasu, bawiąc się z dziećmi, bo jej głównym zajęciem była opieka nad nimi. Często też prowadziła je na plażę, choć tego nie lubiła, musiała bowiem przez cały czas nad nimi czuwać, żeby się nie spiekły, bo miały bardzo jasną skórę, i nie weszły do morza, którego dzikie fale porwałyby je w minutę. Nie było łatwo pilnować czworga małych dzieci. Czasami Sao okropnie się bała, serce stawało jej w gardle, gdy jedno z nich uciekało i nagle pojawiał się na brzegu morza, oblepione piachem i krzyczące, bo fala przewróciła je na ziemię. Pewnego dnia zgubiła się trzyletnia Zeze. Sao budowała wielki zamek z Sebastiao i Jorge, podczas gdy Zeze i Loreto spały pod

parasolką, otulone ręcznikami. Nagle podniosła wzrok i spostrzegła, że dziewczynki nie ma tam, gdzie widziała ją zaledwie przed paroma minutami. Rozejrzała się dookoła, przebiegła wzrokiem brzeg morza i plażę, ale nigdzie jej nie dostrzegła. Poczula, jak ogarnia ją panika. Zaczęła krzyczeć, wołać dziecko i machać rękami w powietrzu, jakby nagle zwariowała. Natychmiast wokół niej zebrały się kobiety i jacyś chłopcy grający w piłkę nożną, którzy podeszli, widząc zamieszanie. Nikt nie widział dziewczynki. Dzieci zaczęły płakać. Pewna starsza kobieta, służąca w domu sąsiadów państwa Monteiro, szybko zorganizowała poszukiwania. Grupki rozeszły się po plaży. Sao biegła w tę i z powrotem wzdłuż brzegu, rozpaczliwie wpatrywała się w morze, przerażona myślą, że zobaczy małą sylwetkę dryfującą na wodzie. Czula, że nogi ma sztywne, jakby były z kamienia, i musiała to zwalczyć, żeby móc iść dalej. Weszła w morze do pasa, cały czas obserwując białe grzywy fal i gładką, spokojną powierzchnię wody, gdy fale się cofały. Wreszcie ktoś po nią przyszedł i sprowadził na brzeg. Dziewczynka się odnalazła. Znaleziono ją obok latarni morskiej, gdzie siedziała na skalistym brzegu i płakała.

Sao wróciła do domu wyczerpana. Bardzo chciała położyć się do łóżka i spać wiele godzin, by we śnie zapomnieć o całym zdarzeniu. Wcześniej jednak musiała wytłumaczyć się przed panią. Była przekonana, że ta wyrzuci ją z domu, ale tak się nie stało. Oczywiście strasznie na nią nakrzyczała. Powtarzała wiele razy, że z jej winy mogło dojść do straszego nieszczęścia, głośno wytknęła, że nie płaci jej za to, by spędzała miło czas, gawędząc z przyjaciółkami i zapominając o opiece nad dziećmi, nazwała ją głupią i nieodpowiedzialną, ale jej nie wyrzuciła. Nie było łatwo znaleźć dziewczynkę tak opiekuńczą i dobrze przygotowaną jak ona, choć tego dnia zachowała się nieodpowiednio.

W sumie Sao nie mogła powiedzieć, że czuje się nieszczęśliwa. Nabrała wielkiej sympatii do dzieci, jej małych skarbów, i lubiła się nimi opiekować. Były sympatyczne, przymilne i kochały ją z całkowitym oddaniem, zwykle okazywanym przez dzieci osobom, które się nimi zajmują, miłością absolutną i hałaśliwą jak niekończący się świąteczny dzień, bez ciemnych stron i tajemnic. Opiekunka była dla nich jedzeniem, zabawą, ciepłym wygodnym łóżkiem w nocy i chłodną dłonią, przynoszącą ulgę w ciężkich godzinach gorączki, pierwszym uśmiechem rano, radością i niezachwianą cierpliwością w ciągu dnia; z nią nigdy nie były znudzone ani smutne. Któregoś dnia stąd odejdzie, będzie musiała się z nimi rozstać, zerwać te cudowne więzy miłości, zrodzonej pośród pieluch, kąpieli, kaszek i drobno pokrojonych filetów. Ale dzieci, wśród mgły, która z czasem spowije ich pamięć, zapamiętają na zawsze jej poważny głos, zapach mydła, marmolady z mango i placków kukurydzianych, którymi pachniały jej ręce i fartuch. A kiedy pewnego dnia usłyszą piosenkę o Sao Nicolau, jedną z tych długich i słodkich melodii, obudzi się w nich niewytłumaczalna tęsknota do słonecznych popołudni w ogrodzie w Praia, gdy siedziały u stóp poczerwieniałej wianowłostki królewskiej z jej dziesiątkami migoczących kwiatów, a pewna dziewczynka, z której emanowała cudowna aura spokoju i bezpieczeństwa, a którą zachowały w pamięci jak cień pozbawiony twarzy, śpiewała dla nich, i tylko dla nich, te same stare piosenki.

Relacje z Joaną były raczej zdystansowane. Choć urodziły się w tej samej wsi, minęło już piętnaście lat, odkąd ta duża i krzepka kobieta wyjechała z Queimada do pracy w Praia. Może to samotność sprawiła, że stała się twarda. Może broniła się przed smutkiem, który zniszczyłby ją jak dzuma, bo była zmuszona opuścić swoją rodzinę i pracować od świtu do nocy

w obcych domach, opiekować się ludźmi, z którymi nic jej nie łączyło poza koniecznością, czuć, że każdy jej gest jest bacznie obserwowany, jeść resztki z pańskiego stołu i spać w brzydkich ciemnych klitkach, zawsze w najbardziej zaniedbanej części domu. A może po prostu miała taki charakter. W każdym razie traktowała Sao z obojętnością, a nawet z pewnym despotyzmem, jakby dziewczynka była jej służącą. Zmuszała ją do ścielenia sobie łóżka, sprzątania ich wspólnego pokoju, a także do posługiwania przy stole. Nigdy nie zaproponowała dziewczynce, żeby spędziły razem niedzielę, kiedy, korzystając z jedyne wolnego dnia w tygodniu, Joana rano szła nad morze, a wieczorem na tańce na plaży.

Początkowo w wolny dzień Sao siedziała w domu; wyciągnięta na łóżku czytała gazety, jakie państwo kupili w ciągu poprzednich dni. Przedtem, bardzo wczesnym rankiem, wychodziła na mszę, a potem szła na krótki spacer po ulicach pachnących kawą i plackami kukurydzianymi. Niebawem jednak poznała inne służące z tej samej dzielnicy i starała się wykorzystać ten dzień na trochę rozrywki. Dziewczyny, wszystkie bez rodzin, rekompensowały sobie to, spędzając niedziele w grupie: razem szły na plażę, jadły obiad na jednej z esplanad, rozpalały ognisko, siadały na ziemi wokół garnków i opowiadały sobie niekończące się historie ze swojego życia, śmiejąc się do łez z jakiegokolwiek głupoty. Potem robiły się na bóstwo, malowały usta i podkręcały rzęsy, by, podekscytowane, pójść na tańce. Zwykle tańczyły ze sobą, odrzucając propozycje chłopców ze strachu, że któryś przysunie się za blisko, a gdyby jakimś trafem zobaczyła to któraś z pań, nazbyt śmiała dziewczyna straciłaby pracę. Zachowywały się tak, dopóki nie zapadły ciemności. Z nastaniem nocy, osłaniającej wszystko, po kątach zaczynały się splatać ciała, plątać języki, a spragnione i ciepłe ręce

wślizgiwały się pod sukienki. Wówczas Sao, zbyt młoda, żeby dać się ponieść pragnieniu dotykania mężczyzny, wracała do domu nieco oszołomiona i przejęta, zadając sobie pytanie, czy któregoś dnia ona również poczuje chęć obejmowania, całowania i ocierania się o męskie ciało w sposób, który wydawał jej się wtedy odrażający.

Z państwem nie miała ani dobrych, ani złych relacji. Dona Ana była kobietą raczej oschłą. Nigdy nie okazywała czułości, nawet swoim dzieciom. Kiedy działo się im coś złego, coś je bolało albo czuły się zniechęcone, wolały schronić się w ramionach Sao zamiast biec do matki, która niemal zawsze wyciągała do nich ręce tylko po to, żeby je odsunąć, bo właśnie kończyła się malować albo czesała sobie włosy, albo jeszcze nie wysechł jej lakier na paznokciach. Była Mulatką wykształconą w Londynie, bardziej Europejką niż Afrykanką, nie znosiła fizycznego kontaktu ani zbyt otwartego okazywania uczuć. Zazwyczaj trzymała wszystkich na dystans, przekonana zapewne, że bliskość zagraża jej integralności. W podobny sposób traktowała Sao, zawsze z wyższością zamożnej kobiety, jakby studia, które dane jej było ukończyć, pieniądze, jakimi dysponowała, i jej uprzywilejowana pozycja wynikały z jej własnych zasług, urody, licznych starań i sprytu, a nie były dziełem przypadku, szczęśliwej konsekwencji tego, iż była córką angielskiego przedsiębiorcy od dawna handlującego kawą na wyspie, który ożenił się z miejscową kobietą, wspaniałą i dumną jak księżyc w pełni. Z wysokości swojej pozycji, dobrze wykształcona i niewykazująca zainteresowania prawie niczym, co nie dotyczyłoby jej wyglądu, dona Ana pozwalała na to, by służące pracowały w całkiem niezłych warunkach, i nie gnębiła ich nadmiernymi wymaganiami. Nie miała zwyczaju na nie krzyczeć czy ich besztać, ale nigdy też nie pytała o ich sprawy, ich rodziny, pragnienia czy potrzeby. Było dla niej

oczywiste, że te kobiety nie zasługują na nic innego jak tylko posługiwanie innym, i nawet nie przychodziło jej do głowy, że mogą być kimś więcej niż przedmiotami ożywionymi do jej dyspozycji, robotami składającymi się z ciała i kości, które życie oferowało osobom takim jak ona, by uczynić ich egzystencję wygodniejszą, tak jak klejnoty służyły do ozdoby, a perfumy do uwodzenia. Po prostu były jeszcze czymś, co uprzyjemnia życie.

Pan również nie mieszał się zbyt w ich sprawy. Don Jorge był sympatycznym i uprzejmym Portugalczykiem, który traktował służące z pewną dobroduszością. Rano, gdy schodził sam na śniadanie, zwykle pytał je o narzeczonych i żartował. Sao czerwieniła się pod wpływem jego słów, które wydawały jej się zbyt śmiałe, jakby w wyobraźni mężczyzny powstawały obrazy wzbudzające jej odrazę: dotykanie, dyszenie i pocenie się wśród ciemności. Czasem nawet wydawało jej się, że don Jorge patrzy na nią bardzo uważnie, a jego wzrok zatrzymuje się na jej piersiach i szerokich biodrach. Wtedy zwykle odwracała się i natychmiast zaczynała robić coś w kuchni, by uniknąć tego spojrzenia. Ale później, kiedy już wyszedł, myślała, że to tylko jej wymysły. Dlaczego miałby patrzeć na nią w taki sposób mężczyzna żonaty z bardzo ładną i elegancką kobietą, jaką ona nigdy nie zostanie?

Wiodła bardzo skromne życie. Nie tęskniła za nikim. Może trochę za doną Natercią. Obie pisywały do siebie długie listy, które zastępowały im chwile spędzone razem w Faja. Martwiło ją jedynie to, że nie mogła wrócić do nauki. Oprócz niedziel była zajęta przez cały czas, od wczesnego rana. Nie miałyby kiedy chodzić na lekcje czy choćby otworzyć książki. W nocy, kiedy razem z Joaną skończyły zbierać resztki z kolacji, zmywać naczynia i przygotowywać wszystko do śniadania na następny dzień, padała wyczerpana na łóżko i



niemal natychmiast zasypiała, z taką samą przyjemnością, z jaką szła się wykąpać po piekielnie upalnym dniu.

Kiedy opuszczała wieś, myślała jeszcze, że praca w stolicy będzie oznaczała dla niej możliwość kontynuowania nauki w liceum. Przemierzyła drogę do Sao Nicolau i spory szmat morza, jaki oddzielał ją od wyspy Santiago, z tą myślą pulsującą w głowie, jakby jakieś światełko radośnie rozjaśniało jej prostą drogę ku przyszłości. Wyobrażała sobie, jak chodzi wieczorami na lekcje do liceum, szybkim krokiem przebiega ulice, mocno ściskając książki pod pachą, te cudowne książki, w których mieściła się cała wiedza świata i w których na dodatek zawarte zostało jej własne życie, to, kim chciała zostać.

Jednakże gdy tylko dotarła do Praia i odbyła pierwszą rozmowę z panią i z Joaną, uświadomiła sobie, że to niemożliwe, gdyż jej praca będzie trwała przez cały dzień. Musiała zrobić wiele rzeczy, poświęcić mnóstwo czasu na domowe zajęcia. Ten dom nie miał nic wspólnego z biednymi chałupami na wsi. Był pełen pięknych mebli, z których każdy kosztował więcej niż chata w Queimada, delikatnych ozdób, kranów, wanien, umywalek i zlewów, talerzy i szklanek, wykonanych w dalekich fabrykach Europy, srebrnych sztućców, lnianych prześcieradeł, wytwornych ubrań przywiezionych z Paryża i Nowego Jorku i skórzanych butów z Włoch, które dopasowywały się do stopy, jakby były zrobione z tkaniny. I należało każdą powierzchnię starannie wyczyścić, wypastować, umyć, wyszczotkować, wypolerować sukniem, natrzeć specjalnymi płynami, wywoskować, uprać i uprasować delikatne tkaniny, dopilnować, żeby każda rzecz znajdowała się na swoim miejscu w stosownym momencie i miała odpowiedni połysk i fakturę. Trzeba było codziennie pójść na targ, wybrać najlepsze produkty, a następnie powoli je gotować, bacząc, aby wszystko było jak trzeba, rodzaj

garnka, wielkość ognia, ilość soli, czas potrzebny do ugotowania danej potrawy. Przede wszystkim jednak przez cały dzień należało zajmować się dziećmi, zapewniając każdemu z nich to, czego potrzebowało: jedzenie lub sen, zabawę lub kąpiel, reprimendę lub pieszczotę.

Było to jak uderzenie maczugą, straszny, nieoczekiwany cios w głowę, pozostawiający Sao oszołomioną i pełną bólu. Nie odważyła się jednak powiedzieć doni Anie, że chciałyby się uczyć. Śmiałyby się z niej i zapewne nie przyjęła do pracy z obawy, że jest zarozumiałą i niesympatyczną dziewczyną. W jednej chwili zrozumiała, że plany, jakie robiła w ciągu roku, podsycane słowami doni Natercii, były tylko złudzeniem. Uświadomiła sobie, że nigdy, przenigdy nie będzie mogła się uczyć. Była biedna, a w księdze życia biedaków zostało zapisane, iż nie mają oni dostępu do wiedzy, muszą od małego pracować, żeby zdobyć trochę tego, co bogatym jest dane w obfitości: jedzenie, ubranie do okrycia, dach nad głową i cztery ściany, w których można by się schronić podczas ulewnych deszczów lub bezlitosnego słońca w południe. Cztery ściany i dach nad głową, dające, przy dobrym szczęściu, schronienie marzeniom będącym tylko snami, absurdalnymi obrazami, jakie powinny się pojawiać jedynie we śnie, gdy umysł odpoczywa. Przeklęte marzenia, które każą wierzyć, że świat może być jasnym i ciepłym miejscem przyjemnej i sprawiedliwej egzystencji, gdzie każdy otrzyma tyle, ile sam da, gdzie wszelki wysiłek zostanie wynagrodzony, a walka o własne marzenia zakończy się wspaniałym zwycięstwem. Marzenie Sao właśnie się rozpadło w jednej chwili, jakby uderzył w nie piorun, roztrzaskując je na małe nic nieznaczące kawałeczki, zamieniając w kruchy i bezkształtny pył unoszący się natychmiast w powietrzu i absurdalnie osiadający na dowolnym miejscu, nieszczęsny

mikroskopijny kopczyk, pozbawiony jakiegokolwiek wartości i nieobchodzący nikogo.

Tamtej nocy nie spała. Czowała, jak światło w jej duszy zgasło, pozostawiając ją samą wśród ciemności. W którą stronę miała wyciągnąć ręce? Skąd czerpać pewność, jak żyć dalej, skoro otoczyła ją nieoczekiwana brzydota. Miała wrażenie, że wszystkie piękne rzeczy zniknęły z powierzchni ziemi, głosy dzieci, słońce wschodzące nad morzem, ptaki lecące wysoko po niebie, maleńki kwiatek rozkwitający nagle między kamieniami, dźwięk morny śpiewanej w środku nocy, radość z założenia nowego ubrania. Musiała żyć dalej wśród tego nowego nieprzyjaznego świata i nie wiedziała, jak to zrobić. Być służącą w jakimś domu lub kucharką w tawernie, emigrować gdzieś z małą walizką i żyć w biedzie wśród zimna i bogactwa innych - to wszystko, co pozostało jej do zrobienia. Musiała to zaakceptować. Zrezygnować. Stłumić tę część siebie, która pewnego dnia zapragnęła być kimś innym, ratować życie, leczyć straszne rany, przyjmować na świat dzieci.

Joana chrapała w swoim łóżku. Sao zakryła głowę prześcieradłami, jakby wchodziła do gniazda. Nie miała ochoty płakać, nie o to chodziło. Czowała się tak, jakby była niewidoma i wiedziała, że musi sobie z tym poradzić, tak żyć. Nie chciała znowu stać w bajorze, jak przez ostatnie miesiące spędzone na wsi. Wbrew wszystkiemu było coś w głębi niej, jakaś dzika energia, która walczyła o to, by wrócić do życia. Pogodzić się z nim. Zrezygnować. Musiała żyć dalej, jakby tamto pragnienie nigdy nie istniało, jakby wtedy była inną Sao - małą i naiwną, tą, która śniła śmieszne marzenie o liceum i uniwersytecie, a nie dojrzałą Sao, w którą zamieniła się w pierwszych godzinach życia w samotności. Tej nocy rozwiązała to w ten sposób, że złapała owo niedoświadczone, niewinne dziecko i przygotowała mu grób, dół wykopany w

czerwonawej ziemi, w pobliżu kościoła, skąd rozciągał się widok na morze, przez które, jak kiedyś wierzyła, pewnego dnia popłynie ku przyszłości. Ułożyła je starannie w tym dole, by jego wieczny odpoczynek był lekki, rozrzuciła na wierzchu pomarańczowe płatki kwiatów wianowłostki królewskiej i zostawiła je tam, by spoczywało, śpiąc na zawsze w pokoju. Rankiem wstała, czując się inną osobą, młodą kobietą, która będzie szła przez swoje nowe życie służącej tak lekko, jak to możliwe, niosąc w jakimś zakątku mózgu zgasłe wspomnienie dziewczynki marzącej i martwej.

Nawet gdyby miała wystarczająco dużo czasu, nie mogłaby zapłacić za chesne i za książki, jak to przewidziała dona Natercia. Zarabiała niewiele, trzy tysiące escudo tygodniowo, a w dodatku zaraz dostała prośby o wsparcie. Carlina napisała do niej z Turynu, gdy tylko dowiedziała się, że córka pracuje. Miała dwoje dzieci - wysłała jej zdjęcia tych dwojga wesołych tłuscioszków - i choć pracowała dorywczo, sprzątając po domach, dużo płaciła za opiekę nad maluchami, gdy szła szorować cudze toalety. Jej mąż nadal pracował w fabryce, ale jego pensja nie była wysoka, a ich wydatki ogromne: życie w europejskich miastach było bardzo drogie, o wiele droższe niż na Wyspach Zielonego Przylądka. Sao nawet nie mogła sobie tego wyobrazić. Carlina napisała również, że każdego dnia płacze, wspominając starszą córkę. Chciałaby ją mieć przy sobie, ale byłoby to bardzo trudne. We Włoszech dzieci w jej wieku nadal muszą się uczyć, lecz biedacy, tacy jak oni, nie mogą sobie pozwolić na taki luksus. Sao, czytając te słowa zapewne kłamiwej tęsknoty, zagryzła silnie dolną wargę, aż pociekło jej trochę krwi. Starła się przypomnieć sobie matkę. Szukała bardzo głęboko w pamięci jej obrazu, rysów twarzy, dźwięku głosu czy jakiegoś szczególnego gestu rąk lub wzburzenia spódnicy na wietrze w drodze na niedzielną mszę. Nie znalazła jednak niczego,

nawet śladu spojrzenia czy odległego wrażenia czułości. Wspomnienie matki było pustką, ogromną dziurą, której nie potrafiła zapełnić. I nawet nie wiedziała, czy tego chce, czy nie. Carlina była jej matką, więc szanowała ją i martwiła się o nią. Chciała, żeby jej życie było wygodne i szczęśliwe. Ale miłość to już całkiem inna sprawa. Kochać to znaczy pamiętać o kimś, kogo nie ma, i odczuwać ogromne cierpienie, takie, które nie pozwala oddychać. A jej się to nie zdarzyło. Nie tęskniła za matką, bo nigdy jej nie miała. Tak naprawdę czuła do niej żal i nie umiała temu zapobiec; zarzucała jej, że wyjechała tak daleko i zostawiła ją z Jovitą, jakby córka nic dla niej nie znaczyła. Sao była przekonana, że Carlina zrobiła tak z konieczności, mimo to, kiedy o tym myślała, czuła gorę, ukłucie smutku, które na parę chwil zaczerniało jej obraz świata. Wówczas przyrzekła sobie, że jeśli kiedyś będzie miała dzieci, to nigdy ich nie opuści, nawet gdyby musiała żebrnąć, trzymając je za rękę.

Jovita również zaczęła domagać się pieniędzy. Następnego dnia po wyjeździe Sao, gdy poczuła się stara, opuszczona i samotna, pozbawiona miłości, jak czarna skała, która stoczyła się ze zboczy wielu gór i spadła na kamienisko, twarda i odosobniona, odwiedził ją duch męża, udzielając szeregu dobrych rad i szepcząc słowa zachęty:

- Jovito, cudzie - powiedział - nie zostałam sama. Ja nadal będę cię odwiedzał, a to ja jestem najważniejszą osobą w twoim życiu. Dlatego wstań z łóżka, rozpal ogień, zrób sobie kawę i siądź w bujanym fotelu. Ciekawe, czy pomidory dużo urosły od wczoraj. I nie zapomnij nalać sobie dobrego łyka wódki do filiżanki.

- O nie! Wódki nie, od dawna jej nie piłam, nie chcę z powrotem być pijaczką!

- A jakie to ma dziś znaczenie? Lubię patrzeć, jak stajesz się dzika i masz ochotę śpiewać i tańczyć, kołysząc tymi

cudownymi biodrami, królowo moja. Nie ma już nikogo, komu mogłabyś przeszkadzać. No jeszcze jeden łyk, żebyś się trochę ożywiła i rozgrzała...

Jovita przypomniła sobie starą przyjemność picia alkoholu, uczucie, że rozpływa się jej chrześcijańska dusza i inny, bardzo stary byt, pochodzący jeszcze z czasów jaszczurek i nieprzewidywalnych węży, stopniowo zaczyna nad nią panować, zamieniając ją w końcu w dziką bestię, której świat ogranicza się do przestrzeni, jaką można zniszczyć i podeptać, do kręgu odrażających robaków zasługujących na zdeptanie. Tak, Sokrates miał rację, trochę grogu pozbawi ją nieznośnej duszności, jaką czuła od poprzedniego dnia, uczucia, że jest tylko rozpalonym kamieniem.

- Dobrze, napiję się łyczek, ale tylko mały łyczek, kiedy sobie pójdziesz. Teraz nie chcę się oddalać od ciebie. Pachniesz tak dobrze, potem i skórką pomarańczową. Jadłeś pomarańcze?

- Tam nie jadamy, nie ma takiej potrzeby. Ale spędziłem długą chwilę w ogrodzie pełnym owoców i róż. I jest tam bardzo zielona łąka, jakby padało cały dzień, choć nigdy nie pada.

- Mnie by się podobało.

- Spodoba ci się, jak przybędziesz, jasne, że ci się spodoba.

- Tak, ale nie zaczynaj mnie pospieszać.

- Nie, królowo moja, nie. Nie po to tu jestem. Przyszedłem, żeby cię wyciągnąć z łóżka, a także by cię zapytać, co myślisz o pieniądzach Sao.

- Jak to o pieniądzach Sao?

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak dużo pieniędzy wydałaś na to dziecko? Od jak dawna jej matka nie przysłała ci ani jednego escudo? Od czternastu miesięcy? Szesnastu? Kto ci to

wszystko zwróci? O Carlinie zapomnij. Tam we Włoszech sprawy układają się ciężko. Powinna ci je zwrócić Sao.

- Tak, ale ona nie wie, że jej matka od dawna mi nie płaciła.

- No to jej powiedz. Wyjaśnij jej to i powiedz, żeby co miesiąc odkładała jakąś sumę dla ciebie. Policzymy, zobaczymy, ile ci jest winna.

Zrobili rachunki i doszli do wniosku, że powinna wysyłać cztery tysiące escudo miesięcznie przez długi czas, aż wyrówna dług.

Sao nie miała zatem innego wyjścia - posyłała część swoich zarobków Jovicie i matce. Robiła to chętnie, nie zastanawiając się nad tym, co mogłaby sobie kupić, gdyby miała do dyspozycji wszystkie swoje pieniądze. Tym jest życie, niekończącym się łańcuchem wzajemnych uprzejmości. Odsunięcie się od rodziny i osób bliskich będących w potrzebie wydawało jej się niewybaczalną zdradą, czymś tak okrutnym jak zamknięcie drzwi przed nosem żebrakowi biedniejszemu niż my, który przychodzi do naszego domu, prosząc o garstkę ryżu i szklankę mleka. Życie polegało na wstawaniu rano, umyciu się, zajmowaniu się dziećmi, patrzeniu na morze i niedostrzeganiu zarysu żadnej ziemi w oddali, za horyzontem. Nie było horyzontu. Tylko małe codzienne gesty. Miłość dzieci. I wybuchy śmiechu jej przyjaciółek w niedziele, kiedy razem się kąpały albo tańczyły, wkładając w każdy ruch całą pasję, do jakiej były zdolne. Nie istniało nic innego. Dziś. I tyle.

## W stronę Europy

Zdarzyło się to we wtorek, pewnej listopadowej nocy. Kilka dni wcześniej dona Ana wyjechała do Anglii w odwiedziny do rodziców. Sao i Joana sprzątały w kuchni po kolacji, kiedy nagle wszedł don Jorge. Przywitał je i postął kilka chwil. Potem podszedł do Joany:

- Wyglądasz na trochę zmęczoną - powiedział.

- Nie, panie, dobrze się czuję...

- Idź do swojego pokoju. Niech Sao zostanie i skończy.

Joana obawiała się, żeby nie uznał jej za chorą i nie wyrzucił na ulicę jak psa pokrytego świerzbem, dlatego się opierała:

- Ależ, panie, nic mi nie jest...

- Dobrze, dobrze, idź do siebie, spokojnie. Jeśli raz się wcześniej położysz, dom się od tego nie zawali.

Joana zgodziła się niechętnie. Podziękowała, pożegnała się i poszła na górę do pokoju dla służby, nieco zmartwiona tą nagłą zachcianką pana.

Don Jorge nalał sobie szklanekę mleka i oparł się o stół. Sao dalej zmywała naczynia. Czowała się niezręcznie, jak zawsze, gdy pan kręcił się koło niej. Tak jakby słyszała wewnętrzny głos, który ją ostrzegał, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Przypisywała to swemu niedoświadczeniu w kontaktach z mężczyznami. Nie mogła jednak temu zapobiec, że czowała się źle. Przyśpieszyła zmywanie, żeby szybciej skończyć. Nagle poczuła dotyk czegoś bardzo ciepłego na swoich pośladkach. Nie rozumiała, co się dzieje. Odwróciła się i wówczas to coś gorącego i lepkiego skierowało się w stronę jej piersi. Don Jorge dotykał i zgniatał ją rękami, mrużąc coś niezrozumiałego. Zbliżył twarz do twarzy Sao z wyraźnym zamiarem pocałowania jej. Zionął alkoholem, jego oddech cuchnął grogiem, który pewnie wypił sam w salonie. Dziewczyna odepchnęła go i uciekła; schroniła się w rogu kuchni, jakby to, że oparła się plecami o ścianę,



czyniło ją niezwyciężoną. Pan jednak znowu ją zaatakował nerwowymi, szybkimi ruchami rąk, z oczami rozszerzonymi żądzą. Sao ponownie rzuciła się do ucieczki, starając się dobiec do drzwi. On był jednak szybszy i zdołał ją osaczyć przy lodówce. Pocałował ją, usiłując wsadzić język między jej mocno zaciśnięte wargi, włożył rękę pod jej sukienkę, boleśnie pociągnął za sutek i zbliżył swój uniesiony członek do jej wzniesienia łonowego, ocierając się o nią jak zwierzę.

Sao poczuła, jak mdłości napływają jej z żołądka. Widząc to, mężczyzna uwolnił ją i szybko się odsunął z obawy, że na niego wymiotuje. Starła się głęboko oddychać. Don Jorge wydawał się odzyskiwać panowanie nad sobą. Przeciągnął ręką po włosach, odsuwając kosmyki z twarzy, i popatrzył na nią z dystansem.

- Co ci jest? - zapytał, a w jego głosie słychać było gniew.

Czuła wyłącznie odrazę, którą wywołał w niej ten nieoczekiwany atak, spocone ręce dotykające jej ciała, cuchnące usta zbliżające się do jej warg, groźnie nabrzmiąły penis. Nie czuła strachu ani wstydu. Chciała tylko, żeby ten mężczyzna przestał jej dotykać, by wrócić do normalności, spokoju w żołądku i miarowego oddechu płuc.

- Niech pan się do mnie nie zbliża - odpowiedziała. - Niech pan nie próbuje znowu się do mnie zbliżyć.

- Ach tak! Co za purytanka... Czyżbyś przez lata nie przechadzała się przede mną niemal naga w tych ubraniach, które ukazują całe ciało? I teraz udajesz niechętną? Czego ty chcesz? Czy nie tego właśnie?

Sao wrzała z oburzenia. Zawsze była wstydliva. Nie lubiła eksponować swoich wdzięków, ale nie mogła temu zapobiec, że w miarę jak rosła, jej krągłe i jędrne ciało zaznaczało się pod ubraniem. Nigdy jednak nie kołysała przed nim biodrami, choć domyślała się ich powabu. Nie rzuciła choćby jednego spojrzenia na tego mężczyznę, przed którym

zwykle spuszczała nieśmiało oczy. Nie wiedziała jeszcze, co znaczy wzbudzać pożądanie. Kiedy przybyła do tego domu, miała zaledwie trzynaście lat, i choć teraz była już siedemnastolatką, seks nadal był pragnieniem, którego nie poznała, a jedynie przeczuwała, opierając się na tym, co opowiadały jej przyjaciółki. W ciągu ostatnich tygodni kilka razy spotkała się na tańcach z chłopcem, który jej się podobał, ale jedyne, co zdołała sobie wyobrazić przed zaśnięciem, kiedy nocą kładła się skonana do łóżka, było to, że on bierze ją za rękę. Wrażenie, że jej ręka pulsuje w dłoni tego chłopca, i emocja, jaką ten obraz w niej wywoływał, było najbliższe seksualnego pożądania. W tej dziedzinie Sao była nadal małą dziewczynką. Zdołała jednak bardzo dobrze zrozumieć, że patrzący na nią z ukosa don Jorge inaczej ją postrzegał.

- Nigdy nie zrobiłam niczego złego! - krzyknęła do mężczyzny. - Jeśli panu się tak wydawało, to pana вина.

Postawa Sao nie pozostawiała wątpliwości. Wydawało się, że zrozumiał, iż się pomylił. Odwrócił się i poprawił sobie rozchełstane ubranie. Potem znowu na nią popatrzył, długo, jakby podejmował decyzję. Tym razem nie spuściła wzroku. Wiedziała, że wygrała z tym człowiekiem, który nie wzbudzał w niej ani szacunku, ani strachu, tylko pogardę i odrazę skręcającą kiszki.

- No dobrze - powiedział don Jorge, używając swego najbardziej paternalistycznego tonu, tego z powitań o poranku. - Przyjmijmy, że było to nieporozumienie. Myślę, że zbyt dużo wypilem. Oboje zapomnimy o tym, co się zdarzyło, dobrze? Zapewniam cię, że to się więcej nie powtórzy. I nie mów nic pani. Zresztą ona i tak by ci nie uwierzyła.

Wyszedł z kuchni, nie mówiąc nawet: przepraszam, udając, że nadal panuje nad sytuacją jako właściciel i pan domu.

Sao skończyła zmywać i składać naczynia. Potem poszła do swojego pokoju i pośpiesznie spakowała torbę ze swoimi rzeczami. Nie chciała pozostawać w tym domu ani minuty dłużej, narażając się na to, że coś podobnego się powtórzy. Nie mogła znieść myśli, że znowu spotka tego mężczyznę i przypomni sobie, co się stało. Joana lekko poruszyła się na swoim łóżku, ale się nie obudziła. Dziewczyna zeszła ze schodów na paluszkach, żeby don Jorge nie zauważył jej odejścia. Przechodząc obok pokoi dzieci, poczuła chęć, żeby wejść i je ucałować, podziękować za całe dobro, jakiego od nich doznała w ciągu spędzonych razem lat, i wytłumaczyć im, że choć odchodzi, nadal będzie je kochała. Zrozumiała jednak, że jeśli wejdzie, nigdy nie zdoła odejść. Spojrzy na ich cudne buzie spoczywające na poduszkach, zobaczy, jak śpią, śniąc dobre sny i spokojnie czekając na nadejście nowego dnia, gdy ona przyjdzie je obudzić, a wtedy nie będzie potrafiła ich opuścić. Dlatego, zagryzając wargi i powstrzymując łzy, poszła dalej korytarzem; czuła, że pozostawia ważną część samej siebie, jakby zmieniała skórę. Bolało.

Spędziła noc na plaży. Leżała z torbą pod głową zamiast poduszki, płakała, zgnębiona tęsknotą za dziećmi, i zastanawiała się, co robić dalej. Miała dwie możliwości: poszukać nowej pracy albo wrócić ze spuszczoną głową do Queimada, przegrana, i żyć tak, jak będzie mogła, z pomocą Jovity. O świcie poszła w stronę dzielnicy Plato poszukać jakiegoś pensjonatu. Na szczęście nie wysłała jeszcze pieniędzy za poprzedni tydzień matce ani dawnej opiekunce i teraz, nim podejmie decyzję, mogła opłacić sobie nocleg. Musiała się wyspać.

Znalazła tani hotel i ulokowała się w ciemnej nagrzanym klitce, w której przynajmniej czuła się bezpieczna. Zwinęła się w kłębek na łóżku. Była wyczerpana. Po raz pierwszy w życiu

zetknęła się bezpośrednio z gwałtem, z pragnieniem zdominowania jej przez inną osobę, i chociaż zwyciężyła, to doświadczenie zostawiło bolesny ślad w jej umyśle. Do tej pory była bardzo ufna. Dorastała, wierząc, że ogromna większość ludzi ma dobre intencje, a tych złych zdradza fizyczny wygląd, jakby w ich spojrzeniu i głosie był jakiś stygmat, coś nienamacalnego, ale realnie istniejącego, co odróżniało ich od zwykłych ludzi. Jeśli zatem dziewczyna była uważna, mogła tych złych rozpoznać, zanim zdołali zrobić jej krzywdę. Teraz Sao uświadomiła sobie, że to nieprawda. Nawet ktoś tak miły i sympatyczny jak don Jorge mógł skrywać w sobie bestię, która ujawniała się w najbardziej nieoczekiwanym momencie, jak nagły wybuch wulkanu. Nie wiedziała, czy dobrze zrobi, nadal ufając wszystkim, ale jednocześnie nie chciała, żeby to doświadczenie zrodziło w niej strach. Nie chciała zamienić się w osobę zależną, chodzącą po świecie na paluszkach. Czy będzie potrafiła zachować ufność, a jednocześnie stać się ostrożna?

Zasnęła, rozmyślając nad tym wszystkim. Spała wiele godzin, aż do świtu następnego dnia, mimo krzątania ludzi chodzących w górę i w dół po schodach pensjonatu i przebiegających korytarze, mimo śpiewów i tańców batuku i sambuna, których odgłosy rozbrzmiewały tego wieczoru na sąsiednich ulicach, mimo razów i krzyków rozkoszy jakiejś pary dobiegających z pokoju obok przez całą noc. Sao spała bez snów, odcięta od przeszłości, pozbawiona przyszłości i zmartwień, jej ciało i umysł jakby opuściły świat i odpoczywały.

Gdy się obudziła, podjęła decyzję. Chociaż w tym momencie najchętniej usłyszałaby znane głosy, zobaczyła rodzinny pejzaż z czarną zastygłą lawą i czerwoną ziemią, dracnę rosnącą dumnie i samotnie przy kościele, niezbyt

żyzne warzywne ogrody, nie mogła wrócić do domu. Powodem nie była duma czy niechęć do przyznania, że sprawy nie ułożyły się dobrze, ale obawa, że nazbyt przyzwyczai się do łatwego życia w znanym otoczeniu, nad którym bez lęku panowała, zawsze wiedząc, dokąd zaprowadzi ją każdy krok, co zobaczy, jeśli skieruje wzrok na północ czy na południe, jakie zapachy poczuje w każdym miejscu w okolicy - woń placków kukurydzianych piekących się na ogniu we wsi, spaloną ziemię, którą obsypują się dzieci, starców cuchnących grogiem, deszcz szybko nadciągający wraz z pasatami.... Gdyby wróciła, prawdopodobnie zostałyby już na zawsze. A tego nie chciała. Nie chciała się przystosować, zgodzić się na wegetację, uprawiać ogród albo szyc ubrania dla kobiet z Carvoeiros, poszukać sobie mężczyzny, który nie byłby aż tak bardzo zły, zbudować dom i osiaść w nim jak w jakiejś norze, nieruchoma, sparaliżowana, rodząca dzieci, które ledwie zdołałyby wyżywić, ale nigdy nie mogłaby opłacić ich nauki, a które być może nie przeżyłyby gorączek i biegunek. A potem, w dniu swojej śmierci, nie chciałyby spojrzeć wstecz i pomyśleć, że całe jej życie było niczym, tylko pustką, absurdalną, bezsensowną dziurą, mniej niż śladem w powietrzu po machnięciu skrzydłami przez wróbla, mniej niż śladem na ziemi po przejściu mrówki. Chociaż nigdy nie zostanie lekarzem, pragnęła jednak, by jej życie miało jakąś wartość, żeby ktoś za nią tęsknił, gdy już jej nie będzie, i czuł ciężar jej nieobecności.

Jeszcze tego ranka zaczęła szukać pracy. Odwiedziła po kolei przyjaciółki, żeby powiadomić je o swojej sytuacji - nie chciała jednak wyjaśniać przyczyn, dla których opuściła rodzinę Monteiro - udała się nawet do księdza do kościoła, gdzie zwykle chodziła na mszę. Wydawało się jednak, że wszystkie zamożne rodziny w Praia miały wystarczająco dużo

służących, bo nikt nie słyszał o żadnej pracy. W końcu któregoś dnia, gdy już niemal straciła nadzieję i została prawie bez pieniędzy - choć przez dwa tygodnie niewiele jadła, żeby zaoszczędzić - przechodząc obok biura na ulicy Andrade Corvo, zauważyła ogłoszenie o pracy dla recepcjonistki. Homero Bureau. Tak się nazywało. Sao przypomniał się pies doni Natercii i to sprawiło, że jej serce zabiło silniej. Pomyślała, że to dobry znak. Weszła do środka, do dużej oświetlonej sali pomalowanej na biało. Przy czterech stołach siedziały kobiety. Jedna z nich, pękata Murzynka w stroju w niebieskie i pomarańczowe kwiaty, które nadawały jej jeszcze potężniejszego wyglądu, uśmiechnęła się do niej:

- Czego chcesz, dziewczynko?

- Pracy.

Kobieta wybuchnęła śmiechem. Był to śmiech tak wielki jak ona sama, zdawał się wypełniać pokój i przekraczać ściany, wychodząc przez okna na ulicę.

- Dobrze, porozmawiajmy.

Zaczęły rozmawiać. Po piętnastu minutach Sao wyszła, uzgodniwszy, że rozpoczyna pracę następnego dnia. Dona Benvinda dała jej nawet trzy tysiące escudo tytułem zaliczki. Nie trzeba było nawet jej o to prosić, sama się domyśliła, że dziewczyna poszukująca pracy od piętnastu dni prawdopodobnie potrzebuje pieniędzy.

Jeśli dona Benvinda miała czegoś w nadmiarze, to właśnie wyobraźni pozwalającej jej zrozumieć, co działo się z innymi. Tak naprawdę nie była to nawet kwestia wyobraźni, ale doświadczenia. Ta kobieta nie miała bowiem łatwego życia. Urodziła się w Portela, nędznej szarej wsi na wyspie Fogo, położonej na zboczu wielkiego wulkanu, gdzie dorastała, cierpiąc susze i klęski głodu. Od wczesnego dzieciństwa przyzwyczała się do tego, że śmierć jest częścią życia i że przychodzi w okrutny sposób. Sama straciła kilku swoich

braci, nie pamiętała nawet ilu, a kiedy miała dziesięć lat, zmarła jej matka, pozostawiając dziewczynce pod opieką czworo młodszego rodzeństwa i dom. Musiała także pomagać ojcu, który prowadził obskurną tawernę, zatłuszczoną i śmierdzącą, gdzie serwowano miejscowym pijakom obrzydliwy grog i jakieś ciepłe napoje. Szybko zrozumiała, że musi się bronić przed mężczyznami. Niektórzy z klientów, gdy tylko jej ojciec wychodził z jakiegoś powodu na parę minut, bekając i kołysząc się na nogach, starali się ją pomacać, pocałować w usta albo zmusić, by wzięła do ręki ich penisa i sprawiła im rozkosz. Nauczyła się ich wymijać i rozdawać szturchańce, które kładły kres ich chwiejnej równowadze, a nawet uderzać kolanem w krocze, gdy któryś z nich okazywał się szczególnie natarczywy.

Zrozumiała, że przetrwanie jest codzienną walką, trudnym, poddanym kontroli rozumu działaniem, w którym trzeba łączyć egoizm ze szczodrością, przebiegłość z zaufaniem: stale żądała od ojca, by dawał jej pieniądze na jedzenie, a jednocześnie dbała o to, żeby zjadł coś na kolację, kiedy wracał do domu pijany. Nie pozwalała na to, żeby bracia kradli niewielką porcję jej jedzenia, jednak chętnie ją im oddawała, gdy któryś z nich był chory. Pomagała kobietom ze wsi, jeśli tego potrzebowały, nie pozwalając jednocześnie, żeby uważały, iż jest zawsze do ich dyspozycji. Stawiała granice mężczyznom, a zarazem potrafiła udzielić im kredytu, jeśli chcieli się napić, a nie odebrali jeszcze wypłaty. Tak, Benvinda od dziecka wiedziała, że należy dawać i brać, pieścić i uderzać, uśmiechać się i krzyczeć, lecz zachowanie tej trudnej równowagi nic ją nie kosztowało. Tak jakby już urodziła się mądra.

Żyła tak przez lata, owinięta pajęczyną, w której liczyło się jedynie to, by nie umrzeć z głodu i nie pozwolić na to, by któryś z mężczyzn ją zgwałcił. Mimo to wokół niej utworzyła

się jakaś aura zadziwiającej przejrzystości, świetlistość emanująca zwykle z wesołych osób. Często nocą, wśród wiejskiej ciszy, kiedy wszyscy już położyli się spać, słychać było jej śmiech, wybuchający z powodu jakiejś głupoty wymyślonej przez któreś z rodzeństwa, przelatujący w powietrzu jak beztrudne ćmy. Benvinda śmiała się bez przerwy. Było w niej coś, co chroniło ją przed nieszczęściem, jakby jakaś dziwna łagodność kryła się w jej umyśle, sprawiając, że odbijały się od niej wszystkie smutki. Nie znaczy to, że nie cierpiała. Cierpiała jak wszyscy, gdy trzeba było cierpieć. W zmartwieniu czy bólu zawsze jednak znajdowała nić, z której mogła czerpać siłę, nić mocno związaną z jej optymizmem, oddzielającą ją od rozpacz. W mroku złych chwil nigdy nie przestawała myśleć, że sprawy się ułożą, i jeśli nocą płakała cicho na łóżku, obejmując któreś ze śpiącego rodzeństwa, rano wstawała znów pełna energii, gotowa zrobić wszystko co trzeba, żeby dzień okazał się znośny, nie tylko dla niej, ale także dla wszystkich bliskich jej osób.

Kiedy ukończyła dziewiętnaście lat, malcy już wyrosli, a coraz częstsze pijaństwa ojca bardziej niż zwykle utrudniały jej życie, poznała Roberta. Roberto urodził się w sąsiedniej wsi, jednak dawno temu wyemigrował do Hiszpanii, gdzie pracował jako górnik w jednym z miast na północy kraju. Przyjechał, tak jak parę razy wcześniej, na wakacje. Gdy ponownie spotkał w tawernie Benvindę, teraz już kobietę, z jej radosnym śmiechem rezonującym w powietrzu i tą jej solidnością, sprawiającą, że mocno stąpała po ziemi, pomyślał sobie, że byłaby z niej dobra żona, która przerwałaby jego samotność od czasu do czasu paraliżującą go w łóżku w porze pójścia do pracy, jakby jakaś bestia pożerała go od środka i zostawiała wyschniętym jak spróchniałe drzewo. Kiedy patrzył na nią krążącą z butelkami i obsługującą klientów,



pomyślał sobie, że cudownie byłoby ją objąć, gdy pada śnieg, spacerować razem po lesie w słoneczne dni, pokazać jej zieleń, której ona nigdy nie widziała. Przyjemnie byłoby oglądać telewizję, trzymając się za ręce, i tańczyć na dyskotekach w weekendy, wychodzić z przyjaciółmi na kolację i kupować rzeczy do ozdoby zaniedbanego domu. A później mieć dzieci, dwóch synów i córeczkę, tego właśnie chciał, troje dzieci, które miałyby zapewnioną opiekę lekarską, darmowe leki i nie umierałyby na biegunkę czy z głodu, chodziłyby do szkoły i studiowały, a potem powróciły na Wyspy Zielonego Przylądka jako ważne osobistości, kto wie, może ministrowie czy gubernatorzy...

Benvinda nawet nie wyobrażała sobie tego, co snuło się po głowie Roberta. Ale z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła określić, kiedy zobaczyła, jak otwiera drzwi tawerny z tym swoim szerokim uśmiechem, w eleganckim europejskim ubraniu, i gdy ucałował ją dwa razy na powitanie, przypominając jednocześnie, kim jest - nie widzieli się cztery czy pięć lat - poczuła ogromne zawstydzenie, że jest źle ubrana: w codziennej niebieskiej spódnicy, tysiące razy pranej i cerowanej, i w brzydkiej czarnej bluzce. Przygładziła ręką włosy i żałowała, że nie splotła ich w warkocze, żeby ładniej wyglądać. Ogarnęło ją coś dziwnego i nowego, jakieś niezrozumiałe pragnienie, żeby uśmiechać się cały czas i wyjść, niemal lecąc.

Tydzień później Roberto i Benvinda byli już parą. Kiedy nadszedł koniec wakacji, pożegnali się wśród płaczu i obietnic dochowania wierności i czekania na siebie. Na Boże Narodzenie chłopak przyjechał i poprosił, by za niego wyszła. Dowiedzieli się, jakich potrzebują dokumentów, żeby ona mogła zamieszkać w Hiszpanii. W połowie wiosny, gdy krzaki bzów w ogródkach pokryły się naręczem fioletowych kwiatów, lasy napełniły zielenią otwierających się jeden po

drugim pączków dębów i kasztanowców, a strumienie spływające z gór przelewały się od wody z roztopów, Benvinda wyjechała do nowego miasta.

Przez pięć lat była szczęśliwą kobietą. Wszystko ją cieszyło - łagodność pejzażu, zmiany pór roku, światło elektryczne i woda płynąca z kranów jak niekończący się wodospad, sklepy i targi, gdzie można było znaleźć tyle rozmaitych produktów spożywczych, sprzęty gospodarstwa domowego wykonujące za nią pracę, park, gdzie bawiły się dzieci, kawiarnie, w których zwykle siadała z innymi imigrantami z Wysp Zielonego Przylądka, żeby napić się kawy i pogawędzić, zimowe ubrania i buty na obcasie, samochodowe wycieczki z Robertem po świecie jednocześnie nieogarniętym i bliskim... Wszystko wydawało jej się podarunkiem, jakby życie nieoczekiwanie zamieniło się w cenną paczkę, z której raz za razem wyciągało się przepyszne łakocie, małe niezwykle przedmioty, jakie podziwiała i o które dbała z nabożeństwem, trzymając je mocno i delikatnie w rękach.

Najlepszy ze wszystkiego był jednak Roberto. Nie bił jej ani się nie upijał, jak tylu innych mężczyzn. Czasami w sobotnie wieczory, kiedy spotykali się z zaprzyjaźnionymi małżeństwami, zdarzało mu się wypić ponad miarę, ale były to radosne pijaństwa. Roberto śpiewał, całował ją i dotykał, później chciał, żeby się kochali, choć zawsze zasypiał, nim do tego doszło. Kochał ją i dobrze traktował, oddawał jej wszystkie pieniądze, pieścił z czułością, której istnienia nawet się nie domyślała, a czasami patrzył na nią, jakby była jedyną kobietą na świecie, jego królową. Benvinda oddawała mu tę miłość z całą siłą, do jakiej była zdolna, opiekując się nim z drapieżnością, zdolna do bronienia zębami i pazurami szczęśliwego życia, jakie dawał jej każdego dnia. Nie było dla niego zbyt smacznego jedzenia ani dostatecznie dobrze

wyprasowanych koszul, ani nadmiernie wygładzonych prześcieradeł, by odpoczął i czuł się dobrze, kiedy wróci do domu po ciężkiej pracy. Gdy stawał w drzwiach z twarzą poplamioną węglem, wyczerpany po długim dniu wyrąbywania dna szybu, z zaczerwienionymi i jakby wystraszonymi nadmiarem światła oczami, miała ogromną ochotę pieścić go jak dziecko, wykąpać, dać mu jeść, a potem ukołysać tak, jak kołysała swoich młodszych braci.

Oprócz tego, że sprzątała, gotowała, prasowała i spędzała trochę czasu z przyjaciółkami, Benvinda zapisała się na kursy dla dorosłych. Na Wyspach Zielonego Przylądka nigdy nie chodziła do szkoły. Jej bracia uczyli się w szkole podstawowej, ale ojciec uważał, że dziewczynkom nie jest to potrzebne. Wystarczało, żeby potrafiły dobrze liczyć pieniądze, które płacono im w tawernie, zajmowały się domem i rodziły dzieci. Bóg nie stworzył kobiet do innych rzeczy - zwykł mawiać. Teraz ona uczyła się wszystkiego, czego mogła, i cieszyła się każdym nowym odkryciem jak dziecko. Wieczorami, po kolacji, kiedy Roberto przez chwilę oglądał telewizję, siadała przy stole w kuchni i z wysiłkiem odrabiała wszystkie ćwiczenia, tak bardzo się koncentrując, że zapominała, iż mąż czeka na nią, żeby razem poszli do łóżka. Szybko nauczyła się czytać i pisać, a także skomplikowanych działań matematycznych. W tym samym czasie sama opanowała nowy język i po trzech miesiącach potrafiła porozumieć się z każdą osobą z miasteczka. Roberto był dumny z jej inteligencji i pilności, zwykł jej mówić, że zostanie profesorem. A ona śmiała się, spokojna i szczęśliwa.

W tamtych latach mieli tylko jedno niewielkie zmartwienie: Benvinda nie mogła zajść w ciążę. Kiedy w końcu wybrali się do lekarzy, powiedziano im, że ona ma problemy z jajowodami i nie będzie mogła mieć dzieci. Bardzo się tym zmartwili, ale nie na długo. Wkrótce zaczęli

rozmawiać o adopcji. Na Wyspach Zielonego Przylądka było dużo dzieci, które potrzebowały rodziców. Nie mieliby z tym trudności. Postanowili jednak odłożyć to na jakiś czas. Na razie wystarczało im, że byli razem.

Pewnego styczniowego poranka Roberto wyszedł z domu o czwartej na pierwszą szychtę. Zanim odszedł, jak zawsze długo całował żonę. Odwróciła się i coś wymamrotała, ale nie zdołała się obudzić. Padał śnieg. Lubił chodzić po śniegu w nocy, patrząc w ciemności na błyszczące płatki, spadające w ciszy na ziemię jak małe gwiazdki. Tego dnia po raz ostatni cieszył się tą przyjemnością, jakąkolwiek przyjemnością. O ósmej rano nastąpił zawał w kopalni. Roberto pozostał tam, pogrzebany dwieście metrów pod ziemią, razem z dwoma kolegami.

Benvindzie wydawało się, że oszaleje. Na wiele miesięcy przestała pojmować życie. Nie rozumiała tego, co się zdarzyło. Nawet nie chciała tego zrozumieć. Nienawidziła całego świata, a przede wszystkim Boga. Jej śmiech zniknął, pochowany pod tonami czarnego rumowiska, które zabiło jej męża. Przez cały ten czas dbały o nią przyjaciółki, na zmianę zmuszając ją do jedzenia, zażywania pigułek przepisanych przez lekarza i wyjścia na spacer, ona zaś była wyczerpana, wszystko, co dawniej lubiła, było jej obce. Powoli odzyskiwała siły, jak chory, który po trochu musi ponownie nauczyć się ruszać, wziąć prysznic, ubrać się, podgrzać kawę czy przygotować jedzenie, wyjść po zakupy, spędzić chwilę przed telewizorem, zrozumieć na nowo zmartwienia i radości, które przestały dla niego istnieć.

Minął niemal rok od śmierci Roberta, kiedy zdecydowała się wrócić na Wyspy Zielonego Przylądka. Miała sporą sumę pieniędzy dzięki odszkodowaniu, jakie, prócz pensji wdowy, dostała po wypadku. W jej ojczyźnie była to prawdziwa fortuna. Nie potrzebowała wracać do Portela i zamykać się w

obrzydliwej tawernie, czekając na starość wśród brudnych, popędzających ją bez przerwy pijaków. Mogła zamieszkać w stolicy, w Praia, i założyć jakiś interes. Jeszcze nie wiedziała jaki, ale była pewna, że znajdzie coś odpowiedniego: jej optymizm odradzał się z każdym dniem. Znowu trzymała nić, która zawsze ratowała ją od bólu. Rozpacz zaczynała gasnąć i z czasem zamieniła się w garść szarego popiołu, który pozostał w jej duszy na zawsze, ale już nie zabraniał żyć, pracować i śmiać się tak, że nikt, kto nie znał jej wcześniej, nie zauważyłby, iż w jej życiu zdarzył się kataklizm. W oczach wszystkich Benvinda była kobietą zadowoloną i szczęśliwą, otoczoną aurą dobrobytu i życzliwości, która wydawała się trzymać ją z dala od nieszczęść.

Po kilku tygodniach pobytu w Praia znalazła małe przedsiębiorstwo na sprzedaż, Homero Bureau, zajmujące się sprzedażą materiałów biurowych. Nic nie wiedziała o maszynach do pisania, papierach czy kserokopiarkach. Mimo to interes jej się spodobał i uwierzyła, że szybko się tego nauczy, także dzięki wielkoduszności dawnego właściciela, który obiecał, że wszystko jej pokaże. Zainwestowała większość pieniędzy w przedsiębiorstwo, zachowując sobie pewną sumę na wypadek, gdyby sprawy nie ułożyły się dobrze, a resztę rozdzieliła między rodzeństwo, aby pomóc im się urządzić. Rozpoczęła nowe życie z cierpliwością i równowagą, cechującą ją w dawnych czasach, gdy pracowała w tawernie.

Kiedy Sao zaczęła tam pracować, Homero Bureau już od wielu lat było stabilnym i dobrze prosperującym interesem. Był to dla dziewczyny dobry okres. Lubiła tę pracę: odbieranie telefonów, przygotowywanie zamówień i szukanie na ulicy chłopca, który zanieśie paczki, kiedy trzeba było coś dostarczyć. Wynajęła sobie pokój z prawem do użytkowania kuchni w domu pewnej wdowy i choć czasem musiała znosić

jej niekończące się gadanie, gdy ta opowiadała jej o wszystkich nieistotnych sprawach, jakie jej się przydarzyły, Sao dobrze się czuła, kiedy mogła zostać sama w swoim pokoju i patrzeć przez okno na malutki kawałeczek morza. Nie licząc dni spędzonych w pensjonacie, po raz pierwszy w życiu miała własny pokój i ta niezależność sprawiła, że poczuła się dojrzałą kobietą, całkowicie odpowiadającą za swoje czyny i zdolną do pokierowania własnym życiem. Pokonała smutek wynikający z niemożności kontynuowania nauki; teraz jej dawne plany wydawały się tak odległe, jakby upłynęło wiele lat od owego dzieciennego zapału, którego naiwności była obecnie świadoma. Między nią a tymi ekstrawaganckimi pomysłami wyrósł solidny mur, pozbawiony szpar i drzwi, przez które mogłoby się przedostać do jej obecnego życia jakiegokolwiek poczucie frustracji. Pochowana dziewczynka nadal spokojnie spała w lekkiej ziemi.

Nocami, kiedy leżała w łóżku, robiła plany na przyszłość: zaoszczędzi pieniądze, pojedzie do Europy, będzie tam pracować tak ciężko, jak tylko da radę, a potem, tak jak dona Benvinda, wróci na Wyspy Zielonego Przylądka i założy własny interes. Zupełnie nie myślała o tym, żeby poszukać sobie męża i mieć dzieci. Wspomnienie o epizodzie z don Jorge tkwiło w niej nadal, wywołując mdłości. Ale było też coś głębszego, jakby jakieś ledwo widoczne światełko zapalało się w jej umyśle, by ją ostrzec, jakby jakieś dziwne przeniesienie w czasie sprawiło, że widziała, co może się zdarzyć w przyszłości: miłość i seks wydawały jej się czymś niebezpiecznym, czymś, co ją skrzywdzi i sponiewiera. Koleżanki z biura, z którymi od czasu do czasu chodziła na lody lub tańce, nie rozmawiały za to o niczym innym. Opowiadały sobie o swoich przeżyciach z chłopcami, ogromnym szczęściu i strapieniach, a kiedy któraś z nich

uwazała, że się zakochała, rozpatrywały drobiazgowo, ze wszystkimi szczegółami, czy on ją kocha naprawdę i zaproponuje, by zamieszkali razem. Tak jakby posiadanie mężczyzny i usługiwanie mu na co dzień było dla nich najważniejszym celem. Sao podejrzewała, że są skazane na cierpienie, rozbijając się raz za razem o tajemnice męskiej duszy pełnej zakrętów i pustkowi, których nie rozumiała i które ją przerażały.

Pragnęła dla siebie niezależnego życia. Najbardziej zadowolone i najlepsze kobiety, jakie poznała - dona Natercia i dona Benvinda - żyły bez mężów. Nie same, o nie; przyjaźniły się z różnymi dziećmi, miały wiele przyjaciółek i krewnych, ludzi, którzy je kochali i wspierali i którymi one opiekowały się z czułością. Ludzie ci byli im zapewne bliżsi niż mężczyzna, z którym kobieta dzieli łożę, znający na pamięć smak każdej najmniejszej części jej ciała, twardość piersi i ciasne ciepło pochwy, który osiąga rozkosz wewnątrz niej, wlewając się raz po raz do jej brzucha, zdobywa ją i się jej oddaje, wzdycha, wtulony w jej ramiona, jakby dotarł na koniec świata, ale nigdy nie zadaje sobie trudu, żeby sprawdzić, czy ona jest szczęśliwa, czy nie, czy czuje się panią ziemi, po której stąpa, i powietrza, którym oddycha, albo czy nie drży ze strachu, kiedy budzi się rano przekonana, że życie ją zaatakuje, że się na nią rzuci i będzie próbowało pożreć ją na kawałki, zostawiając same kości.

Wyobraziła sobie siebie jako osobę dojrzałą, mieszkającą w pobliżu morza, w jednym ze spokojnych kolorowych domów z dużymi oknami, przez które wpada światło i lekka bryza, z ogrodem, w którym rosłyby bugenwille i jaśminy, i akacja pełna białych kwiatuszków, rzucająca miły, przytulny cień. Nie miałyby męża ani dzieci, ale odwiedzałoby ją wielu znajomych, a w jej przestronnej kuchni każdy znalazłby to, na co miałby ochotę. Taki dom jak doni Benvindy, gdzie Sao

zazwyczaj jadała w niedzielę. Jej szefowa przygotowywała wielki garnek cachupy i zapraszała dziesięć, dwanaście osób. Cieszył ją widok dziewczyny siedzącej przy jej stole. Od początku bardzo ją polubiła, podobnie jak dona Natercia. Złościło ją, że inteligentna dziewczyna musiała z braku pieniędzy porzucić naukę. Lubiła patrzeć, jak pracuje z taką wytrwałością i respektem, jakby odbieranie telefonów, zapisywanie zamówień i organizowanie wysyłek było niezwykle ważnym zajęciem. Wzruszało ją rzadkie połączenie siły i niewinności w osobowości Sao, a także jej dobroć i zdecydowanie. Zastanawiała się, co z nią będzie w przyszłości. Miała przed sobą długie życie, a już do tej pory sporo wycierpiała. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś spróbuje nią manipulować, że ją oszuka i skrzywdzi, zrani i będzie próbował skraść jej energię. Jednocześnie była przekonana, że Sao to przetrzyma, będzie mocno stąpała po ziemi, z wysoko uniesioną głową i radosnym zdecydowanym spojrzeniem. Przetrwa, cokolwiek by się stało.

Pewnego wieczoru, po zamknięciu biura, kiedy pracownice pobiegły na spotkanie z ukochanymi, Benvinda zaprosiła Sao na lody. Była wściekła ulewa, woda płynęła strumieniami po ulicach. Przejeżdżające samochody opryskiwały błotem przechodniów, którzy krzyczeli, protestowali i starali się chronić, przeskakując z bramy do bramy. Usiadły w lodziarni przy stoliku obok okna. Deszcz walił w szyby i spadał jak oszalały na dach z ogłuszającym hałasem, jakby zdarzyła się katastrofa. Kiedy znalazły się w suchym, bezpiecznym miejscu, potężny śmiech Benvindy rozszedł się natychmiast po sali. Potem nieoczekiwanie westchnęła, przepełniona tęsknotą.

- W Hiszpanii dużo padało - powiedziała. - Ale nigdy z taką siłą. To był miarowy łagodny deszcz. A w zimie padał śnieg. Zawsze zdumiewała mnie cisza, z jaką pada śnieg,



jakby świat nieruchomiał, a tylko płatki śniegu nabierały życia.

- To musi być piękne. Chciałabym to zobaczyć.

- Nigdy nie myślałaś, żeby pojechać do Europy?

- Wiele razy. Zawsze. Od dziecka. Ale jak? Nie mam dokumentów. Nie mam pieniędzy. Może któregoś dnia...

- Chyba będę mogła ci pomóc.

Sao się zaczerwieniła. Nie wiedziała, co powiedzieć. Poruszyła rękami w powietrzu, jakby się topiła. Benvinda znowu zaczęła się śmiać.

- Czy to ma oznaczać, że się zgadzasz? - spytała.

- Tak, tak, oczywiście, że tak...

- Mogę porozmawiać z moimi siostrami. Mieszkają w Holandii. Są mi winne przysługę: wyjechały dzięki pieniądzom, które im podarowałam, i całkiem nieźle im poszło. One załatwią ci wizę turystyczną. Potem będziesz musiała dać sobie radę sama.

- Ale nie mam pieniędzy na bilet...

- Ja ci je dam. Możesz mi je oddawać po trochu.

- Naprawdę? Czy pani mówi prawdę?

- Uważasz, że bym cię oszukała? Chciałabym, żebyś miała lepsze życie. Zaslugujesz na to. Powinnaś spróbować.

\*

Trzy miesiące później wszystko było już załatwione. Sao musiała otworzyć konto w banku. Dona Benvinda przelała na nie, prócz pieniędzy na bilet lotniczy, sześćdziesiąt tysięcy escudo, które miały dowieść władzom holenderskim, że dziewczyna ma dostatecznie dużo pieniędzy, żeby podróżować jako turystka, i nie będzie żebrać na ulicach ani kraść czy nawet mordować. Bez tego nigdy nie przyznano by jej wizy.

Tak naprawdę nie myślała o wyjeździe do Holandii. Planowała zostać w Portugalii i tam spróbować się urządzić,

dostać zgodę na pracę i na stały pobyt. Będzie walczyła o pracę, będzie służącą w jakimś domu czy kelnerką w barze albo kasjerką w supermarkecie, tanią siłą roboczą na najniższym stanowisku, i będzie musiała dobrze liczyć, żeby jakoś się utrzymać, zwrócić pożyczkę doni Benvindzie, nadal posyłać pieniądze matce oraz Jovicie i zaoszczędzić trochę na przyszłość. Może też być jeszcze gorzej. Mogą nie przyznać jej zgody i wówczas będzie tam przebywać nielegalnie, zmuszona do akceptowania warunków, jakie ktoś bezduszny będzie starał się jej narzucić, by pracowała pozbawiona wszelkich praw, i będzie chodziła po ulicach nieżywa ze strachu, ukrywając się na widok każdego policjanta, który mógłby ją zatrzymać i odesłać z powrotem do kraju, a wtedy straciłaby to niewiele, co zdołała osiągnąć.

Jasne, że Sao jeszcze o tym nie wiedziała. Domyślała się, że uzyskanie dokumentów nie będzie łatwe, ale dla niej Europa była jeszcze miejscem łagodnego deszczu i białego cichego śniegu, przestrzenią wszelkich możliwości, środowiskiem, które pozwoli jej wydobyć się z nędzy, strefą jej marzeń. Była takim domem, jaki opisała jej Noli tamtego lata na wsi, gdy były jeszcze dziećmi i siedziały u stóp mangowców - pełnym zabawek i książek, zeszytów i ołówków, szybkich autobusów jadących do niekończących się lasów i łąk porośniętych słodką trawą, po której można chodzić boso, i rozkosznym strumieniem świeżej wody łagodzącym upał. Nigdy nie widziała ani strumienia, ani łąki. Nigdy nie miała zbyt wielu książek i ołówków. Teraz mogła to wszystko zdobyć.

Usiadła przy oknie w samolocie i ani przez chwilę nie przestawała patrzeć. Samolot najpierw leciał nad morzem, z jego okropnymi ciemnymi głębinami, potem przez długi czas nad piaskami Sahary i burymi szczytami Atlasu. Wtedy pojawiły się równiny z polami uprawnymi i rozproszonymi

wsiami, i znowu morze. I wreszcie Europa, wielkie cudowne rzeki, miasta zwinięte w kłębek, a na koniec Lizbona, jak punkt obserwacyjny na wodzie. Widziana z powietrza była piękna. Wielka i piękna. Sao czuła się szczęśliwa. Wyspy Zielonego Przylądka zostały daleko, bardzo daleko. I stały się bardzo małe.

## Bigador

Sao zatrzymała się u kuzynki swojej matki w małym dwupokojowym mieszkaniu, zajmowanym przez małżeństwo z czworgiem dzieci w dzielnicy na przedmieściu Lizbony. Spała skurczona na sofie w salonie, udręczona upałem nękającym wąskie uliczki, emanującym z lepkiego asfaltu i przenikającym przez źle izolowane ściany maleńkich pokoi, w których powietrze pozostawało niemal nieruchome. Nawet będąc w takim położeniu, uważała, że ma szczęście, bo w końcu po wielu próbach, listach i telefonach do matki zdołała zlokalizować Imeldę, a ona zaproponowała, że weźmie ją do siebie na parę dni i pomoże znaleźć pracę.

Każdego ranka Sao czytała od deski do deski ogłoszenia w prasie. Chciała znaleźć posadę służącej na stałe - mogłaby wtedy więcej zaoszczędzić i nie musiałaby szukać mieszkania. Była na wielu rozmowach, ale niczego nie udało się jej załatwić: panie pytały przede wszystkim o to, czy potrafi przygotować portugalskie potrawy. I choć mówiła im, że nie, ale szybko się nauczy, natychmiast ją odprawiały. Poza tym nie miała referencji. Pięć lat spędzonych na opiece nad dziećmi państwa Monteiro w niczym jej nie pomogło. Zapewne jej nie wierzono. Wszystkie te eleganckie kobiety, z pomalowanymi paznokciami i włosami ułożonymi przez fryzjera, brały ją za dzikuskę. Jakby jej kreolski akcent i nazbyt afrykańskie ubranie napawały je strachem. Nie ufały jej.

Po zakończeniu takiego spotkania spacerowała po ulicach Lizbony. Szerokie aleje i kamienne domy, uporządkowane ogrody i symetryczne ołtarze kościołów, kolumny monumentalnych fasad i ogromne pomniki na placach olśniły ją. Zaczynała odkrywać zadziwiającą geometrię rzeczy, nienaganną równowagę, harmonię skrytą w układzie miasta kształtowanego przez wieki. Ta zadziwiająca doskonałość, tak

różna od chaosu wysp, z ich nieuporządkowaniem wynikającym z występowania licznych skał i zagubionych drzew, prowizorycznych chat i rozproszonych wsi, robiła na niej znacznie większe wrażenie niż zgiełk ulic, tłumy ludzi, odgłosy ulicznego ruchu czy luksus wystaw.

Cieszyło ją metro i autobusy, regularność ich kursowania, prędkość, z jaką pozwalały jej się przemieszczać z jednego miejsca na drugie w towarzystwie nieznanych osób, które miała wielką ochotę kontemplować, jakby były obrazami pełnymi tajemniczych szczegółów. Obserwowała tych ludzi, sposób, w jaki się ubierali, chodzili, jak się witali i rozmawiali, ich skupione spojrzenie, gdy podróżowali sami, które sprawiało wrażenie, jakby chcieli się zagubić w nieskończoności, a także uprzejmą obojętność, z jaką ją traktowali. Lizbona wydawała jej się schronieniem, osnową istnień, uczuć i ambicji, niewątpliwie także pragnień i nieszczęść, w której jej własna anonimowa egzystencja była uwolniona od trywialności zwykłej walki o byt. Pewnego dnia ona również stanie się szanowanym członkiem tej zbiorowości, kiedy będzie miała pracę, mieszkanie i czas na wypoczynek.

Czas jednak upływał, a jej nie udawało się znaleźć pracy. Po dziesięciu dniach Imelda dała Sao do zrozumienia, że ta nie może już dłużej u niej mieszkać. Wpadła również na pomysł, żeby dziewczyna pojechała do Algarve. Był początek lipca i plaże zaczęły się wypełniać turystami, co stwarzało większe możliwości znalezienia jakiegoś zajęcia. Hotele i restauracje zwykle potrzebują pracowników sezonowych. Córka dobrej przyjaciółki Imeldy mieszkała w Portimao i może mogłaby pomóc Sao. Zawsze pomagała przyjezdnym. Zadzwończyła do niej. Liliana namówiła Sao, żeby zaraz przyjeżdżała, gdyż z pewnością znajdzie pracę. Mogła jej również zaproponować wspólny pokój w mieszkaniu, które wynajmowała z innymi

dziewczynami z Wysp Zielonego Przylądka. Następnego dnia dziewczyna złapała autobus jadący na południe.

Dotarła do Portimao po zmierzchu. Liliana czekała na nią na dworcu. Sao zachwyciła się nią od pierwszego wejrzenia. Była kobietą dobrze zbudowaną i piękną jak posąg. Miała wyrazisty makijaż, rzęsy mocno podkreślone tuszem wokół dużych oczu i usta pomalowane czerwoną szminką, co u innej kobiety mogłoby się wydawać wulgarne, ale jej dodawało urody. Nosila džinsy i mocno wydekoltowaną zieloną bluzkę, zapewne tanie ubranie, ale na niej wyglądało, jakby pochodziło z najelegantszego sklepu w Lizbonie. Nie zachowywała jakiegokolwiek dystansu. Przeciwnie, wydawała się bliska i bezpośrednia. Sao od razu poczuła się tak, jakby spotkała starszą siostrę, kogoś, kto otoczy ją ramieniem w trudnych chwilach i będzie przy niej, pomagając odzyskać spokój.

Liliana urodziła się na Wyspach Zielonego Przylądka, ale nie uważała się za imigrantkę. Jej rodzice wyjechali do Lizbony do pracy, kiedy miała zaledwie cztery lata, dlatego dorastała jak wszystkie portugalskie dzieci. Mogła studiować, uzyskała licencjat z turystyki. Od marca do października pracowała jako recepcjonistka w dobrym hotelu w Portimao. Na pozostałą część roku wracała do stolicy i zarabiała pieniądze jako modelka w reklamie, jednak ten świat jej się nie podobał. Naprawdę interesowała się polityką. Działała aktywnie w partii socjalistycznej i miała zamiar pewnego dnia objąć jakieś odpowiedzialne stanowisko. Może uda jej się zostać deputowaną. Była przekonana, że z czasem Portugalia dorobi się wielu polityków afrykańskiego pochodzenia, wywodzących się z dawnych kolonii. Według niej ten historyczny proces był nieunikniony. Podobnie jak we Francji, gdzie wielka rewolucja wyniosła do władzy mieszczan, którzy wcześniej tyle trudu i talentu oddali państwu, Afrykańczycy,

którzy przez wieki przyczyniali się do wzbogacania metropolii, w końcu obejmą w niej stanowiska rządowe.

Liliana czuła się do głębi feministką i często jeździła na Wyspy Zielonego Przylądka, gdzie organizowała prelekcje dla kobiet ze wsi i tych z najbiedniejszych dzielnic miast. Zapominała wówczas o swoim języku intelektualistki i posługiwała się słowami, które one mogły zrozumieć. Dobrze znała ten świat. Jej matka była analfaberką aż do trzydziestego czwartego roku życia, kiedy Liliana nauczyła ją czytać i pisać. Starła się wytłumaczyć tym kobietom niektóre proste, ale fundamentalne idee: że nie są własnością swoich mężczyzn, że używanie środków antykoncepcyjnych jest dobre i że powinny posyłać swoje córki do szkoły. Widziała jednak, że niemal nigdy jej nie słuchały. Większości ich brakowało intelektualnego przygotowania, by zastanowić się nad tym, co mówiła. Życie rzuciło je w twardy świat pełen przemocy, w którym one zapuściły korzenie, jak słabe bezbronne zwierzęta. Jedyną myślą, jaka kołatała się w ich głowach, była konieczność przetrwania ich samych i ich dzieci: przetrwania głodu, bicia, dyzenterii... Od czasu do czasu któraś z kobiet słuchała jednak ze szczególnym zainteresowaniem, z łaknieniem w spojrzeniu i napięciem, i wówczas Liliana miała nadzieję, że jej słowa otworzą nowe drogi, które w przyszłości staną się może szerokimi ocienionymi alejami, i że będzie się po nich przechadzać wiele wolnych, silnych i przepięknie dumnych kobiet.

Liliana i Sao szły ruchliwymi ulicami Portimao, aż dotarły do mieszkania. Dwie z trzech mieszkających tu również dziewcząt były jeszcze w pracy - podawały do stołów i przynosiły drinki w tę gorącą letnią noc. Wskazano jej pokój, jaki miała dzielić z Lulą. Spodobało jej się to miejsce, białe łóżka i mały pomarańczowy dywanik, na którym mogła postawić stopy, kiedy wstanie. Nigdy nie miała dywanu, i

wyobrażała sobie, jak przyjemnie będzie stąpać po nim bosą i cieszyć się jego miękkością. Ktoś przygotował dla niej smaczną kolację. Jadła z apetytem, zasypywana pytaniami swoich towarzyszek, które chciały wiedzieć o niej wszystko. Była zadowolona. Przyjemnie było zostać tak przyjętą, jakby już należała do grupy wynajmującej to mieszkanie o jasnych ścianach wyłożonych błyszczącymi azulejos i dużych oknach wychodzących na tarasy barów, o tej porze jeszcze pełnych ludzi gawędzących i śmiejących się bez troski, jak to podczas wakacji. Dobrze było wiedzieć, że z dużym prawdopodobieństwem, jak to podkreślała Liliana, Sao szybko znajdzie pracę i że będzie miała to przyjazne miejsce, dokąd może wrócić na noc, i czyste, świeże łóżko.

Dwa dni później już pracowała. Dostała posadę kelnerki w jednym z barów w pobliżu plaży. Nikt nie spytał, jaka jest jej sytuacja prawna, po prostu ją przyjęli, bez pisemnej umowy, bez uprawnień czy ubezpieczenia społecznego. Od dziewiątej rano do piątej po południu miała obsługiwać stoliki na tarasie, podawać spóźnione śniadania, piwo przed południem, aperitify o pierwszej, kanapki w porze lunchu i kawę po południu. Na początku była zdenerwowana. Taca drżała jej w ręce, rozlewała napoje chłodzące i kieliszki pełne wina. Ale bardzo szybko się wszystkiego nauczyła. Wkrótce zaczęła swobodnie poruszać się między krzesłami, bez kłopotu pamiętała numer każdego stolika, opracowała własny system notowania zamówień i przyzwyczała się do podnoszenia głosu przy barze, by ją usłyszano. Prędko realizowała zamówienia, z całą życzliwością, do jakiej była zdolna. Nieco zawstydział ją jej wyspiarski akcent, ale starała się zwracać uwagę na sposób mówienia Portugalczyków i kopiować ich ton oraz wymowę.

Na ogół ludzie byli wobec niej sympatyczni, choć zdarzali się i tacy, którzy traktowali ją z wyraźną pogardą. Czasem



budził się w niej nieokreślony lęk, uświadomiła sobie bowiem, że po raz pierwszy w życiu różni się wyglądem od reszty. I ta różnica była jak otaczająca ją bariera, którą inni mogliby przebić bez trudu, gdyby tylko chcieli ją zaatakować. Udawała jednak, że tego nie dostrzega. Myślała, że jeśli zaneguje istnienie czegoś i nie będzie o tym myślała, to nigdy się to nie wydarzy. Udało jej się utrzymać ten pozorny dystans tylko przez kilka dni, do chwili, gdy przed południem miała poważny problem z pewnym na wpół pijanym typem. Właśnie postawiła przed nim na stoliku kieliszek białego wina i odchodziła, kiedy ją zawołał:

- Czarna!

Sao wiedziała, że chodzi o nią, ale to zignorowała. Mężczyzna podniósł głos:

- Czarna!! Kelnerka!!

Jacyś ludzie popatrzyli na nich. Dziewczyna, czerwona ze złości, odwróciła się i podeszła do niego.

- Słucham...

- To wino jest ciepłe.

- Zaraz przyniosę panu inne.

Weszła do lokalu i zgłosiła reklamację szefowi, który pogderał, ale wyjął nową butelkę z lodówki. Wróciła na taras i postawiła kieliszek przed gościem, udając spokój. Potem przeszła do innych stolików. Usłyszała za plecami hałas krzesła upadającego na podłogę i ponownie obraźliwy krzyk:

- Czarna! Mówię do ciebie! Popatrz na mnie! Zawróciła ponownie w stronę mężczyzny. Czuła, jak krew

wrze w jej żyłach, a serce uderza pospiesznie. Gdyby mogła, gdyby miała pewność, że nie zostanie bez pracy, rzuciłaby się na niego z całą siłą, jaką miała. Tamten stał i wrzeszczał:

- Nadal jest ciepłe! Jak nie potrafisz podawać, wracaj do dżungli!

Sao przestała myśleć. Jakby cała zamieniła się w ogień, ogień tysiącletniej dumy, który wybuchnął wobec obrzydliwej pychy tego typka. Rzuciła się na niego, gotowa go uderzyć, gryźć i kopać, by uwolnić się od tej nagłej bolesnej rany, którą jej zadał swoimi słowami i swoją obecnością. Jednakże szef i drugi kelner uniemożliwili jej to. Słyszając krzyki, właściciel wyszedł z baru. Nie zamierzał dopuścić do bójki; na domiar złego mogła przyjechać policja i wystawić mu mandat za zatrudnianie nielegalnej imigrantki.

Zdołali ją powstrzymać. W końcu mężczyznę zabrali przyjaciele, którzy początkowo śmiali się z jego obelg, później jednak zaniepokoiли się skandalem. Ludzie powoli wracali do swojego piwa i kanapek. Szef powiedział Sao, żeby poszła do domu na resztę popołudnia. Zanim jednak pozwolił jej wyjść, podszedł do niej i powiedział groźnie cichym głosem:

- Oczekuję, że nie będziesz zajmować się prowokowaniem...

Sao wybuchnęła płaczem i wybiegła. Biegła i płakała, aż znalazła się w mieszkaniu i rzuciła się na łóżko, ciągle szlochając. Nie chciała tego zrobić, pragnęła zachować się jak silna i godna kobieta, ale nie potrafiła. Po raz pierwszy w życiu ktoś obraził ją dlatego, że była czarna, po raz pierwszy pogardzano nią dlatego, że urodziła się w Afryce. Ci, którzy wracali z Europy, nie mówili o takich rzeczach. Nie tłumaczyli, że bycie czarnym wśród tylu białych to jak noszenie stale zapalonego światła i że zdarzają się ludzie, którzy chętnie rzucają w nich kamieniem. Chciała wrócić na Wyspy Zielonego Przylądka i być jedną z wielu, taką samą jak wszyscy, niewidzialną. Nagle przestała ją obchodzić bieda i przyszłość. Chciała tylko zniknąć w tłumie.

Kiedy przyszła Liliana i wysłuchała relacji Sao przerywanej pochlipywaniami, zaraz przygotowała jej whisky.

- Nie możesz tak się przejmować z powodu jakiegoś imbecyla - powiedziała. - Nie rozumiesz, że właśnie tego chcą?

Żebyśmy płakali, a jeszcze lepiej, żebyśmy atakowali, by później mogli powiedzieć, że wszyscy Afrykanie to przestępcy.

Sao popijała swoją whisky, a ogromne łzy małej dziewczynki spływały jej w ciszy po policzkach. Liliana podeszła do niej i wzięła jej twarz w swoje dłonie:

- Wiesz, co tak naprawdę dzieje się z tymi wszystkimi rasistami? Oni nam zazdroszczą. Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś śliczna? Myślisz, że ten typ spotka kiedyś tak ładną kobietę jak ty? Zobacz, jaką masz błyszczącą i delikatną skórę, i ten wspaniały kolor, do którego wszystko pasuje... Nie widzisz, że oni spędzają całe lato, usiłując stać się czarnymi, i im się to nie udaje? A twój tyłek? Ty widziałas, jaki masz tyłek i jakie wspaniałe piersi? Kiedy jakiś biały cię obrazi, pomyśl o swoim tyłku. Zobaczysz, że natychmiast przejdzie ci cała złość.

Sao zaczęła się śmiać. Nie była przyzwyczajona do whisky, która natychmiast na nią podziałała. Poczowała, jak krew lekko krąży jej w żyłach, a w głowie pojawiała się kołysząca się chmurka, która wszystko zmieniała. Wstała i poruszyła biodrami, jakby odgrywała dziki taniec:

- Popatrz, biały, popatrz, tym właśnie jestem!

Włączyły muzykę, dzikie batuka z wyspy Santiago, i tańczyły rozgorączkowane, a rytm bębnów przenikał ich ciała, opanowywał je, stał się całkowicie ich panem, szybki, coraz szybszy, jakby wirowały w powietrzu, w końcu padły na podłogę, wyczerpane i nieżywe ze śmiechu.

Była to ich ostatnia chwila rozrywki na długi czas. Kilka dni później Sao znalazła drugą pracę. Od siódmej wieczorem do dwunastej w nocy obsługiwała stoliki w pizzerii.

Potrzebowała zarobić trochę więcej pieniędzy. Musiała oddać pożyczkę Benvindzie, prócz sum, jakie zwykle posyłała Jovicie oraz matce, która dalej pisała do niej listy pełne narzekań, tłumacząc, ile wydatków ponosi na jej rodzeństwo. Dziewczyna musiała też zapłacić swoją część za mieszkanie i jedzenie, a także za bluzki i spodnie, które sobie kupiła, by ubierać się jak Portugalki. Miała wolne tylko ranki i dwie godziny po południu. Nie spała dużo. Wolała usiąść na chwilę i pogawędzić z koleżankami ze wspólnego mieszkania, choć często zasypiała w salonie ze zmęczenia. Nie przejmowała się jednak tym, że tyle pracuje. Cieszyła się swoim szczęściem, czuła się nawet dumna ze swojej fizycznej odporności, z silnego i zdrowego ciała, które tyle wytrzymało.

Wiele razy rozmawiała z Lilianą o tym, co będzie robiła, kiedy skończy się lato i bary w Portimao przestaną być miejscem dla imigrantów. Wróci do Lizbony z pieniędzmi, które zaoszczędzi, i poszuka jakiegoś pokoju do wynajęcia. Nie mogłyby dalej mieszkać razem, ponieważ Liliana dzieliła swój apartament z narzeczonym, wykładowcą socjologii. Pomoże jednak Sao znaleźć mieszkanie i pracę i będą się od czasu do czasu widywać, razem pospacerują sobie po Lizbonie i usiądą gdzieś na tarasie w kawiarni, żeby popatrzeć na facetów. Wszystko dobrze się ułoży. Będzie wiodła przyjemne życie, płynące jak rzeka przecinająca łagodne równiny, bez wstrząsów ani wielkich zwycięstw. Spokój. Tak właśnie będzie - dzień wypełniony ciężką pracą i dużo spokoju.

W poniedziałki rano bar był zamknięty, żeby właściciel mógł trochę odpocząć. Sao na ogół wykorzystywała ten czas, spędzając parę godzin na plaży. Chodziła zawsze sama, bo przyjaciółki pracowały. Lubiła te chwile odizolowania. Wyciągała się na piasku i leżąc na brzuchu, obserwowała morze albo czytała jedną z książek, jakie pożyczała jej Liliana. Były to skomplikowane powieści, które trochę ją nudziły, ale

zmuszała się do ich lektury, czytając najtrudniejsze, jej zdaniem, akapity po kilka razy, by je w końcu zrozumieć. Z początkiem sierpnia plaża wypełniła się tłumem ludzi, dziećmi biegającymi we wszystkie strony, ich rodzicami pod osłoną parasoli, kobietami spacerującymi brzegiem morza i młodzieżą grającą w raketkę plażową... Kiedy Sao przyszła w pierwszy poniedziałek miesiąca, poczuła się zakłopotana nagłą obecnością tłumu, jakby skradziono przestrzeń, która należała do niej. Nie miała jednak innego wyjścia jak pogodzić się z sytuacją. Poszukała wolnego miejsca na rozłożenie ręcznika, jak najdalej od wody, gdzie kąpiący się urlopowicze bez przerwy krzyczeli, i wyciągnęła się z książką.

W pewnej chwili podszedł do niej jakiś mężczyzna. Siadł koło niej i zapytał:

- Co czytasz?

Sao odwróciła się i popatrzyła na niego. Wydało jej się, jakby między nią a słońcem pojawiła się ciemna burzowa chmura, gorąca i pełna energii. Szybko się podniosła, z zawstydzającym poczuciem, że jej rozciągnięte na piasku ciało jest zbyt widoczne. Usiadła, zasłaniając kolanami piersi.

- To książka brazylijskiego pisarza Jorge Amado.

- I co, podoba ci się?

- Tak.

Mężczyzna mówił z dziwnym akcentem. Patrzył na nią z uśmiechem, pewny siebie, bez strachu czy onieśmienia. Wyciągnął do niej rękę.

- Mam na imię Bigador. A ty?

Ręka dziewczyny, drżąca jak trzęsący się ptak, cała zmieściła się w jego dłoni.

- Sao.

- Sao... - powiedział to tak, jakby zdmuchiwał świecę na środku oceanu. - Ładnie.

Potem odprowadził ją pod sam dom. zaproponował, że przyjdzie po południu, gdy będzie wychodziła z baru, i poczeka z nią aż do rozpoczęcia pracy w pizzerii. Choć wolałaby spędzić ten czas spokojnie w mieszkaniu, napić się kawy i wziąć prysznic, zgodziła się jednak bez wahania. Na pożegnanie Bigador pocałował ją w policzek - spodobał jej się słodki dotyk jego warg.

Czas od piątej do siódmej spędzili razem na plaży, siedząc na tarasie. Zanim dotarła do restauracji, sporo się o nim dowiedziała. Miał dwadzieścia siedem lat. Urodził się w Angoli, w czasie wojny domowej. Ze swojego dzieciństwa pamiętał przede wszystkim głód, wystrzały, czołgi wznoszące pył na ulicach Luandy, gruzy, gdzie dzieci bawiły się w strzelanie, i polowania na szczury, które potem kobiety nocą piekły na ogniu. Odkąd skończył sześć lat, kradł na targach owoce i kawałki mydła. Matka besztła go za to, ale on wiedział, że jego kradzieże były dobre dla niej i siedmiorga rodzeństwa. O ojcu rzadko mieli jakieś wieści. Pracował w kopalniach diamentów w Catoca i każdego miesiąca przysyłał jakieś pieniądze na konto w banku. Gdy od czasu do czasu malała intensywność działań wojennych, pojawiał się na parę dni, a potem znowu wracał do kopalni, pozostawiając swoją żonę w kolejnej ciąży.

Chłopak był szybki jak gazela, zwinny i zręczny, i drobne kradzieże szły mu dobrze. Powoli nabrał pewności siebie, nauczył się śledzić białych, którzy zawsze mieli przy sobie spore sumy pieniędzy, i kraść im portfele. Matka nie pytała go, skąd wziął jedzenie, z którym wracał do domu. Dawała je dzieciom i godziła się z tym.

Pewnego dnia, gdy miał jedenaście lat, napadł na katolickiego księdza. Zabrał mu wszystkie banknoty, które ten miał w kieszeni, i jak zwykle zaczął uciekać, wykorzystując szybkość swoich nóg młodego Kimbundu. Nie docenił jednak

siły tego mężczyzny, który był w młodości atletą. Ojciec Barcellos złapał go bez trudu po przebiegnięciu kilku ulic, obezwładnił i przytrzymał na ziemi. To spotkanie zmieniło życie Bigadora. Ksiądz postanowił się nim zająć. Prowadził szkółkę przy swoim kościele w dzielnicy Katari. Uczył w niej garstkę chłopców zajmujących się ulicznymi kradzieżami - nie tylko czytać i pisać, ale także układać cegły, instalować gniazdko elektryczne, montować krany i ciąć drewno piłą. Był jedną z tych osób, które żywią przekonanie, że każdy człowiek może zostać zbawiony, jeśli tylko da mu się szansę. I starał się to robić.

Bigadora bardzo to wzruszało, że ten człowiek poświęca mu swój czas i uwagę. Ojca prawie nie znał, a jego otoczenie składało się głównie z dzieci i kobiet. Wydało mu się to niezwykle, że dorosły mężczyzna o poważnym głosie i szorstkich ruchach opiekuje się nim i wydaje mu polecenia. Od pierwszego dnia zaczął za nim chodzić jak bezpański pies. Czasem nawet ksiądz, zmęczony jego obecnością, musiał krzyczeć, żeby go odpędzić. Chłopiec szybko spostrzegł, że dobrze mu idą prace ręczne. Lubił patrzeć, jak z niczego, dzięki jego wysiłkowi, powstaje mur czy stół. Ojciec Barcellos mówił mu, że ma do tego spory talent, że niełatwo jest znaleźć tak zdolnych i cierpliwych pracowników jak on i że jeśli porzuci na zawsze kradzieże, będzie miał przed sobą dobrą przyszłość. Bigador wypinał pierś z nadmiaru dumy i stawał się jeszcze bardziej staranny i uważny w swojej pracy.

Parę lat później, kiedy już nauczył się wystarczająco dużo, posłano go do Caungula, by odbudowywał misję. Była to jego pierwsza praca, w której zarobił nieco pieniędzy i zdobył potrzebne doświadczenie. Z żalem pożegnał się z księdzem, mimo to wyruszył pełen entuzjazmu. Przez wiele miesięcy wznosił ściany, układał dachy, wstawiał okna i drzwi oraz robił meble. Nauczył się również chować w buszu przed

partyzantami oraz posługiwać pistoletem i maczetą. Pewnego razu musiał zabić człowieka, ale nie lubił o tym wspominać. Szelest kroków po opadłych liściach, zbliżający się cień mężczyzny unoszącego kałasznikowa w stronę kryjówki w gęstych zaroślach, w której Bigador schronił się z dwiema zakonnicami, pragnienie życia i nagły skok z nożem w ręce, walka, opór ciała, gdy wbijał w nie raz za razem ostrze, odrażający zapach krwi, ciało drgające na ziemi, dopóki nie znieruchomiało... Złe wspomnienia. Lepiej o tym nie mówić.

Kiedy wrócił do Luandy, stał się mężczyzną, choć miał nie więcej niż piętnaście lat. Od razu znalazł pracę murarza; wojna powoli dogasała, miasto się rozrastało i wypełniało nowymi budynkami. Stać go było na wynajęcie dla matki i młodszego rodzeństwa domu lepszego od nędznej chaty, w której dotychczas mieszkali, a kiedy stał się pełnoletni, zdołał zebrać wystarczająco dużo pieniędzy, by wyemigrować do Portugalii. Teraz mieszkał w Lizbonie i dalej pracował na budowach. Szło mu dobrze, mógł zaciągnąć kredyt hipoteczny na zakup mieszkania, a nawet spędzać wakacje w Algarve. Był z siebie dumny. Gdyby został przestępcą, na co się poważnie zanosilo, dziś niewątpliwie byłby martwy, jak większość jego przyjaciół z dzieciństwa. Walczył jednak z całej siły ze swoim przeznaczeniem i w końcu stworzył sobie przyzwoite życie. Zawdzięczał je oczywiście ojcu Barcellosowi, ale prawdziwym wojownikiem był on sam. Teraz mógł się chełpić, jak dawni członkowie plemienia, swoimi trofeami zawieszonymi na tarczy.

Tej nocy po powrocie do domu Sao nie wspomniała ani słowem swoim przyjaciółkom o Bigadorze. Milczała nie tyle ze wstydu czy chęci zachowania tajemnicy, ile z obawy, że jeśli o nim powie, jeśli ujmie w słowa to, co czuje, wówczas dziwne uczucie szczęścia, jakie cały dzień ją przepełniało, rozplynie się jak sen, gdy się go opowiada. Szybko położyła



się do łóżka i zaczęła rozmyślać o tym, co się wydarzyło. Zdziwiło ją, że po raz pierwszy ostrzegawcze światełko, które zawsze jej się zapalało, gdy jakiś mężczyzna kręcił się wokół niej, pozostawało zgaszone. Może dlatego, że on nie spoglądał na nią z pożądaniem i nie dawał do zrozumienia, że pragnie dotykać jej piersi i wdrzeć się w nią gwałtownie, ale patrzył z czułością, jakby chciał ją pieścić powoli, przez wiele godzin. I ta myśl jej się spodobała: czuć ręce Bigadora, które raz po raz dotykają jej ciała, jak muskająca ją na plaży łagodna, świeża bryza.

Podczas dwóch tygodni urlopu Angolczyka widywali się codziennie. O piątej po południu zabierał ją z baru i zapraszał na lody lub kawę. Potem odprowadzał ją do pizzerii i znowu czekał o północy. Wtedy szli na spacer, siadali na piasku, trzymali się za ręce, obejmowali, oplątując się nawzajem. Świat znikał wokół nich. Nie było ludzi opartych o balustrady nadmorskiego bulwaru ani fal głośno rozbijających się o brzeg, ani gwiazd migoczących na wysokim niebie. Tylko języki, skóra, oddechy, ciała spragnione jedno drugiego. Noc po nocy Sao nieoczekiwanie wchodziła w przestrzeń pożądania i szła przez nią mocno i pewnie, aż dotarła na szczyt.

W ostatni poniedziałek jego pobytu w Portimao umówili się na dziewiątą rano, mieli razem pójść na plażę. Ale przed wpół do dziewiątej Bigador zadzwonił do drzwi. Gdy tylko otworzyła, objął jej kibić i zaczął całować, długo i powoli, jej oczy, policzki i usta, milimetr po milimetrze, potem szyję i piersi, muskał każdą z nich bardzo powoli, jakby promieniowała z nich esencja życia. Sao poczuła, że ten mężczyzna dotyka najgłębszych pokładów jej jestestwa, że jest zdolny wydobyć z jej duszy niezwykle tajemnice, których istnienia nawet nie podejrzewała. I oddała się rozkoszy z pełną jasnością umysłu. Cieszyła się każdym spazmem, cała

otworzyła się na niego, by w nią wszedł, składając u jego stóp dawną nieugiętość dziewicy. Dotarła do raju, który zamieszkują wszyscy kochankowie wszystkich epok, do świata splecionych ze sobą dwóch różnych istnień, które na chwilę pokonują samotność.

Kiedy trzy dni później Bigador wrócił do Lizbony, było jasne, że są w sobie zakochani. Nagle zmieniły się wszystkie plany Sao. Ona, która zawsze wyobrażała sobie życie w pojedynkę, zaczęła teraz myśleć o nich dwojgu. Ona i on, jej miłość, dwie kolumny, które będą podtrzymywać się nawzajem w dobrych i złych chwilach. Obiecał, że poszuka jej jakiegoś lokum. Przyrzekł, że pomoże znaleźć pracę. Zapewnił, że pokaże jej każdy zaułek miasta, zabierze ją na tańce w sobornie wieczory. Obiecał, że się nią zaopiekuje i nigdy nie pozwoli na to, żeby płakała, nawet gdyby czuła się przygnębiona i tęskniła za ciemnymi lawami i wyniosłymi dracenami Wysp Zielonego Przylądka, gdyby ktoś usiłował ją obrazić, nazywając czarnuchą, albo tajemniczy mróz europejskiej zimy przeniknął ją do kości i poczułaby się krucha i niepotrzebna. Gdy będzie z nim, rozkwitnie, poczuje się piękna u boku urodziwego mężczyzny i całe to piękno będzie też pięknem Lizbony, ożywionych ulic i hałaśliwego metra, nieba nad szeroką rzeką i starych złocistych kamieni, urodą samego życia, która teraz nieoczekiwanie atakowała ją z każdego zaułka, pozostawiając ją wzruszoną i upojoną.

Tygodnie, jakie upłynęły od jego wyjazdu z Portimao, mijały bardzo wolno. Bigador dzwonił do niej codziennie, punktualnie o szóstej. Sao rzucała się na łóżko, żeby odebrać telefon. Choć o tej porze mieszkanie było puste, zdawało jej się, że w ten sposób będzie bliżej niego. Były to długie banalne rozmowy, pogawędki zakochanych, podczas których opowiadali sobie o codziennych sprawach i powtarzali, że chcieliby się spotkać. Ona nie mogła zrozumieć, jak to jest

możliwe, że pięćset kilometrów od niej znajdował się mężczyzna, który za nią tęsknił i był gotów trudzić się dla niej, który darzył ją miłością, pragnął ją objąć i się z nią kochać. Wszystko to miało jednak sens. Gdy wypowiadał jej imię, czuła się tak, jakby nikt nigdy wcześniej tego nie robił. Czuła się wartościowa i jedyna i pragnęła być o wiele lepsza, aby złożyć w jego ręce wszystko, co było w niej dobre, dać mu w prezencie wszelką rozkosz, radość, siłę i wolę walki.

Nocami często rozmawiała o tym z Lilianą. Przyjaciółka starała się ją przekonać, żeby była ostrożna.

- Nie powinnaś być tak ufna - mówiła zazwyczaj. - Prawie nic o nim nie wiesz.

- Właśnie że wiem - upierała się Sao. - Wiem, że jest dobry, czuły i pracowity. Kupił swojej matce dom w Luandzie.

I każdego miesiąca posyła jej pieniądze. Mężczyzna, który tak dba o swoją matkę, musi być dobry.

- Nie wierz we wszystko, co ci o sobie opowiada, nie masz dowodów. Ludzie na ogół stroją się w barwne piórka, gdy chcą kogoś zdobyć. Daj sobie trochę czasu, żeby go lepiej poznać.

- I co to da? Myślisz, że przestanę czuć to, co czuję? Uważasz, że można strzepnąć z siebie miłość, jakby się ścierało kurz?

- Nie, wiem, że to niemożliwe. Mówię ci tylko, żebyś uważała, żebyś była trochę bardziej ostrożna. Kochaj go i ciesz się nim, ale sprawdź, czy przypadkiem cię nie oszukuje.

Sao przypomniała sobie to, co przeżyła z don Jorge.

- Pewnego razu musiałam zdecydować, czy stanę się nieufna, czy będę dalej żyła tak, jakby wszyscy ludzie zawsze zachowywali się przyzwoicie. Nie chcę zamykać się w sobie i żyć jak staruszka zżerana podejrzeniami. Wolę się pomylić. Jestem jednak pewna, że Bigador mnie nie zawiedzie.

Liliana westchnęła, pokonana.

- Obyś miała rację. Gdybyś jednak jej nie miała, pamiętaj, że jestem tutaj...

Pewnego dnia w końcu września, kiedy już zwolnili ją z pracy w barze i w pizzerii, Sao wsiadła do autobusu jadącego z Portimao do Lizbony. Czuła dziwny spokój. Bardzo chciała zobaczyć Bigadora, a przy tym była tak pewna jego miłości, że przez całą drogę spokojnie obserwowała krajobrazy, ani przez chwilę nie przeżywając niepokoju, jak ryba płynąca z prądem rzeki ku swemu jedynemu przeznaczenia. Czekał na nią na dworcu. Poprosił w pracy o wolne popołudnie, żeby mógł ją odebrać. To, w jaki sposób rozpoznali się wśród tłumu i jak na siebie spojrzeli, odnajdując to niezwykle światło, emanujące z ukochanej osoby, której się pragnie, to, jak się pocałowali i objęli, jakby na świecie nie istniało nic innego, tylko ich ciała, sprawiło, że poczuła, iż się nie pomyliła.

Prawie godzinę jechali przez Lizbonę samochodem Bigadora, brali się za ręce, gdy tylko on mógł puścić dźwignię zmiany biegów. Tydzień wcześniej powiadomił ją, że znalazł dla niej mieszkanie. Kuzynka jego przyjaciela wynajmowała pokój. Nic wielkiego, ale niedrogo i blisko jego domu. W ten sposób będą mogli często się widywać. Teraz, podczas jazdy, powiedział jej, że umówił ją na następny dzień na spotkanie w sprawie pracy. Dowiedział się o pewnej piekarni, w której potrzebowali ekspedientki. Poprzednia była z nim zaprzyjaźniona i poleciła właścicielowi Sao. Była to tak dobra wiadomość, że dziewczyna aż krzyknęła z radości. Nie wiedziała, jak mu dziękować. O tak, będzie o niego dbała, jak nie dbała żadna inna kobieta. Będzie jego żoną, siostrą i matką, jeśli właśnie tego potrzebuje. Będzie go kochała, jak jeszcze nigdy nie kochała nikogo.

Dom Marii Sabado był bardzo smutny. Po prawdzie wszystko było tu smutne. Dzielnica brudnych ulic, pełna

identycznych, odrapanych i niechlujnych domów, gdzie gnieździły się na kupie setki imigrantów, całe rodziny przybyłe z Afryki kosztem licznych długów i oszczędności całego życia, ściśnięte jak insekty w maleńkich mieszkaniach. Mężczyźni, którzy pewnego dnia opuścili swoje wioski na sawannie, pokonali pustynie, góry i morza, wiedli teraz kiepskie życie, sprzedając w deszczowe dni parasole, a w słoneczne - wachlarze. Kobiety, które uciekły z biednych miast, by uniknąć przymusu małżeństwa, a także bicia i niewolniczej pracy, teraz za parę monet sprzątały domy, klatki schodowe, biura i szpitale. Mnóstwo ludzi pochodzących z różnych, niekiedy wrogich plemion, ul zapachów, języków i gatunków muzyki, nocy miłości i nocy seksu, nocy śmierci i nocy alkoholu, nocy płaczu i nocy noży, nieskończoność zdruzgotanych marzeń i nadziei, dusze przegrane i dusze pogodzone, dusze wściekłe, dusze zniszczone i dusze potężne, rój ludzi pozbawionych korzeni, niemających powodów, ani żeby zostać, ani żeby wrócić, właścicieli niczego, cieni zagubionych na drodze, która miała zaprowadzić ich do raj, a prawie zawsze prowadziła do piekła.

Mieszkanie mieściło się na piątym piętrze bez windy. Trzy niewielkie pokoje i mały salonik. Zajmowało je już pięć osób, wszyscy Angolczycy - trzy kobiety i dwóch mężczyzn. Na razie Sao mogła spać sama. Górne posłanie na łóżku piętrowym w jej pokoju było wolne. Szafa bez drzwi i rozlatujący się stoliczek stanowiły całe umeblowanie. Ledwie wpadało tu światło. Otworzyła okno. Wychodziło na malutkie podwóreczko. Naprzeciwko widać było tylko poszarzałą, brudną ścianę. Wyschnięta roślina tajemniczą mocą wyrastała ze szczeliny. Słysząc było płacz dzieci, krzyki kobiet, jakiś głos śpiewający niezwykle smutną piosenkę, która wydawała się pochodzić z dna bardzo ciemnej studni.

Sao zamknęła okno. Była wystraszona. Mieszkała w różnych brzydkich i niemal pustych miejscach, ascetycznych jak cela klasztorna, jednak żadne z nich nie wydało jej się równie rozpaczliwe i przygnębiające. Poczwała, że się dusi. Maria Sabado nawet się do niej nie uśmiechnęła. Dwaj mężczyźni, którzy siedzieli na sofie w salonie, oglądając telewizję, ledwie się z nią przywitali. Miała mieszkać z tymi ludźmi. Słyszeć ich oddechy za ścianą. Patrzyć na ich chmurne twarze, gdy tylko otworzy drzwi. Nie będą to dobre dni - ani śmiechu, ani pocałunków, ani pytań, jak minął dzień czy noc. A kiedy stąd wyjdzie, będzie musiała dotrzeć na przystanek autobusowy przez te groźne ulice, na których dzieci bawiły się wśród przejeżdżających samochodów hałasujących klaksonami, gdzie w zaułkach stały tajemnicze typy, a z barów dobiegały odgłosy bójek... Nie była pewna, czy da sobie radę.

Popatrzyła na Bigadora. Wydawało się, że ją rozumie. Uśmiechnął się i pogładził ją po włosach.

- Przykro mi, kochanie - powiedział bardzo cicho. - Wiem, że ci się tu nie podoba, i to rozumiem. Nie jest to dobre miejsce dla ciebie. Zaslugujesz na znacznie więcej. Ale to tylko na parę dni. Chciałem mieć pewność, że będziesz z kimś znajomym, żebyś nie czuła się sama, i tylko to znalazłem. Jak podpiszesz umowę i dostaniesz stałą pensję, poszukamy czegoś lepszego. Obiecuję.

Sao objęła go. Jej strach się rozplynął, jakby pochłonoło go ciało mężczyzny.

Bigador poczekał, aż rozpakuje walizkę, i zaprosił ją na kolację do dobrej restauracji. Noc zakończyli u niego, na wielkim miękkim łóżku; spragnieni siebie, oddawali się sobie tak, jakby życie zaczęło się właśnie w tej chwili.

## Wiatr w oczy

Dostała pracę, znacznie lepszą, niż się spodziewała. Najpierw została zatrudniona na miesięczny okres próbny, potem podpisano z nią umowę, dzięki której mogła się ubiegać o zgodę na pracę i stały pobyt. Miała również opłacone ubezpieczenie społeczne. Cieszyła ją myśl, że jeśli kiedyś zachoruje, będzie miała prawo do darmowej opieki medycznej, lekarstw i szpitala. Los obszedł się z nią bardzo dobrze i ona starała się mu odplacić, jak tylko mogła. Nie miała na co narzekać.

Rozpoczynała pracę o ósmej rano, a kończyła o siódmej wieczorem. Między pierwszą a trzecią po południu piekarnię zamykano. Sao robiła w tym czasie zakupy, spacerowała po Lizbonie, jadła kanapkę lub pierożka. Lubiła swoją pracę. Sklep znajdował się w dzielnicy Alfami, w samym centrum. Co rano do piekarni przychodziły po chleb staruszki - jedne kulały, drugie szły o lasce, jeszcze inne powłóczyły nogami przy każdym kroczku. Niektóre z nich zostawały przez dłuższą chwilę, gawędziły i opowiadały o dawnych czasach, o rodzicach, o dobrym mężu zmarłym przedwcześnie, dzieciach, które odniosły sukces albo zagubiły się w narkotykach, wnukach, które nigdy ich nie odwiedzały albo robiły to bardzo często, o chorobach i telenowelach, których Sao nie oglądała. Lubiła te starsze panie noszące na plecach całe życie jak ślimaki. Wzruszały ją swoimi małymi wspomnieniami, dla nich tak ważnymi, nieśmiałym, a zarazem pełnym żaru sposobem, w jaki opisywały wszystkie wzloty i upadki swojej egzystencji, zbierając po kolei zwiędłe resztki przeżyć: miłości i rozstań, czasów splendoru i rozpacz, triumfów, wielkich radości i łez nie do zniesienia, zwyczajnych wspomnień, które trzymały w dłoniach jak delikatne drogocenne klejnoty.

Staruszkowie byli za to mniej rozmowni. Prawie wszyscy wydawali się smutni i nieco zagubieni, tak jakby upływający czas wyrwał im z pamięci jasne chwile. Tylko z jednym, don Carlosem, Sao dużo się śmiała. Nadal chodził w kapeluszu i ubierał się w eleganckie, choć nieco podniszczone garnitury, jasne w lecie, a ciemne w zimie. W młodości mieszkał w Angoli i ożenił się z miejscową kobietą, która zmarła wkrótce po przyjeździe do Portugalii, zostawiając go samego, gdyż nie mieli dzieci. Sao musiała przywoływać w nim wiele wspomnień, bo każdego ranka robił jej nostalgiczne propozycje.

- Och, moja czarnulko - zwykł mawiać - gdybyś mnie poznała czterdzieści lat temu, traktowałbym cię jak królową, bo ty nią jesteś.

Przychodziły też matki z dziećmi o zaróżowionych policzkach, które ona zawsze częstowała cukierkami, robotnice wracające wieczorem z pracy, wyczerpane, niemal niemające sił, żeby się uśmiechnąć, a także młodzi mężczyźni wstający wcześniej w soboty, żeby szybko kupić chleb i gazetę, i położyć się znowu do łóżka, dorastające dziewczęta, nadąsane i nerwowe, którym kazano zrobić zakupy, niedawno zakochani, niemogący się rozstać nawet na chwilę, by zejść po bułki...

Sao wyobrażała sobie życie każdej z tych osób, pełne trudu i mozół, rozumiała je i każdego potrafiła właściwie obsłużyć; bardzo dobrze wiedziała, komu powinna okazać cierpliwość, kogo potraktować oschle, z kim zażartować, a kto oczekiwał od niej jedynie zawodowej uprzejmości.

W tym czasie jej związek z Bigadorem się umacniał. W tygodniu widywali się tylko w środy. Oboje wstawali wcześniej rano i pracowali do wieczora, dlatego on zaproponował jej takie ograniczenie, dobrze wiedząc, że ich noce trwałyby do późna, a nie mogli sobie pozwolić na to, by



co rano iść do pracy niewyspani i zmęczeni. Za to weekendy spędzali wspólnie, od południa w soboty, kiedy kończyli pracę, aż po ostatnie godziny niedzieli. Spotykali się w mieszkaniu Bigadora, przekonani, że było to dla nich najlepsze miejsce, i spędzali długie godziny, kochając się; leżeli objęci, na wpół śpiący, czując rozkoszną gnuśność ciała tej drugiej osoby. Wieczorami szli na tańce. Początkowo Sao dziwiła się, że ludzie tańczą w pomieszczeniach zamkniętych. Szybko jednak przyzwyczaiła się do hałasów dyskoteki, dymu, świateł i angolskiej muzyki: kizomby, semby i kuduro, która przenikała ją do krwi i wywoływała poczucie, jakby wszystko, co ją otaczało, było nierzeczywiste, z wyjątkiem kołyszącego się ciała Bigadora, które tak ją ekscytowało.

W niedzielę, gdy on oglądał z przyjaciółmi mecz piłki nożnej w telewizji, Sao dokładnie sprzątała dom, prasowała jego ubrania i gotowała mu jedzenie na cały tydzień. Nauczyła się przyrządzać potrawy, które lubił - duszoną rybę z kukurydzą, fufę z juki, mocno pikantne jagnię z jarzynami. Spędzała długie godziny w kuchni, szczęśliwa, że może się nim w ten sposób opiekować, że co wieczór po ciężkim dniu pracy będzie mógł odzyskać siły, jedząc potrawy, w przygotowanie których włożyła całą troskę, do jakiej była zdolna.

Z każdym dniem była coraz bardziej zakochana w Bigadorze i coraz bardziej go potrzebowała. Jej pobyt w Lizbonie byłby znacznie trudniejszy, gdyby nie jego wsparcie. To on wytłumaczył jej po kolei, co powinna zrobić, by załatwić sobie dokumenty. Zabierał ją w najpiękniejsze zakątki miasta. Objaśniał portugalskie zwyczaje. A gdy tylko podpisała umowę, uwolnił ją od okropnego domu Marii Sabado i przeniósł do innego, o wiele przyzwoitszego. Sao się wyprowadziła, nie zamieniwszy ani słowa z pozostałymi mieszkańcami domu. Nigdy się nie dowiedziała, że Maria

Sabado została zgwałcona pewnej nocy przez siedmiu pijanych partyzantów, którzy po kolei brutalnie wchodzili w jej trzewia dorastającej dziewczyny, załęcznionej i sponiewieranej, że urodziła dziecko i porzuciła je w środku dżungli na rozłożonych liściach miombo. Nie wiedziała też, że dwaj mężczyźni, którzy zwykle siedzieli na sofie, oglądając telewizję i ledwo się z nią witając, byli dezertierami z wojska UNITY i splamiła ich krew wielu ofiar, że kobiety śpiące za dnia w pokoju obok, których nigdy nie widziała, zostały oszukane w jednym z barów Luandy przez właścicielkę domu publicznego - obiecała im pracę pokojówek w dobrym hotelu w Europie, a następnie bezprawnie uwięziła i zagroziła, iż je zabije, jeśli nie będą pracowały w klubie jako prostytutki - a teraz, kiedy się zestarzały, zrozpaczone sprzedawały swoje ciała w najbardziej obskurnych zaułkach Lizbony.

Bigador ulokował ją w swojej dzielnicy, Corroios, po drugiej stronie mostu 25 Kwietnia, w domu przyjaciela, który mieszkał z żoną i wynajmował dwa pokoje. Pokój Sao był malutki, ale przynajmniej porządnie umeblowany, a przede wszystkim jasno oświetlony. Okno wychodziło na opuszczone miejsce, po którym wałęsały się koty, pomiaukując i hałasując wśród rumowiska. Nie przeszkadzały jej, nawet gdy budziły ją w środku nocy. Lubiła słuchać, jak się przechwalają w ciemności. Patrzyła na nie jak na niestrudzonych wojowników, małe delikatne istoty, które dzień w dzień walczą o przetrwanie, mając przeciw sobie wszystko - głód, pragnienie i uliczny ruch. Rosła tam również czereśnia, wątłe drzewko, zdane na siebie, zapalczywie chłonna wilgoć z podłoża. Co rano, gdy na nie patrzyła, przypominała sobie sady i ogrody warzywne w Queimada, z ich słodkimi zapachami i liśćmi podrygującymi na wietrze. Kiedy słońce zbladło i nastąpiła jesień, liście czereśni poczerwieniały i zaczęły powoli opadać.

Sao wiedziała, że wiosną drzewko znowu wypuści pąki, ale w dniu, w którym zobaczyła w końcu gołe, wzruszające gałęzie, poczuła smutek. Tej nocy opowiedziała o tym Bigadorowi. Myślała, że ją zrozumie, ale on nieoczekiwanie parsknął, a potem wybuchnął pogardliwym śmiechem, mówiąc:

- Jak można cierpieć z powodu drzewa? Nie zachowuj się jak idiotka!

Wtedy po raz pierwszy zobaczyła u niego ten dziwny grymas: usta wykrzywione w lewo, górna warga odchylona, odsłaniająca zęby, i coś czerwonego w głębi oczu, błysk wyrażający wściekłość i gniew. Zamilkła na kilka chwil, przestraszona, a jednocześnie nie dowierzała samej sobie. Leżeli w łóżku. On wstał i poszedł do łazienki. Wrócił do pokoju, tańcząc, kołysząc biodrami, z rozpostartymi ramionami. Rzucił się na łóżko. Pocałował ją bardzo delikatnie i zaśpiewał na ucho piosenkę. Sao pragnęła, by jej niezrozumiałe słowa w języku kimbundu mówiły o miłości. Kiedy skończył, powiedział do niej bardzo cicho: kocham cię. Przytuliła się mocno do niego, jakby starała się z nim zjednoczyć. Ja też cię kocham - wyszeptała. Bigador wstał i otworzył okno.

- Sao mnie kocha! - krzyknął. - Słuchajcie wszyscy! Sao mnie kocha! Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie!

Potem rzucił się na nią i zaczął ją zjadać pocałunkami.

Kiedy w maju zaszła w ciążę, Bigador bardzo się ucieszył. Początkowo czuła obawę. Od kiedy się z nim spotykała, czasem po cichu myślała o dzieciach, choć nie była zupełnie pewna, czy to odpowiedni moment. Kiedy jednak zobaczyła, jaki jest szczęśliwy, gdy rozradowany głaskał ją po brzuchu i od razu zaczął wymyślać imię dla dziecka - Andre, Jorge albo Edson, tylko męskie imiona, był bowiem przekonany, że

urodzi się chłopiec - zaczęła myśleć o życiu we trójkę, ona, Bigador i malutka bezbronna istotka razem z nimi. Spodobała jej się ta myśl, choć wiedziała, że trudno jej będzie opiekować się dzieckiem ze względu na długie godziny pracy i brak pomocy ze strony rodziny. Ale dadzą sobie radę. Wszyscy w końcu jakoś dają sobie radę. Jakby dzieci wyostrzały pomysłowość i inspirowały pomysły, które dziewięć miesięcy wcześniej nikomu by nawet nie przyszły do głowy.

Bigador od razu jej zaproponował, żeby z nim zamieszkała. Sao zgodziła się bez namysłu. Uważała, że to normalne. Pragnęła mieć rodzinę, dom, tak jak wszyscy. Czuła się samotna w swoim pokoju, zwłaszcza nocami. Chciała zasypiać przytulona do niego, a teraz, bardziej niż kiedykolwiek, potrzebowała jego bliskości i troski. Kiedy stanie się gruba i ciężka i zachce jej się pić, będzie miło, gdy on wstanie i przyniesie jej szklankę wody. Pragnęła tylko tego: drobnych gestów, odrobiny czułości, kogoś, kto od czasu do czasu jej pomoże. Cięża dodała jej sił. Była pogodna, spokojna i czuła się zdolna do dokonania rzeczy, o których wcześniej nawet nie myślała. Na przykład bez skrupowania poprosi szefa o wolne godziny, żeby mogła pójść do lekarza. Nie zaczerwieni się ani nie spuści wzroku, jeśli ktoś potraktuje ją z pogardą. Jednocześnie bardzo potrzebowała ochrony i ciepłego, wygodnego miejsca, w którym wszystko toczyłoby się spokojnie, bez zmartwień i obaw.

Kiedy zwolniła swój samotny pokój i wstawili jej jedyną walizkę do samochodu Bigadora, czuła się najszczęśliwszą kobietą na świecie. To był piękny dzień. Ludzie szli lekkim krokiem i sprawiali wrażenie beztroskich. Może na każdego z nich czekała w domu olśniewająca kochanka lub mąż z oczami błyszczącymi pożądaniami. Na moście i przy ujściu rzeki pyszniły się gadatliwe mewy. Światło odbijające się w ich skrzydłach tworzyło lekki fioletowawy refleks,

natychmiast rozpraszający się w powietrzu. Gdy przejeżdżali obok kwitnącej akacji, podmuch lekkiego wiatru zerwał kilka płatków, które wpadły przez okno samochodu i osiadły na jej ubraniu. Sao roześmiała się: afrykańskie kwiaty błogosławiły jej ciało. Nosila w sobie dziecko ukochanego mężczyzny. Czy mogła oczekiwać czegoś więcej od życia? Chwyciła go za rękę, siłą zdjęła mu ją z kierownicy i ucałowała wiele razy. W końcu Bigador zdołał się uwolnić i znowu skupić na prowadzeniu.

- Nie bądź natrętna - powiedział - bo zderzymy się przez ciebie.

Senny koszmar powracał wiele razy. Bigador płynął środkiem oceanu. Woda była zielona i czysta, ale ona wiedziała, że pod pozornym spokojem kryły się setki metrów ciemności i strachu. Płynął rozbawiony, uśmiechał się i zawracał. Nagle coś się stało. Twarz mu się zmieniła. Bał się. Stał się słaby jak dziecko. Sao wiedziała, że on jest w niebezpieczeństwie. Wyciągnęła do niego rękę, żeby go złapać. Odrzucał ją jednak, jakby nie chciał, żeby mu pomogła. Jakby wołał się utopić, pozwolić, by zabrały go ciemne wody, niż chwycić jej dłoń.

Budziła się w środku nocy spocona ze strachu. Okno było otwarte, ale nie wpadała przez nie ani odrobina świeżego powietrza. Nie przytulała się do Bigadora, by mu nie przeszkadzać: z trudem zasypiał i złościł się, gdy coś go budziło. Dlatego zwykle wstawała, siadała w salonie i siedziała tam, dopóki się nie uspokoiła. Wiedziała, że ten sen jest dla niej jakimś ostrzeżeniem. Wiele razy Jovita tłumaczyła jej, że obrazy, jakie ukazują nam się w snach, są wieściami z zaświatów, ostrzeżeniami duchów, i że trzeba nauczyć się je interpretować. Ale nie było to takie łatwe. Język umarłych był zawiły, a często nawet absurdalny. Gdyby interpretować ten koszmar dosłownie, zgodnie z zasadami logiki, sugerowałyby,

że z jej mężczyzną zdarzy się coś złego. Była jednak przekonana, że nie o to chodziło. Wydawało jej się, że ma to raczej związek z tym, jak Bigador ją ostatnio traktował.

Coś się z nim stało od czasu, gdy zamieszkała u niego.

Jego zły nastrój krążył po pokojach - milczenie, srogie miny, od czasu do czasu krzyki, trzaskanie drzwiami, a niekiedy, gdy jego drużyna piłki nożnej przegrała mecz, walenie pięścią w stół, które wzbudzało w niej strach i zdziwienie. Teraz, gdy wychodził z domu lub do niego wracał, nie całował jej z takim entuzjazmem jak wcześniej, nim zamieszkali razem, kiedy na powitanie chwycił ją w pasie, unosił w powietrzu i mocno przytulał do siebie. Miała wrażenie, że już nie chce z nią być. Często po pracy szedł z przyjaciółmi na piwo, wracał późno i pytał ją tylko, co przygotowała na kolację; jej sprawy go nie obchodziły. Zjadał posiłek przy włączonym telewizorze, jakby jej obecność zakłócała jego prywatność i nie potrafił znaleźć innego sposobu, by jej o tym powiedzieć, niż okazując pogardę.

Pewnej nocy zachował się bardzo nieprzyjemnie. Sao przez cały dzień bolała głowa. Ból narastał z godziny na godzinę. Na dodatek czuła ostre pulsowanie w prawej skroni, a oczy zachodziły jej łzami. Nie odważyła się jednak nic zażyć ze względu na dziecko. Kiedy wróciła do domu, zmoczyła chusteczkę w occie i nałożyła ją sobie na czoło. Wyciągnęła się na sofie i obserwowała, jak powoli zapada ciemność, przynosząc jej ulgę. W końcu zamknęła oczy i zapadła w półsen. Musiało być koło jedenastej, kiedy usłyszała otwieranie drzwi. Bigador zatrzasnął je z całej siły, strasznym uderzeniem, rezonującym w jej czaszce, i od razu zapalił wszystkie światła. Później, już po awanturze, zdała sobie sprawę, że okna w mieszkaniu były otwarte i sąsiedzi z całą pewnością słyszeli jego krzyki.

- Co tu się dzieje?! - wrzasnął. - Dlaczego wszystko jest pogaszone?!

Usiadła na sofie zdumiona.

- Boli mnie głowa...

- Boli cię głowa? No to cierp! Nie chcę wracać do swojego domu, który wygląda, jakby ktoś tu umarł!

- Ależ, Bigadorze...

- Żeby to mi było ostatni raz! I nie fatyguj się z podawaniem mi kolacji! Odechciało mi się jeść!

Poszedł do łóżka, nie mówiąc więcej ani słowa. Zasnął w ciągu dwóch minut. Sao z sofy słyszała jego oddech. Leżała na niej przez całą noc, nie śpiąc aż do świtu. Na początku nie mogła zrozumieć, co się stało. Jakby nagle stał się inną osobą, kimś, kogo nie знаła, nieprzyjemnym i rozwścieczonym mężczyzną, którego nie kochała. Nie chciała jednak się smucić ani gniewać na niego. Pragnęła tylko się dowiedzieć, dlaczego zdarzają mu się tego rodzaju nastroje. Jaka jest przyczyna jego nagłych wybuchów niezadowolenia i złości, jakby jej nie znosił, jakby narastała w nim nieoczekiwana nienawiść, która stopniowo pożerała jego miłość. Chciała zrozumieć, co on myśli. Prawdopodobnie przeszkadzała mu jej obecność w mieszkaniu, które przez długi czas należało tylko do niego. Pewnie był również zdenerwowany z tego powodu, że niedługo będą mieli dziecko. W końcu ciąża nie jest tym samym dla kobiety, co dla mężczyzny. Ona czuła dziecko w swoim brzuchu, jak się rusza i robi sobie miejsce, odżywia się i rośnie dzięki jej ciału. Było częścią jej, równie naturalną jak jej ręce, kawałkiem jej samej, ciałem z ciała, sercem bijącym razem z jej sercem, i to wrażenie było niezwykle i tak pełne życia. Dla niego natomiast dziecko nie przestało być kimś obcym i dziwnym, może istotą zagrażającą jego wygodnemu życiu. Z całą pewnością był wystraszony. Dlatego w jej śnie stawał się mały i kruchy, choć nie chciał się

do tego przyznać. Powinna być cierpliwa. Musi mu okazać, że żadne dziecko na świecie nie zdoła skraść nawet najmniejszej drobiny jej miłości do niego.

Rano, kiedy Bigador wstał, Sao spała na sofie, spocona, w niewygodnej pozycji, z rękami splecionymi na brzuchu. Pocałował ją w usta i w powieki.

- Przepraszam za to, co było w nocy - powiedział, gdy tylko otworzyła oczy. - Nie wiem, co mi się stało. Wypiłem za dużo i źle się czułem. Przyrzekam, że więcej się to nie powtórzy.

Objęła go za szyję.

- Wiesz, że bardzo cię kocham?

- Tak, wiem o tym.

- Nic nas nie rozdzieli. Możesz być pewien.

- Jestem pewien. Będziemy żyć we trójkę i będzie tak, jakbyśmy byli jednością.

- Tak jest, życie moje. A ja cię będę jeszcze bardziej kochała, jeśli to w ogóle jest możliwe...

W końcu czerwca właściciel piekarni zapytał Sao, kiedy chciałyby wziąć urlop. Wiedziała, że Bigadorowi kazano pójść na urlop w sierpniu, dlatego poprosiła o ten sam miesiąc. Planowali, że pojedą na tydzień do Portimao, wynajmą apartament, tak jak on zrobił w zeszłym roku. Tym razem jednak ona nie będzie musiała chodzić do pracy. Odpoczną, wyśpią się, pochodzą na plażę. Sao nigdy nie miała takich wakacji. Czuła się podekscytowana i zadowolona. Cały czas wyobrażała sobie, jakie będzie ich mieszkanie, może z tarasem wychodzącym na morze, gdzie rano będą mogli zjeść śniadanie, i z sypialnią z wentylatorem u sufitu, żeby pospać w czasie sjeisty, a potem znowu wrócić na plażę. Wieczorami po powrocie z pracy liczyli koszty. Nie mogli wydać zbyt dużo pieniędzy ze względu na wydatki związane z dzieckiem, dlatego Bigador powiedział, że będą musieli jeść obiad i



kolację w domu, ale ona się tym nie zmartwiła. Powiedziała mu, że dla niej liczy się tylko to, iż będą cały czas razem, niezobowiązani godzinami pracy. Prosiła, by obiecał, że zdejmą zegarki przed wyjazdem z Lizbony.

Kilka tygodni później zadzwonił do niej szef i poinformował, że nie znalazł nikogo godnego zaufania na zastępstwo w sierpniu. Musiała poczekać z urlopem aż do września.

Zmartwiła się ze względu na Bigadora. Był taki zmęczony po całym roku ciężkiej pracy, miał tyle planów, a teraz musiała mu powiedzieć, że nie będą mogli wyjechać razem. Dla niej nie był to wielki problem. Jeśli zostaną w domu, będą mieli czas, żeby kupić trochę rzeczy dla dziecka i przygotować mu pokój. Pozbawienie urlopu Bigadora wydało jej się jednak niesprawiedliwe.

Tego wieczoru zamknęła szybko piekarnię i złapała autobus, żeby jak najprędzej wrócić do domu. Przygotowała dla niego smaczną kolację: dobrze doprawionego duszonego turkota z jarzynami i ziemniaki pieczone z masłem. Rozłożyła obrus, najlepszy jaki miała, biały, haftowany, który kupiła w zeszłym roku w Portimao, a na środku postawiła bukiet stokrotek. Chciała, żeby wszystko było jak najdoskonalsze, by w ten sposób zrekompensować mu złą wiadomość.

Bigador zdziwił się, kiedy wrócił i zobaczył tak nakryty stół.

- Co tam! Co świętujemy? Podnieśli ci pensję? - zapytał.

- Nie, kochanie. Tak naprawdę nie świętujemy niczego, wręcz przeciwnie.

Usiadł, gotowy wysłuchać tego, co powie.

- Co się stało?

- Nic poważnego, nie martw się. Tylko tyle, że będę mogła wziąć urlop dopiero we wrześniu. Bardzo mi przykro.

Mężczyzna siedział w milczeniu. Po chwili Sao podeszła i pogłaskała go po twarzy.

- Naprawdę mi przykro - powiedziała. - Wiem, jak bardzo potrzebujesz wypoczynku.

Chciała go pocałować, ale ją odepchnął:

- Co powiedziałaś swojemu szefowi?

- Nic. Co miałam mu powiedzieć?

- Że wyjedziesz w sierpniu, cokolwiek by się działo...

- Ależ nie mogłam tego zrobić, na pewno by mnie wyrzucił!

Bigador coraz bardziej podnosił głos::

- I co z tego, że by cię wyrzucił?! Co to, nie ma innej pracy?!

- Ale...

- Nie pomyślałaś o mnie! Nigdy o mnie nie myślisz! Tak odpłacasz mi za to wszystko, co robię dla ciebie i dla dziecka!

Sao nagle poczuła się mała i słaba, jak jakiś owad, który za chwilę zostanie rozdeptany. Wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Siadła w kącie i przytuliła się do ciepłych ścian. Nie wiedziała, co zrobić ani co powiedzieć. Chciała tylko, żeby to się szybko skończyło, żeby on przestał na nią krzyczeć, żeby minuty, jakie przeżywali w tej chwili, się rozwiały, żeby czas się cofnął, a Bigador ponownie wszedł do domu i objął ją, kiedy ona będzie mu mówiła, że nie mogą wyjechać do Algarve, i wyszeptał, że to nic, że jedyne, co się liczy, to żeby byli razem i nadal kochali się tak, jak się kochają. Czuła straszny żal. Ogromny, gigantyczny żal, który ciążył jej, jakby dźwigała na plecach górę. Czy to możliwe, żeby wszystko rozpadło się w taki sposób, zaledwie w ciągu kilku sekund, wszystkie plany na życie, miłość, rodzina, wzajemne wsparcie i zrozumienie?

Mężczyzna pochylił się nad stołem i uderzył w niego ręką, po czym zrzucił na podłogę naczynia i wazon z kwiatami.

- Idź do diabła, ty i te twoje wakacje!

Wyszedł, trzaskając drzwiami tak głośno, że uderzenie zabrzmiało w całym domu jak wybuch bomby. Sao poczuła, jak zatrzęśły się ściany, a także dziecko w jej brzuchu, niespokojne, jakby chciało się chronić przed tym grzmotem. Ona za to znieruchomiała. Stała, szlochając i stopniowo się osuwając, aż upadła na podłogę. Woda z wazonu utworzyła kałużę na blacie stołu z azulejos i teraz krople kapały powoli i rytmicznie na podłogę.

Jeszcze sobie nie uświadamiała, że ona, która była osobą odważną i sprawiedliwą, również w stosunku do siebie, a także twardą i silną, właśnie stawała się biedną, rozbitą kobietą, z połową duszy wyrwaną zębami przez ukochanego mężczyznę, który przysięgał, że bardzo ją kocha. Ale jak przyznać przed samą sobą, że ten, którego się wybrało spośród wszystkich, teraz usiłuje nas zniszczyć? Jak wyznać, że nasza miłość nie zmierza ku światłu, które powinno opromieniać tych, co postanowili przeżyć wspólnie część życia, darząc się wzajemnym zaufaniem, ale podąża krętą i niebezpieczną drogą na drugi brzeg, gdzie rozpraszają się promienie, panuje ciemność i chaos?

Kiedy zdołała odzyskać siły, pomyślała, że odejdzie. Spakuje swoją walizkę, wyjdzie i już nigdy więcej nie wróci. Czowała, że nie wytrzyma następnych krzyków Bigadora. Zadzwoń do Liliany. Ona jej pomoże. Potrafi znaleźć odpowiednie słowa, by ją wesprzeć. Zaopiekuje się nią i ból porażki powoli zniknie. Sao znowu będzie kobietą żyjącą bez mężczyzny, bez kogoś, do kogo można się przytulić w zimne noce. O Boże, jakże tęskniła do jego ciała! Przypominała sobie pożądanie i rozkosz, i niekończące się pieszczoty! Jak samotna będzie się czuła, wracając do smutnego pokoju w jakimś ponurym domu, w którym nie zastanie tej ukochanej twarzy z wielkimi ciemnymi oczyma i spragnionymi wargami.

Nie będzie nikogo, komu opowie, co się jej zdarzyło w ciągu dnia; nikogo, z kim mogłaby spędzić sobotni wieczór, umierając ze śmiechu, omdlewając od pieszczot; nikogo, z kim spacerowałyby za rękę w niedzielny poranek wzdłuż brzegu rzeki, słuchając krzyku zuchwałych mew i myśląc o godzinach szczęścia, jakie jeszcze ich czekają.

Nie będzie nikogo, kto pomógłby jej wychowywać dziecko. Jej dziecko nie będzie miało ojca. Tylko odwiedziny od czasu do czasu, przy dobrym szczęściu może jakiś weekend, gdy dziecko podrośnie, nie będzie się już załatwiać w pieluszki i zacznie samo chodzić. Będzie tak do chwili, gdy Bigador, jak wielu innych imigrantów, przeniesie się do innego miasta lub powróci do swojego kraju, albo będzie miał inną kobietę i dzieci, i zapomni o dziecku, jakby było tylko obrazkiem w książeczce, zagubioną wypłowiałą fotografią na dnie szuflady, przedstawiającą kogoś, kogo w pewnym momencie życia znaliśmy, ale nie potrafimy sobie nawet przypomnieć jego imienia. Miałem kiedyś syna, ale nie pamiętam, jak się nazywa...

A on? A Bigador? Co sobie pomyśli, kiedy wróci i zobaczy pusty dom, rozrzucone kieliszki, kwiaty w nieładzie na stole, garnek z duszoną rybą w kuchni, zostawione przez nią? Jaki wielki ból poczuje, kiedy uświadomi sobie, że odeszła? Jakie będą jego noce bez niej? Ile spędzi nieprzespanych godzin, tęskniąc za nią, przewracając się na łóżku, wyobrażając sobie jej ciało przytulone do niego? Kto o niego zadba? Kto przygotuje mu czyste ubranie, wyszoruje wannę, ugotuje jedzenie? Kto go pomasuje, kiedy przyjdzie wyczerpany po pracy, łagodząc napięcie w każdym mięśniu?

Musiała zostać. Nie mogła odejść, odwracając się od tego wszystkiego, co było piękne i co ich łączyło: miłości i pożądania, chęci bycia razem i wspólnego wychowywania dziecka. Byłaby bardzo niesprawiedliwa, gdyby to wszystko

zniszczyła, wyrzuciła na śmietnik, jakby nie miało żadnego znaczenia. Kochać kogoś tak, jak ona kochała Bigadora, to przywilej, nie można iść przez życie, odrzucając od siebie łaski, jakie ono nam zsyła. Zaczęła się modlić. Dawno już tego nie robiła, ale teraz zaczęła się modlić. Za siebie, za niego, za swoje dziecko. Prosiła Boga, żeby Bigador się uspokoił i już na nią nie krzychał. Prosiła, żeby ją przeprosił za swój zły humor i żeby Bóg przywrócił im obojgu ich miłość. W końcu, wyczerpana, zasnęła i znowu przyśnił jej się Bigador; teraz jednak nie płynął po morzu, tylko w kałuży utworzonej na podłodze przez wodę z wazonu, która zamieniła się w ogromny ocean. Płynął pośród niebezpieczeństw, a ona wyciągała do niego rękę, on się jednak odwracał i płynął dalej w przeciwnym kierunku, oddalając się coraz bardziej w stronę niewidocznego horyzontu, nad którym unosiła się mgła.

Wrócił do domu po trzech dniach. Sao się zamartwiała. Wiele razy dzwoniła do niego na komórkę, ale nie odbierał. Nie odważyła się zadzwonić do żadnego z jego przyjaciół: zapewne przebywał u jednego z nich i nie byłby zadowolony, gdyby inni się dowiedzieli, iż się z nią pokłócił. Nie chciała, by się zezłościł jeszcze bardziej. Nie mogła znieść myśli, że po powrocie znowu zacznie na nią krzyczeć i rozrzucać przedmioty. Kiedy o tym myślała, znowu zaczynała płakać.

Wrócił jednak zmartwiony, ze spuszczoną głową, starał się uśmiechnąć, choć wstyd i smutek mu to utrudniały. Podarował jej flakon ulubionych perfum, którymi zawsze się skrapiała, ilekroć byli w dużych galeriach handlowych, ale nigdy ich sobie nie kupiła, bo były bardzo drogie. Ze łzami w oczach prosił ją o wybaczenie. Kochał się z nią z nieskończoną czułością i tamtej nocy spali objęci mocniej niż kiedykolwiek; ona czuła krótkie rytmiczne uderzenia jego serca, a on świeży zapach jej ciała.

Pierwsze ciosy padły kilka tygodni później, w połowie sierpnia, podczas smutnych wakacji, których nie dane im było spędzić razem. Spadły tak jak trzęsienie ziemi czy jakakolwiek inna katastrofa, nieoczekiwanie, choć od pewnego czasu zapowiadały je pewne sygnały, które Sao widziała, ale starała się ich nie dostrzegać.

Była piątkowa noc. Lizbona płonąła. Przez całe lato upał utrzymywał się na ulicach, roztapiając asfalt, rozgrzewając ściany domów i gałki u drzwi. Nawet drzewa wydzielaly ciepło, jakby jakiś niewidzialny ogień pożerał je od wewnątrz, a następnie wypuszczał swoje opary w powietrze. Pracowała cały dzień. Była wyczerpana. Choć miała silne ciało, cięża osłabiła jej wytrzymałość. Spuchły jej nogi, bolały nerki, jakby ktoś smagał ją batem na wysokości pasa. Przyszła do domu, myśląc tylko o tym, żeby odpocząć, szybko coś przegryźć na kolację i zaraz się położyć, bo nazajutrz musiała wstać wcześniej rano.

Zastała Bigadora wyciągniętego na sofie, spał. Przed nim na stole stało pięć czy sześć pustych puszek po piwie. Telewizor był włączony na cały regulator. Leciał film, w którym jakieś typy walczyły ze sobą na pięści i jedni drugich ścigali samochodami, robiąc potworny hałas. Sao wyłączyła dźwięk, zanim podeszła do mężczyzny i go pocałowała.

- Cześć, kochanie.

Otworzył oczy i wyciągnął się, ziewając.

- Cześć.

- Jak ci minął dzień?

- Nudy. Nic nie robiłem.

- Nie wychodziłeś?

- Nie. Nie miałem ochoty.

- A ja jestem zmęczona przez ten upał. Spójrz na moje nogi, jak mi spuchły... Bigador rzucił okiem.

- Aha! A co mamy na kolację?

- Ryż z dorszem. Zrobiłam go wczoraj. Mógłbyś go sobie podgrzać? Muszę się na chwilę położyć.

- Wiesz, że nie lubię odgrzewanego ryżu...

Sao poczuła, jak krew podchodzi jej do głowy i zaczyna bombardować skronie; fala złości, którą natychmiast uciszył strach, jak woda gasząca ogień. Zrozumiała, że mężczyzna jest na granicy wybuchu wściekłości. Nie chciała go słuchać. Nie chciała, żeby jego krzyki spadły na nią jak spiczaste kamienie. Nie wytrzyma tego. Nie miała już siły, by stawić temu czoło. Miała wrażenie, że jeśli on na nią krzyknie, to ona się rozpadnie, rozplynie w powietrzu jak znikające widmo. Nie uświadamiając sobie tego, weszła do jaskini, w której zagnieździł się strach, do straszego miejsca, gdzie kobieta woli złożyć siebie w ofierze niż wywołać kolejny wybuch wściekłości swojego oprawcy. Dlatego nic nie powiedziała. Poszła do pokoju i się przebrała. Następnie w milczeniu weszła do kuchni i przygotowała kolację. Podgrzała ryż, rozłożyła obrus, ustawiła nakrycia i szklanki, wyjęła z lodówki piwo dla niego i butelkę wody dla siebie, pokroiła chleb i podała jedzenie.

Usiedli do stołu. Sao udało się pokonać kryzys. Z trudem starała się zdusić go w sobie, zredukować do małej ciemnej plamki w głowie. Zaczęła opowiadać o tym, co działo się w piekarni, o doni Luisie, staruszce z narożnego domu, która przyszała bardzo zadowolona i przez długi czas przyglądała się sobie w szybie wystawy, ponieważ sąsiad z piątego piętra, ten ładny chłopiec, powiedział, spotkawszy ją na schodach, że ona każdego dnia wygląda młodziej, a on żałuje, iż ma już narzeczoną, bo gdyby nie, toby się za nią uganiał. Wspomniała o Elisie, prześlicznej dziewczynce mieszkającej przy najbliższej przecznicy, która ją spytała, czy to prawda, że będzie miała dziecko, i jak się robi dzieci i kim jest jej mąż.

Bigador ledwie odpowiadał. Włączył z powrotem telewizor i oglądając mecz piłki nożnej, kilka razy walnął pięścią w stół i wrzasnął. Sao skończyła kolację w milczeniu. Chciała, żeby mecz trwał długo, by mogła pójść sama do łóżka i zasnąć, zanim on się położy. Gdy tylko skończyła, wstała i pozbierała naczynia ze stołu. Przetarła ściereczką kuchnię, zlew i blat. Nareszcie mogła się położyć. Bigador wziął sobie następne piwo i znowu wyciągnął się na sofie. Oglądał mecz, ale widocznie niezbyt go zainteresował, bo się nie odzywał i był spokojny. Podeszła do niego, idąc do sypialni.

- Dobranoc - powiedziała.

- Już idziesz do łóżka?

- Tak, jestem nieżywa ze zmęczenia, dłużej nie dam rady.

- Nie wyjdziemy?

- Wyjdziemy?

- Jest piątek, są wakacje i mam dość siedzenia w domu.

Sao poczuła nagły ból w nerkach, tak jakby tam skumulował się jej strach, gotów rozprzestrzenić się po całym ciele. Starła się kontrolować. Wydawało jej się, że lepiej będzie, jak on tego nie dostrzeże.

- Przykro mi, kochanie. Jestem naprawdę wyczerpana i muszę jutro wcześniej wstać. Wyjdziemy jutro, przyrzekam.

Do tej chwili Bigador był spokojny, mówił cicho, łagodnie, jak drapieżnik czyhający na ofiarę, nie czyniąc hałasu. Teraz zaczął krzyczeć:

- Zniszczyłaś mi wakacje! Przez ciebie nie mogę jechać do Algarve! A teraz nie mogę wyjść na drinka! Dalej mnie niszczysz, ciekawe, do czego jeszcze jesteś zdolna!

Sao wyszeptała:

- Pójdź sam. Mnie to nie przeszkadza. Ja nie mogę.

- Nie przeszkadza ci? Nie przeszkadza ci?



Wtedy rzucił się na nią. Potężne uderzenie pięścią trafiło ją w kość policzkową raz, drugi, trzeci. Druga wielka dłoń przytrzymała jej ręce, którymi starała się bronić przed tą niespodziewaną agresją, przed brutalnością, z jaką działał w tej chwili, ponizając jej kobiecą dumę, depreczując miłość i ślepe zaufanie do życia, jakie budowała, schronienie, które starała się stworzyć dla siebie, dla niego i swojego dziecka przed wrogością świata i przeciwnościami losu. Nie bolało jej ciało, nie czuła ciosów, ale w miarę jak ją dosięgały, wiedziała, że jakaś ważna część jej samej ucieka w nicość, by nigdy więcej stamtąd nie powrócić.

Bigador dalej krzyczał:

- Czy dowiedziałaś się już, na czym ci zależy?! - Podniósł pięść w powietrze i trzymał ją tam groźnie, bardzo blisko jej twarzy. - Nadal będziesz mnie niszczyć?! Powiedz! Masz zamiar dalej mnie niszczyć?!

Sao poruszyła głową i wymamrotała:

- Nie.

Głos mężczyzny znowu stał się łagodny:

- Dobrze, tak to lubię.

Uwolnił ją. Potem skierował się do drzwi i wyszedł. Usiadła na sofie. Czuła się pusta, zdolna jedynie do obserwowania swojego ciała. Zależało jej tylko na tym, by sprawdzić, czy nie poczuje nagłego bólu brzucha, czy nie ma śladu krwi na jaśku. Jakiś samochód zaparkował na ulicy i zatrąbił klakson. Przez otwarte okna słychać było dźwięki kizomby. Sao słuchała jej, śpiewając po cichu: przyjdź do mnie, moja czarnulko, przyjdź do mnie; kiedy przyjdiesz, będę leżał na materacu z piasku, nakryty kołderką z gwiazd, przyjdź do mnie. Kość policzkowa zaczęła rwać, ból pulsował pod skórą. Dotknęła jej powoli palcami, wreszcie całą dłonią. Jej ręka była lodowata. Zimno na gorącej kości policzkowej sprawiło jej ulgę.

Musi zadzwonić do Liliany. Przyjaciółka przyjdzie do niej i zaprowadzi ją do szpitala. Tylko ona może ją stąd wydostać i zbudować kładkę, która zaprowadzi Sao z powrotem do normalnego świata, do ciepłego i wilgotnego lata, do radości dziecka w jej ciele, lodów czekoladowych, które tak lubiła jeść w południe w cieniu drzew dającym ulgę, do wszystkich planów, nadziei i cudownych chwil radości, z jakich powinno się składać życie ciężarnej kobiety. Z dala od czerwonej jaskini strachu, gróźb, smutku i duchoty.

Nie mogła jednak do niej zadzwonić. Liliana ją ostrzegała. Dostrzegła coś w Bigadorze, może ten grymas: usta wykrzywione w lewo, wargi ukazujące zęby i groźny błysk w głębi oczu. Mówiła jej, żeby mu nie wierzyła. I na różne sposoby powtarzała to wielokrotnie w ostatnich miesiącach.

Widziały się tylko kilka razy od czasu, gdy zaszła w ciążę. Sao nie mogła spotykać się z nią zbyt często, ponieważ Bigador jej nie lubił.

- Ta twoja przyjaciółka - zwykł mawiać. - O co jej chodzi? Bardzo mnie denerwuje tym gędzeniem feministki. Traktuje mnie fatalnie, jakbym był potworem.

Starła się go przekonać, że to nieprawda, choć wiedziała, że Liliana za nim nie przepada. Ale Bigador nalegał. Nie zgodził się pójść na dwie czy trzy kolacje, które Liliana organizowała u siebie, ani na to, by ją zaprosić do domu.

- Wolałbym, żebyś się z nią nie widywała - powiedział w końcu. - Jeszcze cię zarazi tymi swoimi ideami, a te idee są bardzo niedobre dla rodziny, dla matki z dzieckiem i mężatki, którą będziesz.

Sao nie chciała zrezygnować z kontaktów ze swoją przyjaciółką. Ta znajomość była dla niej bardzo ważna. Kiedy się spotykały, miała wrażenie, jakby między nimi istniała więź kojarząca się jej z dzieciństwem, jakby obie były dziewczynkami, które idą, trzymając się za ręce, po

wulkanicznej ziemi Wysp Zielonego Przylądka i zwierają się sobie ze swoich małych marzeń. Zdecydowała, że nadal będzie się z nią widywać, ale nie powiedziała o tym Bigadorowi. Ten układ jednak źle funkcjonował. Mogły się spotykać dwa dni w tygodniu w porze lunchu, ale Sao się denerwowała, czuła, jakby robiła coś złego, i ciągle jej się wydawało, że on w każdej chwili może wejść do kawiarni. Dlatego zaczęła się wykręcać. Jednego dnia musiała pójść do lekarza, drugiego spotkać z kuzynką swojej matki albo pomóc klientce starszycie sprzątnąć mieszkanie. Liliana doskonale rozumiała, co się dzieje, i nie prosiła o wyjaśnienia. Dzwoniła do niej do piekarni dwa albo trzy razy w tygodniu i na ogół pytała o to samo:

- Jak się miewasz?
- Bardzo dobrze, z każdym dniem jestem trochę grubsza.
- Wszystko w porządku? - Owo „wszystko” wydawało się zawierać całe uniwersum.
- Tak, tak, doskonale. Nie ma problemu.
- Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, jeśli będziesz tego potrzebowała. Cokolwiek by to było. W dzień i w nocy.

Sao odczuwała wielki smutek, słysząc te słowa, jakby ostrzegały ją przed czymś nieuchwytnym i niebezpiecznym, czego za nic w świecie nie chciałyby doświadczyć. Ale jednocześnie ją uspokajały: była pewna, że Liliana będzie przy niej, gdyby owa niewyobrażalna sytuacja się zdarzyła. Później rozmawiały o zwykłych sprawach, ostatniej sesji fotograficznej Liliany, książce, którą niedawno przeczytała, sweterkach, jakie obie cierpliwie dziergały dla dzidziusia - Sao powoli, spokojnie, siedząc na swoim krześle w piekarni i czekając na klientów, a jej przyjaciółka nocami, w pośpiechu, często prując zrobione już rzędy, w których popełniła jakiś błąd.

Nie mogła do niej zadzwonić. Okłamała ją. Powiedziała jej, że kocha Bigadora, ponieważ jest słodki i czuły jak dziecko, stały i spokojny, jak o wiele starszy mężczyzna. A teraz już nie wiedziała, czy go kocha. Była pewna tylko jednego: chciała, żeby zniknął jak burzowe chmury smagane wiatrem; żeby musiał wrócić do Angoli z jakiegoś pilnego powodu i już nigdy nie wrócił; żeby go pochłonęła ziemia.

Nie wiedziała już, dlaczego tak bardzo go pokochała. Może ją oszukał i sprawił, że uwierzyła, iż naprawdę jest taki, jakim go postrzegała. A może pomyliła jego ciało z duszą i uznała niezwykłą urodę jego uniesionego penisa za wystarczający dowód jego dobroci. Może po prostu potrzebowała kogoś pokochać i żyć w przekonaniu, że jest kochana. Zawsze intuicyjnie przeczuwała, że miłość może być czymś chaotycznym i niebezpiecznym, strategią najbardziej szyderczej strony życia, które popchnie ją w ślepy zaułek i zmusi, żeby tuliła się do ściany i zamieniła w doskonały cel, w który będzie można wbijać zatrute strzały i ostrza dzid. Powinna była z większą uwagą wsłuchać się w ten głos, mówiący do niej w głębi jej umysłu.

Nie mogła zadzwonić. Czowała wstyd, straszliwy wstyd, że pozwoliła, by ten mężczyzna poważił się na tak wiele, że go kochała w tak szalony i ufny sposób, iż zaszła z nim w ciążę, i że teraz chciała, marzyła o tym, by zaraz wrócił, rzucił się jej do stóp i błagał o przebaczenie, by znowu był dobrym Bigadorem, takim jak na początku, jej prawdziwą miłością.

Uświadomiła sobie, że jest sama. Ta samotność była jak kupka popiołów, które zasypywały oczy i zmuszały do płaczu. Poszła do łazienki i popatrzyła w lustro. Całą lewą część twarzy miała czerwoną i spuchniętą. Wówczas poczuła, jak bardzo ją boli, jakby ktoś przeciął ją nożem na pół, i zaczęła wymiotować.

## Sao i ja

Kiedy Sao przyjechała do Madrytu, Andre miał niewiele ponad rok. Był ślicznym dzieckiem, z wielkimi ciemnymi oczami i ogromną czupryną kręconych włosów. Przede wszystkim jednak był wesoły jak szczeniak, ciągle biegał, bez przerwy mówił i poruszał ciałkiem, gdy tylko usłyszał muzykę. Wraz z jego pojawieniem się na świecie znikły wszelkie smutki Sao. Już w dniu narodzin, gdy po raz pierwszy leżał na jej piersi, otwierając i zamykając buzię, i przyglądał się jej spokojnym i pełnym wdzięczności wzrokiem, poczuła, że krew zaczyna płynąć lżej w jej żyłach, a ciało znowu stało się lekkie, mimo trudów porodu, i nabrała ochoty, by biec z tą maleńką istotą w ramionach, przemierzać rzeki i jeziora, łąki i lasy, dotrzeć aż na szczyt najwyższej góry na świecie i podziękować wszystkim bogom za to, że złożyli w jej ręce życie tej istoty, którą pokochała głęboko i radośnie z siłą i pogodą emanującą z głębi jej duszy, ale także z całego świata: z chmur, które tego dnia zawisły nad Lizboną, z białych ścian izby porodowej i intensywnych światła oświetlających tę matkę, związaną ze swym synem już na zawsze od pierwszej minuty jego życia.

Bigador nie był obecny przy porodzie. Zadzwoiła do niego na komórkę z piekarni, gdy rozpoczęły się bóle, ale właśnie tego dnia w pracy brakowało dwóch kolegów i nie mógł wyjść. Nie wydawał się ani zdenerwowany, ani zły, jakby odczuwał ulgę, że nie musi jej towarzyszyć. Ona również się ucieszyła, że on się nie pojawi: wołałaby, żeby była przy niej Liliana. Obawiała się, czy Bigador nie zmieni zdania, nie przyjdzie i nie pokłóci się z położną albo z lekarzem, co z kolei ją zdenerwuje. Poród bez wątpienia był ciężką chwilą, przez którą należało przejść, chciała jednak go przeżyć bez dodatkowego stresu. A jeśli nadarzała się choćby

chwila, którą mogła się cieszyć, to powinna ją wykorzystać. Była pewna, że nie będzie go jej brakowało.

Sao ledwie miała odwagę przyznać się przed samą sobą, że od nocy, w której została pobita przez Bigadora, jej miłość do niego rozpadła się na kawałki, na drobniutkie cząstki, zawierające nieco dawnego pożądania, resztki czułości i rozproszony żaloszny pył - tyle tylko pozostało z jej wielkiego pragnienia, żeby żyć razem z nim w ich własnym świecie, opartym na wzajemnej trosce i radosnym współdziałaniu. Nic nieznaczące elementy, z których nie można było zrekonstruować niczego wartego zachodu. Jeśli coś trzymało ją przy nim, to strach. Gdy rozpadła się jej miłość, strach cierpliwie utorował sobie swoją ścieżkę w jej umyśle, zaatakował neurony i zajął każdy milimetr mózgu, jak obce wojsko, które depcze, pustoszy i niszczy wszystko, co znajdzie na swojej drodze, a po zwycięstwie lokuje się na szczycie wzgórza jako niekwestionowany tyran.

Był to strach przed Bigadorem. Mężczyzna potrafił przebiegle ją osaczyć i zamienić w nędzne resztki jej samej. Inteligentnie dozował wszelkie środki mające ją zniszczyć: najpierw pogardliwe słowa, potem obelgi, krzyki i walenie pięścią w stół lub w ściany, w końcu ciosy wymierzone w jej ciało... Przede wszystkim jednak stosował przerażające groźby. Wiedział, że ona w każdej chwili może odejść, uciec spod jego dominacji, i nie miał zamiaru na to pozwolić. Często powtarzał, że gdyby przyszło jej do głowy go porzucić i zabrać syna, odszuka ją choćby na końcu świata i go jej odbierze. Może być pewna, że każdy sąd na świecie przyzna mu rację: on jest ustabilizowanym człowiekiem, z niezłą pensją, zabezpieczoną przyszłością i własnym mieszkaniem. Od wielu lat mieszka w Portugalii i jest bliski otrzymania obywatelstwa. Ona natomiast jest nikim, idiotką mającą najniższą pensję, która nigdy niczego nie osiągnie. Sao mu

wierzyła. Uważała, że jest tak potężny i okrutny, iż może odebrać jej syna, i przerażała ją myśl, że Andre mógłby się stać kolejną ofiarą jego furii.

Nawet gdyby Bigador jej nie szukał i nie był zainteresowany Andre, jej życie byłoby bardzo trudne. To także ją przerażało: musiałaby sama opiekować się dzieckiem, bez pomocy rodziny i niemal bez pieniędzy. Wyobrażała sobie, jak zmuszona zebrze o miejsce dla syna w jednym z tych żeńskich klasztorów, które opiekują się dziećmi samotnych imigrantek. Musiałaby go tam zostawiać na czas od poniedziałku do soboty. Wynajęłaby znowu jakiś okropny pokój i codziennie chodziła do pracy, umierając z tęsknoty, myśląc cały czas o tym, że jej dzieckiem opiekują się ubrane w czarne habity zakonnice o zimnych rękach, które zostawiają go płaczącego w kołysce i nigdy nie będą go całowały ani mruzczały mu afrykańskich piosenek, żeby zasnął.

Oczywiście, zawsze mogła wrócić do Queimada i poprosić o pomoc Jovitę. Wtedy jednak zastygłaby w apatii, żyłaby obezwładniona promieniami słońca wśród gołych skał jak jaszczurka, jak ptak pozbawiony piór, który po długim, locie spada na ziemię, nie zdolawszy dotrzeć do miejsca przeznaczenia. A jej syn musiałby cierpieć wszelkie czekające ich tam niedostatki i nie mógłby się uczyć. Byłby kolejnym człowiekiem skazanym na ignorancję, kolejnym nieszczęśnikiem wśród biednych tego świata, żyjącym w nędzy.

Często rozmyślała nad tym wszystkim i nie znajdowała żadnego rozwiązania. Czuła się jak zamknięta we wnętrzu czerwonej jaskini, w której szalała wściekła burza, sama, skulona w kącie, umierająca z zimna i przerażona. Nie było stamtąd wyjścia. Tylko Bigador miał do niej dostęp i korzystał z tego, ilekroć miał na to ochotę. To on był właścicielem i panem tej przestrzeni i narzucał swoją wolę biczem lub

pieszczotami. Był doświadczonym katem, który wie, jak dotkliwie stosować tortury, jak zbliżyć skórę do ognia lub wlewać wodę do płuc, nie powodując śmierci, i który potem udaje, że leczy rany, koi smutek i przywraca nadzieję.

Drżała na dźwięk kluczy, którymi otwierał drzwi. Jej ciało tężało w napięciu, wstrząsał nią dreszcz jak gazelą, którą właśnie ma zaatakować lew. Mogło być tak, że Bigador wejdzie uśmiechnięty, dobrotliwy i zakochany. Równie prawdopodobne było jednak to, że pojawi się ten drugi, despota, który wydawał się jej nie znosić, okazujący wściekłość bez powodu i doprowadzający ją do szaleństwa. Czasem pojawiał się z prezentami, bukietem kwiatów, kubelkiem lodów czy płytą. Starał się pozyskać jej względy jak paw rozpościerający swój ogon. Mówił, że ją kocha, unosił ją w powietrzu, dotykał językiem brzegów warg, włączał muzykę i kołysał przed nią swoim wspaniałym ciałem, świadomy, że wzbudzi w niej pożądanie i że ona mu się odda, posłuszna i spragniona. A Sao udawała, że tak właśnie jest. Pozwalała się dotykać i całować, i wchodzić w siebie. Robiła to jednak tylko po to, żeby go nie rozżłościć. Czuła do niego odrazę, starała się opanować mdłości, walczyła rozpaczliwie ze wstrętem, jaki wzbudzały w niej jego ręce, usta, członek szukający rozkoszy na jej ciele i w niej.

Zupełnie utraciła zdolność bronienia się przed jego gniewem. Kiedy trzaskał drzwiami, zionął alkoholem i zaczynał krzyczeć z byle powodu: bo kolacja nie była gotowa, bo zapomniała mu kupić piankę do golenia, bo był w banku i na koncie zostało niewiele pieniędzy, bo jego zdaniem była zbyt poważna albo chciał zasnąć, a ona hałasowała w kuchni, Sao kulila się w sobie, wchodziła w najgłębszy zakątek samej siebie, kołysała się skulona jak płód, starając się schronić przed przemocą, która hulała po domu, niszcząc ją, pozostawiając sztywną i niemą, gotową wybuchnąć



niekończącym się płaczem, ze ściśniętym gardłem i sercem bijącym jak szalone, niczym maszyna, która zaraz eksploduje.

Potem, gdy wreszcie zasnął albo skoncentrował się na oglądaniu telewizji, cichły jego krzyki i znowu słysząc było głosy dzieci za ścianą, kroki na górze i muzykę puszczaną na cały głos, gdy życie powracało do zwykłego biegu, z drobnymi uciążliwymi hałasami przerywanymi momentami ciszy w uspokajająco rozpoznawalnym rytmie - brzękiem talerzy, wirowaniem bębnow pralek, szuraniem nóg krzesel po podłodze, stukaniem upadających sztućców, szumem wody płynącej z pryszniców, odgłosami dziecięcych samochodzików przesuwanych po linoleum - czuła się głupia i tchórzliwa. Dlaczego nie miała dość siły, by stawić mu czoło? Dlaczego mu nie odpowiadała, nie krzyczała na niego i nie atakowała własną wściekłością? Dlaczego nie potrafiła sprawić, żeby te okrutne usta zamilkły?

Czasami, gdy spał, zbliżała się do pokoju i obserwowała go. Zajmował całe łóżko, leżał z rozpostartymi nogami i rękoma, jakby ona nie istniała, jakby nie potrzebowała choćby odrobiny miejsca. Spał głęboko, zapominając o przerażeniu, jakie przed chwilą wzbudził, a może był z tego dumny. Sao patrzyła na wyciągniętego na łóżku mężczyznę, spokojnego, zrelaksowanego jak niewinne dziecko, i wiedziała, że nie niepokoi go żadne poczucie winy, nie czuje najmniejszej skruchy, którą jednak od czasu do czasu udawał, by wzbudzić w niej nadzieję, niezbędną do okazania okrucieństwa nazajutrz. Ona jednak patrzyła już bez współczucia na jego prośby o przebaczenie i obietnice, a nawet łzy, przepelniona jedynie głęboką pogardą i strachem.

Zaciskała mocno pięści, wbijając paznokcie w dłonie, i obiecywała sobie, że już nigdy więcej nie pozwoli mu na siebie krzyczeć ani sobie rozkazywać, że nie będzie milczała, kiedy znowu zacznie ją obrażać i poniżać, wmawiając jej, że

jest do niczego, nic nie wie, że bez niego byłaby nikim w tym mieście zamieszkanym przez głupie, ciemne i żałosne imigrantki, takie jak ona. Nie zniesie, gdy on jeszcze raz jej powie, że jest za gruba i już taka zostanie na zawsze albo że nie podoba mu się jej twarz ściągnięta wysiłkiem, jak to stwierdził po tym, gdy się kochali. Nie podda się więcej jego požądaniu, oddając mu się z zamkniętymi oczami nie z powodu ekstazy, ale by nie patrzeć, jak się nad nią porusza, podniecony jak pies przy suce mającej cieczkę. Pogrzebie w resztkach, jakie z niej zostały, i uważnie pozbiera z nich dumę, godność i odwagę, uniesie je nad głowę i rzuci w niego, jak rzuca się kamieniem.

Mówiła sobie to wszystko, potem wracała do salonu i kładła się na sofie, rozpaczliwie czekając, aż nadejdzie sen. I już w tym momencie wiedziała, że nic z tego, o czym przed chwilą myślała, nie jest prawdą, bo gdy on otworzy pełne wściekłości usta, by ją poniżyć, zniknie jej siła i znowu zacznie się trząść, skuli się w sobie jak płatek mimozy, który się zwija, gdy tylko ktoś go dotknie, zamieni się w drzazgi, w błoto, w nic; i nie ma żadnej nadziei.

Kiedy urodził się Andre, Bigador posłał swojej matce wiadomość, by przyjechała i pomogła im przy dziecku. Dzięki temu Sao mogła spokojnie wrócić do pracy i nie musieli płacić niańce czy sąsiadce za opiekę nad synkiem. Dona Fernanda była dobrą kobietą. Skończyła już siedemdziesiąt lat, miała bardzo smutne spojrzenie i twarz pomarszczoną jak pień drzewa, ale zachowała zręczne ciało i silne ręce. Jej życie było ciężkie, nędza i głód, wieczna wojna, nieobecny mąż pracujący w kopalni, śmierć dzieci i rozstanie z tymi, które pewnego dnia odeszły, by zaciągnąć się do jednego ze zbuntowanych wojsk, i słuch o nich zaginął... Dopiero w ostatnich latach zyskała pewien spokój. Mieszkała teraz w domku kupionym przez Bigadora w jednej z dzielnic Luandy,

ze swoim synem, jego żoną i sporą gromadką wnuków, którymi opiekowała się z cierpliwością kogoś, kto wie, że jedyne, co zostało mu w życiu do zrobienia, to umrzeć. Czekala na tę chwilę przekonana, że to, co spotka ją na tamtym świecie, czymkolwiek by było, nie będzie gorsze od tego, co przeżyła.

Sao i dona Fernanda od razu się polubiły. Rozpoznały w sobie coś, co je zbratało, może prostoduszność, z jaką obie odnosiły się do świata, bolesne niepowodzenie ich dobroci, do której jednak były mocno przywiązane i nie miały zamiaru pozwolić, by ustąpiła miejsca goryczy i urazie. Połączył je również strach przed Bigadorem, wspólne poczucie poniżenia, gdy musiały się poddać jego nieubłaganym rozkazom, pragnienie, by jak najwcześniej wychodził z domu i wracał do niego jak najpóźniej, zostawiwszy je w spokoju, gdyż godziny bez niego były czasem zwyczajnego szczęścia, poświęconym łagodnym i uspokajającym potrzebom dziecka.

Obie sprzymierzyły się przeciw niemu, by w jakiś sposób zmniejszyć ciężar jego despotycznej władzy. Czasami Andre płakał w środku nocy, a Sao nie udawało się go uspokoić. Wówczas Bigador zaczynał krzyczeć:

- Zrób coś, żeby to dziecko natychmiast ucichło! Muszę rano wstać i potrzebuję się wyspać!

Dziecko, słysząc wrzaski, zaczynało płakać jeszcze bardziej. Dona Fernanda wstawiała z łóżka w małej sypialni dla gości i wchodziła do ich pokoju.

- Jak będziesz krzyczał, będzie coraz gorzej - mówiła do syna, a następnie podchodziła do Sao. - Daj mi go, ja się nim zajmę.

Wychodziła z dzieckiem, kołysząc je w swoich dużych, suchych i pomarszczonych rękach, emanujących jednak jakąś szczególną energią, dzięki której dziecko od razu się

uspokajało i spało jak aniołek. Zawsze tak było, ilekroć babcia brała je do swojego łóżka.

Kiedy Bigador miał pretensje do matki, bo nie smakował mu obiad albo nie kupiła mu piwa, jakie lubił, wówczas Sao starała się go uspokoić i ją ochronić. Razem czuły się silniejsze i często, kiedy go nie było, krytykowały go, a nawet się z niego naśmiewały.

- Zauważyłaś, jak on wygląda, kiedy na nas krzyczy? - pytała dona Fernanda. - Nadyma pierś, jakby miał zamiar iść na wojnę, i szybko potrząsa głową na boki. Podejrzewam, że przez to miesza mu się w środku rozum. I jeszcze macha rękami w powietrzu, jakby był sędzią...

Stała obok stołu, naśladowując władczy głos Bigadora i jego ruchy, które przez chwilę wydawały się absurdalne. Obie śmiały się do łez, łagodząc w ten sposób własny strach. Nadszedł jednak dzień, w którym przestały się śmiać. Andre skończył rok. Była sobota i Bigador uparł się, żeby poszli na tańce. Od tamtej nocy, kiedy ją uderzył, bo nie chciała mu towarzyszyć, nie wychodzili nigdzie razem. Sao i tym razem nie miała ochoty, ale dona Fernanda namawiała ją, żeby poszła:

- Dobrze ci zrobi, jak się trochę poruszasz - powiedziała jej. - Taniec to dobra rzecz. Kiedy tańczysz, dusza wychodzi z ciała, gdzieś wędruje i widzi nowe rzeczy. A gdy wraca, jest wypoczęta i szczęśliwsza. Idź i zabaw się.

Poszli do dyskoteki, do której niegdyś chodzili. Sao tańczyła przez wiele godzin. Dobrze się czuła. Może to prawda, że w tym czasie jej dusza spacerowała po świecie, ponieważ ona zapomniała o wszystkim, o braku miłości i rozczarowaniach, o niedostatku i zbyt krótkich nocach, nawet o Andre. Przez chwilę znowu była roześmianą dziewczyną, wesołą jak dawniej. Bigador najpierw z nią tańczył, ale po trzecim ginie z tonikiem usiadł w kącie, zły i posępny. Ona

została na parkiecie, poruszając się w rytmie semby, nie zwracając uwagi na to, co się działo wokół niej, skoncentrowana tylko na muzyce i ruchach swojego ciała. Nie przejmowała się ani swoim mężczyzną, ani jego przyjaciółmi, którzy od czasu do czasu podchodzili i przez parę minut tańczyli razem z nią.

Kiedy się pożegnali ze znajomymi i weszli do samochodu, Bigador nie powiedział ani słowa. Sao zauważyła jednak, że jest zły, bo prowadził jak szalowiec, jechał z piekielną prędkością, nie zatrzymywał się na czerwonych światłach, skręcał z piskiem opon, nie włączając kierunkowskazu. Wówczas jej dusza powoli wróciła do ciała, a wraz nią powrócił strach. Nie odważyła się nic powiedzieć. Wiedziała, że każde słowo, każda prośba, żeby jechał wolniej, wywoła wybuch złości. Przywarła do siedzenia najmocniej, jak mogła, powstrzymując chęć krzyku. Zaparkowali bardzo blisko domu. Prędko wysiadła i poszła w stronę drzwi, nie czekając na niego. Chciała wejść do mieszkania przed nim, poszukać ochrony u doni Fernandy. Ale nie dał jej na to czasu. W chwili gdy drżącą ręką starała się włożyć klucz do zamka, usłyszała jego szybkie kroki za plecami. Zaczął ją bić.

- Dzwonka! Gorzej niż dzwinka! Ośmielasz się podrywać przy mnie moich przyjaciół!

Walił ją pięściami w głowę, w twarz, w bok. Popchnął ją na podłogę i zaczął kopać, jednocześnie krzycząc. Nagle w drzwiach pojawiła się dona Fernanda. Usłyszała awanturę i teraz, dysząca i wściekła, rzuciła się na niego, starając się go powstrzymać.

- Zostaw ją! Zostaw ją natychmiast albo zadzwonię na policję! - krzyknęła.

Bigador zwrócił się w jej stronę i uniósł rękę w powietrze, gotów uderzyć nią staruszkę z całą siłą swojej złości. Dona Fernanda spojrzała mu w oczy z głębokim smutkiem, jakby

patrzyła na klęskę całego swojego życia. Powstrzymał rękę. Przypomniał sobie nagle scenę z dzieciństwa; miał wtedy sześć lub siedem lat. Wrócił do chaty z garścią suchych owoców, które właśnie ukradł na targu. Matka przycupnęła w słońcu przy drzwiach, z dzieckiem uwieszonym u jej na wpół pustej piersi i dwojgiem nieco starszych, obejmujących jej nogi i płaczących. Patrzyła na niego z tym samym smutkiem, z jakim spoglądała teraz, i powiedziała:

- Nie chcę, żebyś kradł. Idź i oddaj to właścicielowi.

Nie mógł jej uderzyć. Opuścił rękę. Poszedł do samochodu, wsiadł, szybko zapalił, odjechał na pełnym gazie i zniknął w ciemnej ulicy.

Wreszcie tej nocy, z obolałym ciałem i twarzą pokrytą jodyną, którą matka Bigadora przemyła jej rany, Sao zdołała mocno uchwycić się rzeczywistości, wypłoszyć lęki przed uderzeniami, odnaleźć w sobie dumę, której omal nie zabiły ciągle upokorzenia, wyjść na światło dzienne z zakamarka, w którym się ukryła, i znów odnaleźć w sobie siłę. Podjęła decyzję: gdy tylko dona Fernanda wróci do Luandy, ona opuści dom wraz z dzieckiem. Poprosi o pomoc Lilianę. Przyjaciółka będzie wiedziała, co robić. Pomoże jej załatwić paszport dla Andre i wówczas uciekną daleko, jak najdalej, tam gdzie Bigador nie będzie mógł ich nigdy odnaleźć. Może wrócą na Wyspy Zielonego Przylądka albo, jeszcze lepiej, pojedą do Włoch, do jej matki. Tym razem matka będzie musiała coś dla niej zrobić. Z ostatnich listów wynikało, że jej sprawy nie układają się tak źle. Może Sao będzie mogła u niej pomieszkać przez parę dni, a matka pomoże jej znaleźć pracę. Da sobie radę, była tego pewna. Będzie pracowała dniami i nocami, jadła tylko tyle, ile to niezbędne, nie będzie wydawać na siebie. Zachowa wszystko dla Andre, aby miał porządne życie i żeby się uczył. Może to zrobić. Może sama wychować swoje dziecko, bez mężczyzny, który ją poniża, bije i niszczy

jej duszę. Powinna to zrobić. Musi znowu poczuć, że świat jest miejscem smakowitym, miejscem, w którym ma ochotę pogrzebać, odważnie sięgając rękami aż do dna, i wyciągnąć stamtąd wszystko, co dobre i co złe, skarby godne zachowania i narośla, jakich się pozbędzie bez strachu - a nie przestrzenią pełną mroków, słabości i wiecznych lęków, w którą zamieniła go obecność Bigadora.

Usiadła i popatrzyła na Andre, który spał uśmiechnięty w swoim łóżeczku, jakby śnił o źródłach pełnych mleka, pięknych piosenkach i delikatnych pieścizotach. Przysięgła mu, że go stąd wydobędzie, będzie się nim opiekować z całych sił i postara się go wychować na dobrego, przyzwoitego i szlachetnego człowieka.

Dona Fernanda wyjechała kilka tygodni później. Bigador kupił jej bilet, nie konsultując z nią tej decyzji, i pewnego wieczoru położył go na talerzu przygotowanym do kolacji.

- Skończył się twój czas tutaj - powiedział do niej. - Już cię nie potrzebujemy. Twój samolot wylatuje w najbliższą niedzielę. Zawiozę cię na lotnisko i zawiadomię Nelsona, żeby po ciebie wyjechał.

Jej oczy napełniły się łzami, choć od dnia, w którym pobił Sao, była pewna, że ten moment nastąpi. Syn wrócił po dwóch dniach i nie odzywał się do nich obu ani słowem. Zachowywał się, jakby nikogo nie było w domu, nawet dziecka, na które wcale nie patrzył. Przychodził, brał prysznic, przebierał się w piżamę i sam nakładał sobie kolację. Jadł, siedząc na sofie i oglądając telewizję, ale talerze zostawiał na stole, żeby kobiety je pozbierały. Pierwszej nocy szybko położył się spać. Patrzyły ze zdziwieniem, jak wynosi kołyskę z pokoju i stawia ją w salonie. Potem zamknął drzwi od sypialni; usłyszały, jak ciągnie komodę i ustawia ją tak, żeby nikt nie mógł wejść. Spojrzały na siebie, ale nic nie powiedziały. Dona Fernanda kontynuowała zmywanie talerzy, a Sao podała Andre ostatnią

tego dnia butelkę ze smoczkiem. Kiedy skończyły, staruszka poszła do swojego pokoju po nocną koszulę i koc, które dała synowej, żeby ta mogła spać na sofie. Dziewczyna ją objęła i wiele razy ucałowała jej pomarszczoną, smutną twarz.

Następnego dnia po wyjeździe doni Fernandy Sao, wychodząc do pracy, zostawiła dziecko pod opieką sąsiadki. Umówiła się z Lilianą na obiad. Od kilku dni przygotowywała się do tej chwili. Wiedziała, jak trudno będzie opowiedzieć jej o wszystkim, co przeżyła, wydobyć to z pamięci, ze swoich trzewi, i opisać, sprawić, żeby relacja o tych wszystkich strasznych chwilach, wypowiedziana na głos, unosząca się ponad stołem w restauracji, zamieniła się w zawstydzające wyznanie o tym, czego nigdy nie powinna była przeżyć. Opowiadała powoli, z wahaniem, przerywając, dobierając słowa, jakich powinna użyć; czuła, jak wracają jej mdłości, których dostała poprzedniej nocy, kiedy Bigador, wróciwszy z lotniska, brutalnie zmusił ją, by poszła z nim do łóżka. Liliana słuchała w milczeniu, dodając jej odwagi spojrzeniem. Nie osądzała jej ani niczego nie zarzucała. Nie nazwała jej debilką ani idiotką, ani niewolnicą. Rozumiała jej cierpienie i zaoferowała potrzebną pomoc, jakby dawała jej kawałek światła.

- Powinnaś go oskarżyć - powiedziała do niej łagodnie. - Pójdę z tobą na komisariat.

Sao nosiła jeszcze ślady ostatnich uderzeń, jednak takie rozwiązanie ją przerażało:

- Nie, nie! Jeśli go oskarżę, zabije mnie. Może zrobić krzywdę dziecku. Nie kocha go, sędzę, że mały nic go nie obchodzi. Nie mogę go oskarżyć! Muszę od niego odejść. Wyjechać z Portugalii tam, gdzie nigdy mnie nie znajdzie. Pomóż mi, proszę!

Liliana wyciągnęła rękę i mocno ścisnęła dłoń przyjaciółki, tak mocno, że aż ją zabolęło.



- Zrobimy tak, jak uważasz, że będzie lepiej - powiedziała. - Bądź spokojna. Wyjdiesz z tego i nic się nie stanie ani tobie, ani Andre. Przysięgam ci.

Zaplanowały wszystko ze szczegółami. Sao nadal myślała o tym, żeby wyjechać do Włoch, ale Liliana przekonała ją, że lepiej będzie, jeśli pojedzie do Madrytu. Miała tam dobrą przyjaciółkę z Wysp Zielonego Przylądka. Była pewna, że tamta przyjmie ją do siebie na parę dni, dopóki Sao nie znajdzie pracy. Poza tym podróż z Lizbony do Madrytu z dzieckiem niemającym paszportu była łatwiejsza; jedynym problemem w tej ucieczce był bowiem paszport Andre, którego nie można było zdobyć bez zgody ojca. Na szczęście na autostradzie do Hiszpanii nie sprawdzano na granicy dokumentów zbyt dokładnie. Zatrzymywano na ogół autobusy, szukając nielegalnych emigrantów, ale samochodów osobowych nie kontrolowano. Dlatego powinni pojechać samochodem. Liliana poprosi swoją koleżankę ze stowarzyszenia feministek, białą Portugalkę, żeby im towarzyszyła, dzięki czemu przejadą, nie zwracając na siebie uwagi. W sześć godzin dotrą do Madrytu. Sao znajdzie się z dala od zagrożenia, tam, gdzie będzie mogła rozpocząć nowe życie.

Przed południem Liliana zadzwoniła do niej do pracy. Wszystko już zorganizowała. Rozmawiała z Zenaidą, przyjaciółką mieszkającą w Hiszpanii, żeby ją przenocowała, dopóki Sao się nie urządzi. Zadzwoniła także do Rosaury, która zgodziła się z nimi pojechać i prowadzić samochód przy przekraczaniu granicy. Sao omal się nie rozpląkała. Nie zrobiła tego jednak; przysięgła sobie, że nie uroni ani jednej łzy, dopóki nie rozwiąże swoich problemów. I tym razem nie zamierzała siebie zawieść.

W ciągu następnych dni ani przez chwilę się nie załamała. Cały czas myślała o tym, żeby jej nie zatrzymali na granicy, o

trudnościach, jakie może napotkać w Madrycie, o kłopotach związanych z samotnym wychowywaniem dziecka, o biedzie, która zapewne będzie jej doskwierać przez długi czas. Pozwoliła sobie tylko na krótką chwilę słabości, kiedy żegnała Bigadora w piątkową noc. On już spał. Podeszła do łóżka i obserwowała go przez dłuższą chwilę. Przypomniała sobie początek ich znajomości w Portimao i potem w Lizbonie, kiedy wydawało jej się, że świat stał się piękniejszy przez to, że jest on, kiedy jej ciało tężało w napięciu, gdy jej dotykał i szeptał na ucho słowa wzbudzające w niej nieskończone pożądanie. Przypomniała sobie, jak lubiła dbać o niego i czuć jego troskę i jak wyobrażała sobie, że się razem zestarzeją, niczym dwa posadzone bardzo blisko siebie drzewa, które rosną splecione gałęziami. Pomyślała o wszystkich smutkach wywołanych jego brutalnością, ale także o tym, że nie pozwoli na to, by ten smutek przetrwał, gdy zdoła się od niego uwolnić. Życzyła Bigadorowi wszystkiego dobrego, długiego, spokojnego życia i żeby Bóg roztrzaskał jego złość i zamienił ją w pył. Potem poszła spać na sofę razem z dzieckiem, które spokojnie oddychało.

Madryt jawił się w oczach Sao niczym jedna z tych map, jakie bardzo lubiła oglądać w dzieciństwie: miejsce ogromne, a jednocześnie mogące zmieścić się na jej dłoni, pełne cudów, oświetlone promieniami słońca, które nie było dalekie ani milczące jak gdzie indziej na świecie, tylko rysowało na niebie dla niej i dla Andre wielkie i szczęśliwe słowa: cisza i spokój. Jej strach się rozplątał. Rozpraszał się w powietrzu w miarę, jak oddalały się od Lizbony i zagłębiały samochodem w wielkie równiny Mesety, z rozległymi polami i dalekim fioletowym horyzontem, gdzie każda niezwykła rzecz mogła się wydarzyć. Nagle poczuła, że jej ciało zaczyna się prostować i ledwie mieści się na siedzeniu. Uświadomiła sobie, że przez długi czas chodziła przygarbiona, pochylała się

bezwiednie, a jedyne, na co patrzyła od miesięcy, to ziemia z wszystkimi jej odrażającymi nieczystościami. Teraz chciała znowu patrzeć w niebo, na chmury i korony drzew, fasady domów z krzewami geranium, wysokie kopuły kościołów i w oczy ludzi. Miała ochotę wstać i pójść mocnym krokiem, kołysząc biodrami w swoim rytmie, o którym już zapomniała, i nosić głowę bardzo wysoko, stawiając czoło wszystkiemu, co mogłoby przydarzyć się jej lub dziecku.

Po przekroczeniu granicy, na której nikt ich nie sprawdzał, poprosiła Rosaurę, żeby zatrzymała się na pierwszym parkingu. Wyszła z samochodu i zaczęła powoli klaskać, a potem coraz szybciej uderzać rękami o uda, śpiewając jednocześnie starą tabancę ze swojego dzieciństwa: jesteś księżniczką i nosisz koronę z kwiatów, jaszczurki zatrzymują się na twojej drodze, a ptaki chronią cię przed upałem, chodź, księżniczko, chodź, daj mi rękę i zatańcz ze mną, żebym mógł widzieć świat pełen barw, tak jak ty. Tańczyła, jakby zawładnął nią jakiś duch, uderzała stopami o ziemię, wyrzuciła ramiona w powietrze, gwałtownie poruszała głową, piersiami i talią, czując, że każdy jej mięsień uwalnia się od dotychczasowego ciężaru, a jej dusza, tak jak mówiła dona Fernanda, leci wesoła, wolna od wszelakich pęt.

Zenaida przyjęła Sao tak, jakby była jej serdeczną przyjaciółką. Jej mąż pracował w Niemczech, a ona sama mieszkała z dwiema córkami w malutkim mieszkanku, które wydawało się rosnąć jak balon, ilekroć przyjeżdżał do niej ktoś z wizytą. Natychmiast wygospodarowała w swojej szafie kącik na rzeczy Andre i wyjęła skądś nadmuchiwany materac, który zamierzała rozłożyć na noc w salonie, po przesunięciu sofy i stołu. Nie zgodziła się na to, żeby Sao jej płaciła, nawet za jedzenie, dopóki nie znajdzie pracy. Uważała, że lepiej, by zachowała swoje niewielkie oszczędności na wszelki wypadek. Sama była przecież zamożna: pracowała jako

kucharka w jednej z restauracji i miała dobrą pensję. Także Amilcar nieźle zarabiał w swojej fabryce w Dusseldorfie i co miesiąc przysyłał jej sporą sumę pieniędzy. Rzadko się widywali i tęskniła za nim, ale to była jedyna smutna strona jej życia. Wszystko pozostałe układało się dobrze. Mąż był przyzwoitym człowiekiem, dzieci cieszyły się znakomitym zdrowiem i miały dobre stopnie w szkole, a Zenaida lubiła swoją pracę. Bawiło ją przygotowywanie krokietów, mięs gotowanych i duszonych, schlebiało jej, że niemal zawsze talerze wracały do kuchni puste, a goście często przychodzili ponownie. Była przekonana, że należy korzystać z życia, a nie cierpieć, jak na ogół twierdzili księża. Od dziecka wiedziała, bo tak nauczyła ją matka, że trzeba się starać zachowywać w pamięci przyjemne chwile, które nam się przytrafiają, i z nich czerpać siłę, za to odrzucać rękami i nogami całą brzydotę, jaka stara się nas otoczyć i przygnieść do ziemi. Jeśli miała zmartwienie, potrafiła mu się przeciwstawić i wypłoszyć jak kukielkę, myśląc o dobrych chwilach, jakie już przeżyła i jakie jej jeszcze pozostały. A w zimowe noce, gdy tęsknota i pragnienie bycia z Amilcarem stawały się tak głębokie, że niemal pozbawiały ją tchu, zamykała oczy i wspominała każdą minutę ostatnich godzin, jakie z nim spędziła, aż w końcu czuła jego zapach i jego oddech i zasypiała, ukołyszana jego spazmami rozkoszy. Jeśli rzeczywiście istniała na ziemi jakaś istota, o której można by powiedzieć, że jest szczęśliwa, to była nią Zenaida.

To ona towarzyszyła Sao podczas naszej pierwszej rozmowy. Ktoś jej powiedział, że potrzebuję pomocy domowej trzy razy w tygodniu. Zadzwończyły do mnie i następnego dnia pojawiły się u mnie, piękne i połyskujące jak kwiaty. Obie nosiły skromne ubrania, które zasłaniały je niemal w całości, nie zdołały jednak ukryć rysujących się pod nimi krągłych ciał silnych kobiet, wspaniałych matek.

Roztaczały wokół siebie aurę piękna, która dodawała im majestatu, a jednocześnie sprawiała, że były pełne życia i radości. Śmiały się ich ciemne błyszczące oczy i wargi, ukazując białe zęby. Były kobietami mocno stojącymi na ziemi, które mogłyby się jedynie zachwiać, gdyby coś lub ktoś je popchnął, ale nigdy by nie upadły. Bardzo im zazdrościłam. Chciałam mieć ich siłę, urodę i radość. Czułam się wówczas maleńka i słaba jak nigdy do tej pory, jak suchy liść, który najłżejszy wiaterek może zerwać z gałęzi.

W tym czasie chorowałam. Przeklęte dziedzictwo mojej matki. Zdiagnozowano u mnie depresję i przebywałam na zwolnieniu. Moja choroba nie wynikała z depresji poporodowej, ale ze strasznego rozdarcia, spowodowanego porzuceniem. Nie miałam dzieci. Zawsze przerażała mnie myśl, że mogę stać się jak moja matka, zmuszona do bezsilnego wleczenia się przez życie i nabierania powietrza do płuc, by oddychać. Jeszcze jeden z moich wielu lęków. A w końcu, choć nie miałam dzieci, dostałam się do wnętrza cienia, prześladowana przez tego samego czarnego ptaka, który niestrudzenie kołował wokół mojej matki, postawiona w narożniku świata, gdzie nie dochodzi żadne światło. Pablo odszedł, a ja czułam się jak ta szmatka, którą, beznadziejnie zakochana, zbierałam po domu rozproszone okruchy jego dawnej obecności, nędzne resztki brudu, który kiedykolwiek przyniósł na butach z ulicy i zostawił w różnych kątach naszego mieszkania, niegdyś pełniącego rolę schronienia, a teraz otwartego na wszelkie wiatry.

Biedny Pablo. Jego miłość do mnie go unieszczęśliwiła. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego tylu ludzi ma tendencję do zakochiwania się w najmniej odpowiednich dla nich osobach. Coś kiepsko działa w chemii naszego mózgu, chemii, która sprawia, że spośród wszystkich osób wyróżniamy tę jedną, widzimy tylko ją i uważamy, że tylko ona jest nas godna, nie

wiedząc, że często ucieleśnia nasze najgorsze demony, jest prototypem tego wszystkiego, czego nie znosimy. Gdy się poznaliśmy, Pablo był jednym z najbardziej radosnych chłopców na wydziale. Lubił wychodzić wieczorami, palił marihuanę, chodził na tańce do barów i dyskotek. Studiował prawo z myślą o tym, żeby w przyszłości pracować w jakiejś instytucji międzynarodowej, podróżować po świecie, walcząc z niesprawiedliwością. Nie zamierzał nigdzie osiąść ani dorobić się majątku czy mieć więcej rzeczy niż te, które można przewieźć w walizce, przemieszczając się z jednego kraju do drugiego, między puszciami i pustyniami. Niczego się nie bał, nawet śmierci w jakimś odległym miejscu, w otoczeniu nieznanym sobie ludzi. Marzył, żeby pić ayahuascę z boliwijskimi szamanami, zatańczyć z przedstawicielami plemienia Kikuju w Kenii, sięść obok joginów u stóp Himalajów i kontemplować. Pragnął żyć na marginesie wszystkich konwenansów, kierując się własnym poczuciem dobra i zła.

Zakochał się we mnie, właśnie we mnie, kobiecie nudnej i wystraszonej, która postanowiła studiować prawo, żeby zdobyć stanowisko, mieć pracę, zarobić na życie i nigdy nie być zmuszoną niczego zmieniać; w kobiecie, która marzyła tylko o tym, żeby nigdy nie wsiadać do pociągu czy samolotu, nie oglądać nieznanym krajobrazów, pragnęła monotonnej, uporządkowanej egzystencji, z niezmiennym rozkładem godzin i meblami „na całe życie” we własnym mieszkaniu. Wszystko stabilne, pewne, obmurowane normalnością.

Pablo był miły, opiekuńczy i szlachetny. Myślę, że wybrał mnie właśnie z tego powodu. Potrafił zrozumieć, że potrzebowałam kogoś, kto każdej nocy przygotuje materac, na którym się położę, kto każdego ranka weźmie mnie za rękę i pokaże, że droga, jaką muszę przebyć za dnia, nie jest pełna przepaści i bestii czyhających za każdym rogiem. I dlatego,

zamiast wyjechać i wziąć udział w rozwiązywaniu problemu wojny domowej w Angoli czy konfliktu palestyńsko - izraelskiego, zdecydował się zostać i rozwiązać mój własny spór ze światem. Miłość do mnie sprawiła, że zrezygnował z marzeń. Tulił mnie, rozpieszczał jak źle wychowaną dziewczynkę, zgodził się na styl życia, jaki mu bezwiednie narzuciłam, przekonana, że będzie to najlepsze dla nas dwojga. Nie rozumiałam, że niszczę ważną część jego samego i że z upływem lat, kiedy namiętność, jaka nas połączyła, ostygnie i nadejdzie nieuchronny moment, w którym każdy zatrzymuje się na chwilę, żeby skonfrontować swoje dawne pragnienia z rzeczywistością, porównać dawne marzenia z osiągnięciami, spojrzeć na swoje fotografie z młodości i dostrzec w rysach twarzy mijający czas oraz ślady sukcesów i porażek, mężczyzna żyjący u mojego boku, który nadal, choć z trudem, wyciągał do mnie ręce i oferował swoje ramię, by pomóc mi unieść ciężar moich zmartwień, będzie człowiekiem sfrustrowanym i smutnym.

Żeby uczynić mnie szczęśliwą, Pablo stanął do konkursu na stanowisko sekretarza sądowego, podczas gdy ja przygotowywałam się do egzaminu na urzędnika administracji państwowej. Przystał na to, żebyśmy kupili mieszkanie z hipoteką. Zgodził się spędzać wakacje na najbliższym wybrzeżu, zamiast wyjeżdżać do dzikich miejsc. Wziął ze mną ślub. Zgodził się nie mieć dzieci. I czynił to wszystko tak, jakby go to nic nie kosztowało. Mówił, że najbardziej pragnie być ze mną. Byłam dla niego ważniejsza niż najbardziej zadziwiający pejzaż świata. Z całą pewnością nadal chciał położyć kres bombom i nędzy, ale gdyby mnie zostawił, stałby się nieszczęśliwym niezdolnym do działania, samotną zjawą, która krążyłaby po świecie, nie wiedząc, dlaczego zdecydowała się żyć beze mnie. Ja zaś przyjmowałam jego poświęcenie, jakby było to najlepsze dla nas dwojga,

zorganizowałam nam życie skromne, wygodne i doskonale stabilne, z dala od wstrząsów i niespodzianek, włożone w matrycę zwyczajności. Uznałam za oczywiste, że między nami nie ma miejsca na wątpliwości czy żale, że razem będziemy zdolni zbudować gmach solidny jak góra, pełen miłości i współdziałania, seksu, ale także wygod i pewności, wygodną wieżę zakochanych, wieczną i niezwyciężoną.

Wytrzymał ze mną prawie piętnaście lat. Zbyt wiele jak dla człowieka, który nigdy nie powinien był wejść w moją orbitę. Zbyt mało dla mnie, niezdolnej do wyobrażenia sobie jego jako osoby dalekiej i obcej. Widziałam, jak emanujące z niego światło gasło z roku na rok, jak jego twarz, wcześniej zmysłowa i pełna energii, stała się sucha i posępna jak maska. Obserwowałam, jak jego długie rozmowy o ludzkich nadziejach i postępie, niekończące się lektury książek z dziedziny historii i myśli politycznej zamieniały się w szybkie przeglądanie prasy i krótkie banalne pogawędki z przyjaciółmi przy stole. Dostrzegłam jego oddalenie, brak pożądania, wysiłek wkładany w to, by godzić się na wszystko, czego chciałam. Stawał się nudny, przedwcześnie postarzały, wiodący monotonne życie, pozbawione jakichkolwiek emocji, które mogłyby podać w wątpliwość jego absurdalne przekonanie o życiu wiecznym. Egoistycznie i tchórzliwie przypisywałam te zmiany upływowi czasu, starzeniu, które oddała nas od młodzieńczych pasji, i nieuniknionemu znużeniu, w końcu narzucającemu rutynę. Nigdy nie chciałam przyjąć do wiadomości, że od kiedy był ze mną, najważniejsza część jego duszy powoli się wypalała, i że teraz, kiedy właśnie miała zamienić się w popiół, opierała się zagładzie.

Wszystko rozpadło się w kwietniu. Już od trzech lat mieszkaliśmy w Madrycie. Było to jedyne moje ustępstwo na rzecz jego upodobań. Myślę też, że jedyne raz poprosił mnie, żebym z czegoś zrezygnowała. Stary przyjaciel zaproponował



mu stanowisko w Hiszpańskiej Komisji Pomocy Uchodźcom. Zawrócił na drogę porzuconą w przeszłości. Przypuszczam, że wyraził zgodę, zanim porozmawiał ze mną. Gdybym nie zgodziła się z nim wyjechać, prawdopodobnie by mnie porzucił i wiódł dalej własne życie. Coś wewnątrz mnie zapewne o tym wiedziało, bo przystałam na przeprowadzkę niemal bez dyskusji. Oznaczało to ogromny wysiłek - zmianę miasta, zmianę mieszkania i kolegów z pracy... Podczas gdy dla mnie nawet konieczność robienia zakupów w nowym supermarkecie czy innej aptece była trudna. Najbardziej martwiłam się jednak, że zostawiam swoją matkę. Kiedy powiedziałam jej o tym niepewnym głosem, nieżywa ze zmartwienia, ona wstała, nagle pełna życia, uśmiechnęła się, co rzadko u niej widziałam, i stanowczo zapewniła:

- Nie wiesz, jak się cieszę ze względu na was, kochanie. Pablo nareszcie będzie robił to, co lubi. Dla ciebie również będzie to ważne doświadczenie. Niewiele brakuje ci do czterdziestki i zmiana trybu życia sprawi, że poczujesz się młodszą.

- Ale ty...

- Ze mną wszystko będzie dobrze. Będę was odwiedzać od czasu do czasu. Wy również możecie przyjechać, kiedy tylko zechcecie. Miejsca jest dość.

Wskazała na duży dom, w którym mieszkała już sama, jakby miała tyle energii, żeby zamienić go w miejsce zamieszkanego przez tłum ludzi. Podziwiałam jej stanowczość i szlachetność. Z całą pewnością pomyliła się w stosunku do mnie, ponieważ zmiana nie okazała się dla mnie dobrym doświadczeniem. Przez długi czas, kiedy szukaliśmy mieszkania i przeprowadzaliśmy się, a przede wszystkim później, kiedy żyliśmy odizolowani w Madrycie, miałam wrażenie, że zaraz spadnę w przepaść. Pablo starał się mnie

zrozumieć i się mną opiekować, ale moja panika tylko nas od siebie oddaliła.

Zaczął często wychodzić wieczorami. Lubił spotykać się ze swoimi kolegami z pracy i z nowymi znajomymi, zaangażowanymi w projekty współpracy z innymi krajami. Ja wolałam zostawać w domu. W ciągu dnia musiałam bezustannie walczyć z niepewnością. Czasami stałam sparaliżowana u wejścia do metra albo w holu ministerstwa, przerażona tym, co na mnie czeka, jak wystraszone dziecko wśród ciemności. Jedyne, o czym marzyłam wieczorem, to żeby odpocząć, wyciągnąć się na sofie przed telewizorem włączonym na jakikolwiek kanał i rozkoszować się wrażeniem, że przez kilka godzin nie muszę nic robić. Wystarczało mi, że aby żyć, muszę jedynie oddychać, i to było przyjemne i pocieszające. Poza tym długie rozmowy o polityce międzynarodowej, prawie porównawczym czy konfliktach militarnych mnie nudziły. Myślałam również, że Pablo lepiej się bawi, kiedy wychodzi sam. Moja obecność zmuszała go do zwracania na mnie uwagi i szybko wstawał od stołu, gdy tylko zauważył, że kleją mi się oczy. To był jego świat i zdecydowałam się, że go w nim zostawię. Zamknęłam drzwi przed tym ogromem spraw, który mnie przerażał, i spędzałam czas w moim pokoiku z niewielkim oknem, z widokiem na swojski i łagodny pejzaż, który wkrótce zamienił się jednak w nicość. Siedziałam tam jak staruszka, której się wydaje, że zamiast ruchu ulicznego słyszy muzykę, widzi morze w miejsce chodników i kołysze kawałki materiału zamiast dzieci. Siedzi absurdalnie obojętna i uśmiechnięta, jak lalka niemająca mózgu.

Jak już wspomniałam, stało się to w kwietniu, niemal trzy lata później. Wciąż uparcie wierzyłam, że Pablo nadal jest ze mną i że pozostanie aż do końca. Sądziłam, że wraca każdej nocy do domu, całuje mnie, siada na sofie i pyta o codzienne

sprawy, a potem zasypia przytulony do mnie, a czasem kocha się ze mną z nieskończoną czułością. Ale on był już bardzo daleko, gubił się w dżungli, cierpiał na chorobę wysokościową w najcudowniejszych górach świata, chronił się przed krzyżowym ogniem karabinów, brał udział w napiętych konferencjach pokojowych. Ja tymczasem nadal opowiadałam mu o zwykłych banalnych sprawach, o jakich mówi osoba metodyczna.

- Musimy zadzwonić, żeby zarezerwować dom na pierwsze dwa tygodnie sierpnia. Umówiliśmy się, że potwierdzimy to w kwietniu - powiedziałam mu tamtej nocy.

Każdego lata spędzaliśmy dwa tygodnie wakacji w tym samym domu, w tej samej miejscowości, z tym samym towarzystwem i na tej samej plaży ocienionej platanami, gdzie co wieczór piliśmy piwo.

Pablo wstał i podszedł do okna. Mówił do mnie odwrócony plecami, a jego głos brzmiał pusto i obco, jakby z głębi tunelu:

- Ja nie pojedę.

Nie chodziło jednak o to, że nie pojedzie ze mną na plażę tego lata. Nigdy więcej nie pojedzie ze mną w żadne miejsce. Nigdy więcej mnie nie obejmie, nie pocałuje rano jeszcze na wprost śpiącej, nie podtrzyma, kiedy osłabnę. Porzucił mnie. Wyjeżdżał do Kolumbii, aby uczestniczyć w negocjacjach pokojowych z partyzantką, zatrudniony przez agencję ONZ. I już do mnie nie wróci. Nasz czas spędzony razem się skończył.

Starał się mi to wszystko wyjaśnić, przedstawić swoje racje, swój smutek, długo trwające wątpliwości i promienną pewność, którą wreszcie osiągnął. Szlochał. Wiedziałam jednak, że właśnie zaczyna czuć się wolny i szczęśliwy. Był jak człowiek poważnie zraniony, który szuka schronienia. Poplamiony krwią, z poszarpanym ciałem i wnętrznościami.

Mimo to szedł pełen nadziei na ocalenie. Ja natomiast pozostałam z tyłu, wyciągnięta na ziemi. Martwa.

## Furia i ogień

Sao zaczęła pracować w moim domu nazajutrz po naszym pierwszym spotkaniu. Czułam się tak źle, że nie miałam siły, by cokolwiek się zajmować. To w tym czasie tak naprawdę zrozumiałam moją matkę. Miałam wrażenie, że wszystko wokół mnie stężało. Każda minuta dnia ciążyła mi jednakowo, jakbym żyła pod skałą. Nie było we mnie niczego pozytywnego, czegoś, co mogłoby mi przynieść ulgę choćby na chwilę. Wszystko, co pulsowało w moim ciele i w moim umyśle, było gęste i ciemne. Tęsknota, smutek, żal, poczucie winy, odrzucenie mojej miłości przez Pabla, straszne uczucie, że już nigdy nie odzyskam zdrowia, nigdy nie wydobędę się z tej dziury, w której tkwiłam, dusząc się i litując nad sobą, przekonana, że przyszłość zawsze już będzie bolesna i smutna. Pragnęłam tylko umrzeć.

Nie powiedziałam nic matce. W tym czasie opiekowała się moją babcią. Musiała zabrać ją do siebie, kiedy rozpoznano u niej raka piersi, który powoli ją zabijał. Spędzałam czas w swoim mieszkaniu, będąc na zwolnieniu lekarskim, leżałam w łóżku, spałam lub płakałam, starając się odszukać coraz bardziej zanikający zapach ciała Pabla w prześcieradłach, których nie zmieniałam od tygodni, i znowu płakałam, kiedy wydawało mi się, że go odnalazłam. Czasem z wysiłkiem wlokłam się do kuchni po jabłko czy szklanekę mleka do popicia przepisanych mi tabletek antydepresyjnych i nasennych, które przynajmniej na parę godzin pozwalały mi odpocząć i zapomnieć o wszystkim.

Jedyną osobą, która wiedziała o tym, co się ze mną dzieje, była Rocio, koleżanka z pracy i moja najlepsza przyjaciółka w Madrycie. Zadzwoniła do mnie drugiego dnia mojej nieobecności w ministerstwie. Opowiedziałam jej, co się stało. Ulitowała się nade mną. Zaprowadziła do lekarza i dwa lub trzy razy w tygodniu wpadała do mnie - przynosiła zakupy i

zostawiała mi jakieś ugotowane jedzenie, które w końcu wyrzucałam do śmieci. To ona zdecydowała, że potrzebuję pomocy domowej, osoby, która posprzątałaby dom, otworzyła okna i opróżniła popielniczki, a także towarzyszyła mi podczas spaceru po dzielnicy, żebym mogła odetchnąć świeżym powietrzem. Sama zajęła się jej poszukaniem. Rocio była u mnie, kiedy przyszły Zenaida i Sao. To ona zadawała pytania, a Sao odpowiadała po portugalsku, wplatając nieliczne hiszpańskie słowa, jakich zdążyła się nauczyć. Potem moja przyjaciółka spojrzała na mnie, żeby sprawdzić, czy się zgadzam, i zaproponowała dziewczynie, żeby zaczęła od następnego dnia. Odprowadziłam je do drzwi, gdy wychodziły, i słyszałam, jak Rocio bardzo powoli, cichym głosem tłumaczy Sao, że jestem chora, ale wkrótce wyzdrowieję. Nie powinna mnie zatem nadmiernie męczyć, ale musi przygotować mi jedzenie i nalegać, bym je zjadła, a także zachęcać mnie, żebym się ubrała i wyszła na spacer.

Pojawienie się Sao w moim życiu było niezwykle, niczym promień słońca, który nagle wyjrzał spomiędzy chmur, rozświetlając morze i powodując, że tafla wody wybucha refleksami. Przez pierwsze dni prawie nie wychodziłam ze swojego pokoju. Słyszałam jednak, jak chodzi po mieszkaniu, zmywa naczynia, sprząta energicznie łazienkę, trzepie poduszki leżące na sofie, pilnuje garnka z gotującym się jedzeniem, które powoli znowu zaczęłam jeść. Lubiłam czuć, że ktoś jest w domu, radosna kobieta, że chodzi po mojej podłodze, dotyka mebli, odkręca krany i zapala światła. Ludzkie ciało pulsujące i pełne życia w przestrzeni mojej agonii.

Pewnego ranka wstałam, gdy przyszła. Lepiej się czułam i miałam ochotę trochę porozmawiać, dowiedzieć się czegoś o tej osobie, niezwiązanej ze mną ani z moim bólem. Zaparzyłam kawę i zaproponowałam, żebyśmy się jej razem

napiły. Usiadłyśmy przy stole w kuchni i rozmawiałyśmy dobrą chwilę. Opowiedziałam jej część mojej historii, a ona część swojej. Dowiedziałam się, że jest w Madrycie sama z synem, że przygarnęła ją Zenaida, która ciągle jeszcze gościła ją u siebie, póki Sao nie znajdzie innych zajęć i nie zacznie zarabiać tyle pieniędzy, żeby mogła zapłacić za mieszkanie albo przynajmniej pokój. Powiedziała, że o ojcu Andre nie ma żadnych wieści i że tak jest lepiej. Kiedy wyszła, zaczęłam o niej myśleć. Zastanawiałam się, jak da radę utrzymać siebie i dziecko. Skąd czerpała siły, by wyjechać do obcego kraju z maleńkim synkiem. Wyobraziłam sobie siebie na jej miejscu. Umarłabym, gdybym musiała stawić czoło podobnej sytuacji. Drżałabym, płakała i miała palpacje. Siedziałabym zamknięta w domu, ukryta pod kocami, przerażona. Ona jednak uśmiechała się i emanowała energią, jakby była doskonale przystosowana do każdej mogącej się wydarzyć sytuacji, jakby była jednym z tych mocnych i giętkich drzew, które stoją pięknie i wytrzymałe wśród wiatrów, śniegu, ulewnych deszczów czy suchego lata, jak w przepychu wilgotnego i łagodnego wiosennego poranka.

Od tego momentu zaczęłam ją podziwiać. Mój podziw rósł, w miarę jak pogłębiała się nasza przyjaźń. Każdego ranka siadałyśmy, żeby napić się kawy i pogawędzić. Potem zaczęłyśmy wychodzić na długie spacerunki po okolicy. Pewnego dnia poprosiłam ją, żeby przyprowadziła swoje dziecko, chciałam je poznać. Odtąd zawsze z nim przychodziła. Kiedy sprzątała, zabierałam je do parku i siedziałam tam jakiś czas, obserwując ze zdumieniem jego radość. Potem jedliśmy obiad, przez większość popołudnia my rozmawiałyśmy, a Andre spał na łóżku. W końcu opowiedziałyśmy sobie całe nasze życie. Nawet sekrety, których, przynajmniej ja, nigdy nikomu nie wyjawiałam. Sao wydawała się jednak wszystko pojmować, rozumiała każdą ludzką słabość z rzadką mądrością, którą być

może przejęła od kamieni i ptaków. Kiedy słuchałam, co przeżyła, jak raz za razem wychodziła z sytuacji, które mnie wydawały się nie do pokonania, i zawsze odzyskiwała ducha, nie pozwalając sobie na to, żeby przestać być osobą dobrą i pełną nadziei, doszłam do wniosku, że należała do rasy gigantów, świata kobiet potężnych jak wysokie szczyty, z którego czułam się, niestety, wykluczona.

Sao chyba zaraziła mnie swoją energią. Odkąd pojawiła się u mnie, każdego dnia czułam się ciut lepiej i po dwóch miesiącach mogłam wrócić do pracy. Wiem, że wiele osób uważało, iż to skutek tabletek, w co nie wątpię. Było jednak coś jeszcze, coś niezwykłego, jak wibracja unosząca się w powietrzu, którym obie oddychałyśmy i które ja wdychałam jeszcze po jej wyjściu, poszukując w nim resztek jej mocy. A może brałam przykład z jej męstwa i siły, nie wiem. Tak czy owak zaczęłam inaczej patrzeć na świat, zrozumiałam, że moje wielkie tragedie, sytuacje, które od dziecka wydawały mi się straszne i bolesne, z którymi czułam się złączona jak narkoman z narkotykami, były drobiazgami w porównaniu z problemami większości ludzi w znacznej części świata. Moje dramaty były w dużej mierze śmieszne w porównaniu z twardą walką innych o przetrwanie. A ponieważ zawsze żyłam wygodnie - spałam w bardzo miękkich łóżkach, codziennie jadłam to, na co miałam ochotę, i ubierałam się w to, co chciałam, otrzymałam tyle pieśczoł od mojej matki, babci, braci, Pabla i przyjaciół, mieszkałam w komfortowych i bezpiecznych domach, chroniących mnie przed zimmem i upałem, jeździłam samochodami wygodnymi jak gniazda, miałam mnóstwo niepotrzebnych rzeczy, oglądałam piękne, żyzne i łagodne krajobrazy, w końcu stałam się słaba i ślepa na potrzeby innych. Nagle wszystko zaczęło się we mnie zmieniać. Już nie byłam najbardziej nieszczęśliwą i najdotkliwiej cierpiącą istotą na ziemi. Stałam się zwykłym,



szarym człowiekiem, mającym więcej przywilejów niż większość ludzi. Nadal tęskniłam za Pablem i wiedziałam, że zapewne tak będzie do końca. Wreszcie zrozumiałam jednak, że powinnam nauczyć się żyć bez niego i czerpać radość z tego, że przez tyle lat cieszyłam się naszą miłością. Jego istnienie przestało być dla mnie dziurą, której nie potrafiłam zasypać, stało się błyskiem, który przeleciał przez moje życie jak nieoczekiwany dar od bogów. Dzień po dniu moja depresja rozwiewała się jak letnie chmury, które płyną w stronę horyzontu, zostawiając po drodze jaśniejący błękit.

Wielu ludzi nie wierzy w istnienie losu. Żyją przekonani, że wszystko, co osiągnęli, jest wynikiem ich zasług, a straty rezultatem błędów. Postrzegają życie jak nieprzerwaną linię rysowaną przez nich samych, doskonałą, klarowny pejzaż o nieskazitelnej perspektywie, z łąkami, rzeką płynącą zakolami do morza i drzewami poruszonymi wiatrem. Są tam miejsca zacienione, ale także te jasne, pełne światła, w których trawa jest słodka i aromatyczna. Może w tle wznosi się kuszące obietnicami miasto, z kopułami i strzelistymi wieżami, bez wątplenia również gdzieś na horyzoncie powstaje burza.

I wszystkie te elementy, narysowane krok po kroku, tworzą następujące po sobie obrazy, jak schemat z książki dla dzieci, na którym woda paruje, zamienia się w chmury, z chmur pada deszcz, deszcz magazynuje w ziemi wodę, a ta ponownie paruje. Wszystko logiczne, zrozumiałe, dające się zmierzyć.

Może mają rację. Ja jednak z całym przekonaniem twierdzę, że nasza egzystencja zależy w znacznym stopniu od losu. Nikt nie wybiera sobie miejsca urodzenia, przychodzi na świat w chacie wśród skał wulkanicznych i jałowej ziemi, jak Sao, albo w dużym wygodnym domu otoczonym kwiatami, jak ja. Jest mężczyzną lub kobietą. Ma nieznanego ojca i matkę, która go opuszcza, albo ojca tyrana i matkę stale

przynębioną. Nikt sam nie decyduje o tym, czy zostanie sierotą albo zachoruje. Będzie cierpiał głód lub wyrzucał niesmaczne jedzenie do śmietnika. Będzie tępy w nauce albo inteligentny i lotny. Nikt nie wie, wstając rano, co przyniesie mu dzień. Życie jest bezładne i chaotyczne, przerwane kreski, ciemne głębokie koło, błysk u góry, plama błękitu w rogu... Przypadki, przeszkody, kawałek prostej drogi kończący się przepaścią, oślepiające światło wyłaniające się z niczego, cicha pustka, przyjazna jama. Zależy od szczęścia.

Sao miała pecha. Bez względu na to, co robiła i ile słusznych decyzji podejmowała, jej sprawy zawsze się komplikowały. Ciągle musiała stawiać czoło niezawinionym problemom i zaczynać wszystko od nowa, iść od początku drogą, którą, jak sądziła, już przeszła, niczym Syzyf bezustannie wtaczający ciężki kamień pod górę. W Madrycie też nie było inaczej: mijały miesiące i Sao nie udało się znaleźć pracy, która pozwoliłaby jej godnie żyć. Nadal do mnie przychodziła, ale ja mogłam jej płacić tylko za parę godzin tygodniowo. Poza tym byłoby to obraźliwie charytatywne, gdybym zatrudniała ją na więcej godzin do sprzątania mojego małego mieszkania. Pytałam wszystkich znajomych, przypięłam ogłoszenie z jej numerem telefonu na tablicy ogłoszeń w ministerstwie. Rocio i Zenaida także robiły wszystko, co mogły, ale wydawało się, że nikt nigdzie nie potrzebuje służącej, kelnerki czy ekspedientki. W końcu, niemal po pół roku od przyjazdu do Madrytu, Sao znalazła pracę opiekunki u pewnej chorej staruszki. Cieszyła się jak dziecko, robiła plany na przyszłość: w tym czasie nadal mieszkała u Zenaidy, teraz jednak mogła nareszcie jej płacić. Za niewielką opłatą zostawiała dziecko u zaufanej sąsiadki, czekając na miejsce w państwowym żłobku. Oszczędzała tyle, ile mogła, ze swojej pensji siedmuset euro, żeby pewnego dnia wynająć jakieś mieszkanie, choćby maleńkie, gdzie

mogłaby przenieść się z Andre, z własnymi łózkami i szafą, w której zmieściliby swoje rzeczy, i pięknym wazonem z kwiatami na stole.

Po ośmiu miesiącach staruszka zmarła. Sao się zmartwiła. W miarę jak ją kapała, nosiła na rękach z jednego miejsca na drugie, zmieniała pieluchy i koszule nocne, czesała i odświeżała wodą kolońską, karmiła puree i pomagała popić lekarstwa łykami wody, słuchała jej jęków, kiedy chora miała bóle, ale też słów wdzięczności, gdy podopieczna czuła się nieco lepiej, nabrała do niej sympatii i odczuła jej śmierć jak odejście kogoś bardzo bliskiego. Poza tym znowu była bez pracy, bez żadnego dochodu na pokrycie niezbędnych wydatków. Wprawdzie miała trochę odłożonych pieniędzy, a Zenaida, gdyby zaszła taka potrzeba, nakarmiłaby i ją, i dziecko, ale nie mogłoby to trwać długo. Ponownie zaproponowałam jej, żeby u mnie sprzątała. Powiedziałam, że od kiedy nie przychodzi, wszystko zrobiło się brudne, jednak ona wiedziała, że kłamię, bo czasami zapraszałam ją i Andre na niedzielny obiad. Znowu uruchomiłyśmy krąg znajomych, telefonów i ogłoszeń. Bez rezultatu. Pech zamieszkał w drzwiach jej domu i czekał tam na nią każdego dnia, jak zgubna harpia, towarzysząc jej podczas rozmów w sprawie pracy, przemierzając z nią Madryt z jednego miejsca w drugie: w pociągu, w metrze, w autobusie, spokojnie stojąc obok niej z szyderczą miną, kiedy odpytywały ją kolejne panie, by w końcu stwierdzić, że poprzednia kandydatka potrafi lepiej gotować, lub gdy kierownicy supermarketów czy barów niesprawiedliwie orzekali, że jej hiszpański nie jest dostatecznie dobry.

To wówczas zdecydowała się wrócić do Lizbony. Bigador od dłuższego czasu ją o to prosił. Na początku, kiedy od niego uciekła, przez kilka dni miała wyłączoną komórkę. Liliana radziła jej, żeby pozbyła się swojego portugalskiego numeru,

wyrzuciła kartę Sim do śmieci i w ten sposób ucięła jakąkolwiek możliwość komunikacji. Sao jednak się na to nie zdecydowała. Nie mogła przestać myśleć o tym, że mimo wszystko ten człowiek jest ojcem jej dziecka. Gdyby całkowicie wymazała go z ich życia i przecięła wszelkie łączące ich więzy, Andre mógłby mieć do niej o to pretensje, gdy dorośnie. Pozbawianie go ojca wydawało jej się niesprawiedliwe. Może po ich odejściu Bigador zaczął za nimi tęsknić. Może ich nieobecność go oświeci, jak światło nieoczekiwane zapalone w nocy, i postanowi zaopiekować się dzieckiem.

Po tygodniu włączyła komórkę. Miała prawie sto nieodebranych połączeń i z tuzin nagrań na pocztę głosową, wszystkie przerażające i straszne: była dziwką i wężem, znajdzie ją, gdziekolwiek jest, i zabije, potnie na kawałeczki, żeby jej dusza nie mogła nigdy odpocząć, spali jej dom, od tej chwili całe swoje życie poświęci na to, żeby ją odnaleźć i wykończyć. Przerazona, wyłączyła telefon i przez kilka dni chodziła po ulicach, umierając ze strachu, zatrzymywała się przy drzwiach, żeby sprawdzić, czy na nią nie czeka, i tuliła do siebie Andre, przekonana, że Bigador w końcu się pojawi.

Dopiero dwa miesiące później znowu odsłuchiwała wiadomości od niego na poczcie głosowej. Jego ton stopniowo złagodniał. Przeszedł od krzyków do żądań, potem starał się ją przekonać, wreszcie zaczął błagać, wzruszony i płaczący:

- Kochanie, wróć, proszę cię, wróć... Nie mogę żyć bez ciebie, nie jem, nie śpię, wiem już, że źle postępowałem. Przebac mi, kochanie, przysięgam ci, że nigdy więcej nie podniosę na ciebie ręki, przebac mi, przysięgam, że już nigdy więcej... Wróć, potrzebuję cię, wróć, bardzo was kocham, ciebie i dziecko... Kocham was.

Poczuła żal. Nagle uświadomiła sobie, że nie czuje już gniewu w stosunku do niego. Nie żywi nawet urazy. Kiedy

patrzyła wstecz, nie widziała już bestii, tylko biednego, nieszczęśliwego faceta, ofiarę braku samokontroli. Przebaczyła mu. Teraz między nią a nim panował pokój. Nie zostało nic z dawnej namiętności, ani dobrego, ani złego, tylko pustka, w której czasami przebłyskiwały iskry litości. Byłoby miło, gdyby mogła do niego zadzwonić i spokojnie porozmawiać, zorganizować odwiedzin dziecka i liczyć na jego wsparcie. Pozwolić na to, żeby Andre miał ojca. Ale nie oddzwoniła. Nie wierzyła w ani jedno słowo jego łzawej przemowy. Usprawiedliwienia, fałszywe obietnice, słowa miłości, kłamliwy płacz... Kolejny raz. Nie uwierzy mu, dopóki spokojnie i poważnie z nim nie porozmawia, nie przedstawi konkretnych propozycji: pieniądze na utrzymanie dziecka, dni odwiedzin. Nie była pewna, czy do tego dojdzie. Wiedziała, że brakuje mu siły niezbędnej do uwolnienia się z plugastwa, jakie go oblepiło, przemocy, pogardy dla kobiet, potrzeby dominowania, aby udowodnić, że jest kimś. Musiała trzymać się z dala od niego i ponad wszystko mieć na względzie bezpieczeństwo Andre. Wysłała mu krótki, suchy SMS: „Czujemy się dobrze. Nie dzwoń do mnie więcej. Nie wrócę do ciebie nigdy. Życzę ci wszystkiego najlepszego”.

Przez niemal trzy miesiące nie dawał znaku życia, aż któregoś ranka znowu zostawił wiadomość na poczcie głosowej Sao. Tym razem mówił spokojnie:

- Cześć, to ja. Chciałbym, żebyśmy porozmawiali. Nie martw się, nie zamierzam cię przekonywać, żebyś wróciła. Jestem teraz z inną kobietą i jest mi dobrze. Ale musimy porozmawiać o dziecku. Chciałbym je zobaczyć i się nim zająć. Zadzwon, proszę.

Sao myślała nad tym przez kilka dni. Bała się, czy nie jest to pułapka, czy Bigador nie zamierza jej oszukać, ustalić, gdzie się ukryła, i po nią przyjechać lub ściągnąć do Lizbony pod pretekstem zobaczenia się z Andre i tam dokonać Bóg wie

jakich okropności. Ale było również dziecko, za które odpowiadała. Jej syn nie był winny temu, że ona zakochała się w niewłaściwej osobie. I miał prawo cieszyć się swoim ojcem, mężczyzną, który nosiłby go na ramionach, grał z nim w piłkę nożną, a kiedy będzie starszy, rozmawiał o sprawach, o których zwykle rozmawiają mężczyźni. Trwała w przekonaniu, że Bigador nigdy się nie zmieni, ale może nie miała racji. Może był brutalny w stosunku do niej z jakiegoś powodu, który miał coś wspólnego z nią samą. Może go denerwowała. Może potrzebował kobiety, która by go zdominowała, nie pozwoliła na najmniejszy przejaw braku szacunku i mocniej podnosiła głos niż on, a nie kogoś, kto dawał się zastraszyć i zachowywał się jak tchórz. Skąd może być pewna, że tak nie było? Istniała możliwość, że jego nowa narzeczona umiała traktować go w sposób, jakiego on oczekiwał, i zgasła w nim przemoc, nieogarniętą i obcą wściekłość skierowaną przeciw kobiecemu ciału. A w takim razie dlaczego nie miałyby być dobrym ojcem?

Nie odpowiedziała na jego wiadomość, ale zostawiła włączoną komórkę, żeby sprawdzić, czy będzie nalegał. Zadzwoił znowu pod koniec tygodnia. Sao odpowiadała mu niemal bezgłośnie, z bijącym sercem i pulsującymi skroniami. Głos Bigadora brzmiał za to spokojnie i pewnie, jakby on sam wdrapał się na piedestał, skąd dobrotliwie obserwuje świat. Wyjaśnił jej, że zakochał się w swojej rodaczce, dobrej kobiecie, dbającej o niego, która wytłumaczyła mu pewne sprawy, jakich nie rozumiał wcześniej. Przestał pić i nie dostaje już takich ataków szału, które go zaślepiały. Teraz był świadom tego, jak źle traktował Sao. Prosił ją szczerze o przebaczenie za wszelkie krzywdy, których od niego doznała, i żeby zastanowiła się nad jego propozycją, bo chociaż wcześniej tego nie okazywał, kocha Andre. Chciałby mieć swój udział w jego utrzymaniu. Może jej co miesiąc posyłać

dwieście euro na wydatki związane z synem. W zamian za to błagał ją, żeby pozwoliła mu od czasu do czasu zobaczyć się z dzieckiem, spędzić z nim wakacje, może weekend, jeśli nie byłaby zbyt daleko od Lizbony... Gdyby wydało jej się to właściwe, posłałby jej jakieś pieniądze, żeby mogli przyjechać oboje na parę dni i aby sama się przekonała, jak się zmienił. Sao niewiele mówiła. Nie wiedziała, co powinna mu odpowiedzieć. Nadal się obawiała, że to wszystko jest kłamstwem, a jednocześnie nie chciała okazać się niesprawiedliwa na wypadek, gdyby to jednak była prawda. Przyrzekła mu, że szybko podejmie decyzję i do niego zadzwoni.

Następnego ranka znowu zadzwoniła jej komórka. Wyświetlił się numer Bigadora i Sao odebrała przestraszona, że może tym razem zacznie na nią krzyczeć i grozić. Usłyszała jednak głos kobiety:

- Dzień dobry, czy to Sao?
- Tak, z kim rozmawiam?
- Jestem Lia, narzeczona Bigadora.

Nie czuła wrogości ani niechęci. Przeciwnie, nagle poczuła niezwykłą więź z tą kobietą, która dzieliła z nią stare zaślepienie, dawną miłość. W skrytości ducha bardzo pragnęła, żeby tamta nie musiała przechodzić przez to, co ona sama przeżyła, żeby jej związek był spokojny i racjonalny.

- Cześć, Lio, jak się miewasz?
- Przepraszam, że ci przeszkadzam. Jeśli nie zechcesz ze mną rozmawiać, zrozumiem, ale chciałabym, żebyśmy porozmawiały.
- Dobrze. Mów.
- Skorzystałam z tego, że Bigador wyszedł i zapomniał komórki, żeby do ciebie zadzwonić. Nie mów mu o tym.
- Dobrze.
- Wiem, co ci zrobił. Wszystko mi opowiedział.

- Jesteś pewna?

- Myślę, że tak. Mówił mi, że źle cię traktował, że cię poniżał i często na ciebie krzyczał, a w końcu zaczął bić. Teraz jest bardzo skruszony, musisz mi uwierzyć.

- Zapewniam cię, Sao. Jestem z nim dwa miesiące i nigdy nie podniósł na mnie głosu.

Sao przypomniała sobie, że przez pierwsze miesiące w stosunku do niej również był słodki jak baranek, ale nie odważyła się nic powiedzieć. Kobieta po drugiej stronie nalegała:

- Pozwól mu zobaczyć się z Andre. Daj mu szansę. Przestał pić. To przez to tak się złościł. Teraz jest inną osobą, musisz się z nim spotkać. Jestem przekonana, że będzie dobrym ojcem.

Wyobraziła sobie Bigadora obejmującego dziecko, ogromne ręce mężczyzny zakrywające jego malutkie plecy, chroniące go przed złem i bólem. Czasami synek o niego pytał. Wydawało się, że mgliście przypomina sobie, iż w jakimś momencie istniał w jego życiu mężczyzna, choć może tylko go sobie wyobrażał, widząc ojców innych dzieci. Ona na ogół mówiła mu, że tato jest w podróży i wkrótce wróci. Nie miała odwagi zanegować jego istnienia. Przełknęła ślinę:

- Dobrze. Przyjedziemy do Lizbony na weekend. Spotkamy się z nim, ale niczego nie obiecuję.

- Dziękuję, bardzo dziękuję. Bigador zawsze mi mówił, że jesteś bardzo dobra. Widzę, że to prawda.

Był to okres, w którym Sao opiekowała się staruszką, dlatego miała trochę pieniędzy. Postanowiła sama zapłacić za bilety, nie chciała mieć długu wdzięczności na wypadek, gdyby sprawy nie ułożyły się dobrze. Bigador poprzez konsulat wysłał poświadczony notarialnie upoważnienie, żeby mogła wyrobić paszport dla Andre. Potem poszukała taniego przewoźnika i w pewną piątkową noc polecili razem do



Portugalii. Nie zgodziła się na to, żeby Bigador wyjechał po nich na lotnisko, aby nie miał żadnej możliwości sprawdzenia, skąd przylecieli. Z ostrożności powiedziała mu nawet, że przylecą dopiero w sobotę rano, na wypadek gdyby pojawił się z własnej inicjatywy i na nich czekał. Spędzili noc u Liliany i jej narzeczonego, którzy byli okropnie przejęci i ciągle udzielali jej rad. Nie przespała ani godziny. O ósmej była już gotowa; wcześniej wzięła prysznic, uczesała się i umalowała kosmetykami Liliany: chciała ładnie wyglądać, żeby Bigador zobaczył, jaka jest szczęśliwa, odkąd go rzuciła. Założyła swoje najlepsze ubranie, a potem przygotowała Andre jak księcia: ubrała w nowe ubranko, uczesała i obficie skropiła wodą kolońską. Wsiedli do autobusu jadącego do centrum, w pobliżu kawiarni, w której umówili się na jedenastą. Była bardzo zdenerwowana, czuła, że drżą jej nogi, trzymała jednak syna mocno za rękę.

Kiedy przyjechali, Bigador i Lia byli już na miejscu. Wydał jej się mniej silny i niższy, niż go zapamiętała. Jego brutalność sprawiła, że wyolbrzymiła go w swej pamięci, zamieniając w coś na kształt olbrzyma. Był jednak tylko normalnym mężczyzną, dużym i silnym, ale zwyczajnym. Pocałował ją w policzki. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy nie poczuła jego zapachu. W dawnych czasach, w innym życiu, ten zapach wytrącał ją z równowagi i ekscytował. Wąchała go wówczas jak zwierzę i starała się nim nasycić. Potem, kiedy ich relacje się popsuły, wzbudzał w niej odrazę, wywołując nudności i intensywne pragnienie ucieczki. Teraz zamienił się w nic. Na szczęście przestał istnieć.

Mężczyzna spróbował objąć dziecko, które wyslizgnęło mu się z ramion, popłakując. Wówczas wyjął z torby ogromną paczkę i powoli zaczął przed nim otwierać. W środku był samochód elektryczny, bez wątplenia bardzo drogi, który olśnił Andre. Kiedy ojciec pokazał mu go ze wszystkich stron:

światła i kolorową kierownicę, wielkie siedzenie z dziecinnymi rysunkami, i spytał, czy chce go wypróbować na dworze, rozemocjonowane dziecko natychmiast wzięło go za rękę. Bigador wstał i spojrzał na Sao:

- Mogę?

Kiwnęła głową. Patrzyła, jak wychodzą razem, uśmiechnięci. Andre ciągnął go za rękę, a on szedł pokornie za chłopcem. Obserwowała ich przez szybę kawiarni, jak bawili się na placu. Zadowoleni, biegli we dwojkę za samochodem, gdy nagle dziecko potknęło się i upadło. Bigador podniósł je ostrożnie, delikatnie wyczyścił mu kolana i objął. Jego wielkie ręce zakryły plecy zapłakanego Andre, chroniąc go przed strachem i bólem. Wziął syna na ręce, usiadł z nim na ławce, posadził go sobie na kolanach i mówił coś do niego, aż w końcu mały znowu zaczął się śmiać. Lia obserwowała tę scenę, siedząc obok Sao w milczeniu. W końcu powiedziała:

- Wydaje się, że się rozumieją, nie sądzisz?

- Tak, rzeczywiście tak się wydaje.

- Zgodzisz się, abyśmy zabrali go dziś do siebie? Zwrócimy ci go rano, tam gdzie ustalisz, o godzinie, jaką wyznaczysz. Przyrzekam, że cały czas będę na niego uważała, jakby to był mój własny syn. Miałam syna, którego straciłam, i wiem, co się wtedy czuje. Przysięgam ci, że jeśli zobaczę coś dziwnego, zadzwonię do ciebie. Nic się jednak nie stanie, możesz być pewna.

Sao wiedziała, że może zaufać tej wielkiej i brzydkiej kobiecie o szeroko otwartych oczach, błyszczących jak oczy małej dziewczynki, której nikt jeszcze nie sprawił lania, nikt jej nie powiedział, że nie może się uczyć, bo nie ma na to pieniędzy, i która nadal wierzy w dobroć świata. I zgodziła się.

Zanim Sao zdecydowała się wrócić do Lizbony, Bigador i Lia od miesiący starali się ją przekonać, że to będzie najlepsze rozwiązanie dla niej i dla Andre. Powtarzali wiele razy, że dziecko, zwłaszcza chłopczyk, potrzebuje obecności ojca. Ona zaś nie będzie się czuła osamotniona, opiekując się nim. Do tej pory nigdy nie chorował. Czy pomyślała jednak o tym, co będzie, kiedy mały zacznie chodzić do przedszkola lub do szkoły i będzie łapał anginy albo przeziębienia, jak to się zdarza wszystkim dzieciom? Ona nie będzie wtedy mogła iść do pracy, zmuszona zostać w domu i się nim zająć. Za drugim czy trzecim razem straci zapewne posadę. A wakacje? Jak sobie poradzi podczas długich szkolnych wakacji? A w powszednie dni, kiedy pracuje do późna, czy ma zamiar zostawiać dziecko na wszystkie popołudnia z opiekunką i płacić jej za to? A weekendy, czyż nie ma prawa umówić się od czasu do czasu z przyjaciółkami?

W Lizbonie wszystko to było łatwe do zorganizowania. Na szczęście Lia pracowała na własny rachunek. Była właścicielką zakładu fryzjerskiego, w którym zatrudniała dwie pracownice, i mogła wyjść, ilekroć chciała. Jeśli Sao pracowałaby do późna, ona mogłaby zaopiekować się dzieckiem, kiedy wyjdzie ono z przedszkola czy ze szkoły, a także wtedy, gdy nie będzie miało lekcji w dzień powszedni. W weekendy podzielią się opieką, część ich Andre będzie spędzał ze swoim ojcem. W ten sposób Sao zyska czas na własne życie, na spotkania z przyjaciółkami, robienie zakupów, wyjście na tańce, pójście na salę gimnastyczną, albo po prostu sobie odpocznie, leżąc na sofie i oglądając telewizję.

Ona jednak nie zdecydowała się jeszcze na tę propozycję. Przyznawała, że tak byłoby lepiej dla wszystkich i że dziecko powinno dorastać w obecności kobiety i mężczyzny. Wspominała swoje dzieciństwo. Jako córka samotnej matki wiele razy pytała, kim jest jej ojciec, bardzo chciała go

poznać. Przez wiele lat, kiedy widziała mężczyznę, który wydał jej się dobroduszny, mówiła sobie, że to może on - może ten, który z szerokim uśmiechem odsłaniającym nieskazitelne zęby i małymi zmarszczkami w kącikach oczu wyładowywał ryby w porcie Carvoeiros, albo nauczyciel, zawsze przychodzący do szkoły w śnieżnobiałej, świeżo wyprasowanej koszuli, który obejmował dzieci, gdy przewróciły się na dziedzińcu i wybuchały płaczem. Czasami specjalnie upadała na ziemię i udawała, że zrobiła sobie krzywdę, tylko po to, żeby nauczyciel ją podniósł. Nie chciała, by jej syn tęsknił za tym, aby objął go jakiś mężczyzna. Było jednak coś, co wzbraniało jej podjąć decyzję. Jakby daleki głos w jej głowie starał się ją ostrzec, że jeśli wróci, ona i Andre znajdą się w niebezpieczeństwie. Ufała Lii. Była pewna, że ta kobieta nigdy jej nie okłamie i że zadba o jej dziecko jak o swoje własne, utracone w niemowlęctwie z powodu gorączki, która utopiła we łzach całą dzielnicę w Luandzie. Sao miała wrażenie, że za dobrymi słowami Bigadora o jego miłości do syna, chęci opiekowania się nim, pulsowało coś ciemnego i groźnego, coś, co mogło wybuchnąć w każdej chwili, niszcząc wszystko dookoła. Furia i ogień.

Po śmierci staruszki, którą Sao się opiekowała, gdy uścisk stale towarzyszącej jej harpii objął cały Madryt, zamykając przed nią na cztery spusty drzwi domów, sklepów i barów, a także warsztatów i fabryk, kiedy po dwóch miesiącach starań uznała, że w żaden sposób nie znajdzie pracy, i zaczęły jej się kończyć pieniądze, zrozumiała, że nie ma innego wyjścia, tylko powrót. Gdyby była sama, stawiałaby opór. Jadłaby suchy chleb albo głodowała, spałaby pod drzwiami albo w ciemnych dziurach metra, paliłaby świece i tańczyła nocą w parkach, wśród kasztanowców i magnolii, żeby wypłoszyć pecha. Czekalaby, żeby wzniósł się i zniknął pośród chmur,

rozpływając się, pokonany jak wyczerpany cień. Ale była teraz matką. Jej własne życie miało dla niej mniejsze znaczenie niż życie syna i musiała pogodzić się z rzeczywistością. Wydawało się, jakby wszystko nieuchronnie popychało ją w stronę Lizbony. Może ktoś, jakaś tajemnicza ukryta moc, zaplanował jej życie jeszcze przed urodzeniem. Może Bóg czy ktokolwiek inny, kto kierował nitkami kruchego przeznaczenia, się nią bawił. Tak czy inaczej było jasne, że musi wrócić do tego miasta wznoszącego się niczym muszla ponad rzeką, w pobliże Bigadora. Lepiej było zmusić do milczenia głos, który ją ostrzegał, zatkać sobie uszy i nie zwracać na niego uwagi; po prostu spokojnie spakować walizkę i zacząć wszystko od nowa.

Nie było sposobu na to, żebyśmy ja czy Zenaida przekonały ją, by została. Nie udało się to również Lilianie, która przez kilka dni dzwoniła do niej codziennie i starała się wytłumaczyć, że to nie jest najlepszy pomysł. Wszystkie obawiałyśmy się tego, co się może zdarzyć. Żadna z nas do końca nie uwierzyła w świeżo zrodzoną dobroć Bigadora. Ale Sao podjęła już decyzję i nie zamierzała się wycofać. W głębi duszy wszystkie ją rozumiałyśmy i gdybyśmy były na jej miejscu, pewnie postąpiłybyśmy tak samo. W końcu zaczęłyśmy ją wspierać i podnosić na duchu, starając się uwierzyć w to, że ten człowiek zmienił się naprawdę. Czy zły człowiek na pewno nie może się zmienić, odrzucić swego okrucieństwa jak wąż zrzucający skórę, którą pozostawia wyschniętą i zakurzoną? Czy wszyscy nie podlegamy zmiennej chemii naszego mózgu? Nie mamy okresów, w których jesteśmy bardziej nerwowi lub spokojniejsi, weselsi lub pesymistyczni? Czy ja sama nie przeżyłam właśnie przygnębienia, a jednak teraz byłam już pogodna? Może Bigador również pogodził się ze światem i swoimi uczuciami.

Tak, niewątpliwie to, co czekało na Sao i Andre w Lizbonie, okaże się dobre.

Zenaida z córkami i ja poszłyśmy na dworzec autobusowy, aby ich pożegnać. Staraliśmy się uśmiechać i ukryć smutek z powodu ich wyjazdu. Żartowałyśmy, przyrzekłyśmy, że gdy tylko będziemy mogły, odwiedzimy ich i chętnie ugościmy u siebie, jeśli będą chcieli przyjechać. Kiedy autobus ruszył, machałyśmy rękami, jakbyśmy uczestniczyły w fieście. Andre z entuzjazmem i radością, jaką odczuwają tylko dzieci, powiedział nam „do widzenia”, a Sao przylepiła czoło do szyby i widziałyśmy z daleka, jak po jej policzkach spływały wielkie łzy, ciche i ogromnie smutne.

Zadzwoiłam do niej następnego dnia. Powiedziała, że wszystko dobrze się układa. Lia znalazła dla nich pokój blisko mieszkania Bigadora i jej zakładu fryzjerskiego, spokojny i czysty, co jej wystarczało. Jeszcze tego samego popołudnia miała rozmawiać o pracy kelnerki w kawiarni w centrum handlowym Chiado. Andre wydawał się zafascynowany ojcem. Poprzedniego wieczoru, gdy tylko przyjechali z Madrytu, uparł się, że pójdzie spać do niego. Wrócił rano zadowolony i rozkoszny. A to najważniejsze.

Powoli nadchodziły od niej wieści, nawlekane jak ogniwa łańcucha, który zdawał się łagodnie zamykać: praca, pomoc Bigadora i Lii przy dziecku, ich wsparcie ekonomiczne, dobre relacje między nimi czworgiem, radość ze stwierdzenia, iż nie popełniła błędu, podejmując decyzję powrotu - przeciwnie, sprawy wyglądały o wiele lepiej, niż mogła się spodziewać. Pojawiła się także nowa miłość, Luis, Portugalczyk, którego poznała, podając mu herbatę w kawiarni, gdzie pracowała. Był nauczycielem matematyki w szkole średniej. Miły i tak nieśmiały, że to ona, gdy zauważyła, że od długiego czasu patrzy na nią z daleka ukradkiem, i gdy uświadomiła sobie, że podoba jej się jego jasna twarz i sposób, w jaki się uśmiecha,

marszcząc nos, i że tęskni za nim, kiedy nie pojawia się o zwykłej porze, zapytała go pewnego ranka cichym głosem, wycierając stolik, czy mogliby się spotkać któregoś dnia gdzieś indziej.

Początkowo dzwoniłam do niej co tydzień. Potem, jak to zwykle bywa, coraz rzadziej. W końcu nadszedł listopad 2006 roku, niemal półtora roku po wyjeździe Sao i Andre. Późno w nocy zadzwonił telefon. Szybko wstałam z łóżka, zmartwiona, że może coś się stało mojej babci albo matce. Była to Zenaida. Przed chwilą rozmawiała z Sao i zadzwoniła, żeby mi wszystko opowiedzieć. Furia i ogień wybuchły.

## Księżyc

Tak, wszystko stało się w listopadzie, w miesiącu smutnym i okrutnym jak hiena, w miesiącu zmarłych i w miesiącu smutnych zmierzchów, w którym połowa świata, pokonana, zmierza ku schyłkowi, opanowana drżeniem i niepewnością. Lia wyjechała do Angoli. Od pięciu lat nie była w kraju, dlatego postanowiła wziąć dwumiesięczny urlop i poczekać tam na Bigadora, który planował przyjechać na Boże Narodzenie. Właśnie wtedy, kiedy wsiadła do samolotu i zniknęła za horyzontem, wypuściła sforę psów.

Już w pierwszy weekend, który, według ustalonej kolejności, Bigador miał spędzić z synem, zadzwonił do Sao, żeby powiedzieć, iż nie może wziąć dziecka. Był niegrzeczny jak w czasach, gdy uważał się za jej pana, mówił tak, jakby strzelał z pistoletu, nie dopuszczając do żadnej dyskusji czy choćby zapytania o powód. Nawet nie starał się znaleźć wymówki. Nie tłumaczył, że musi pracować po godzinach, że przyjaciel ma urodziny i chcą to uczcić lub że czuje się zagrypiony. Po prostu uznał za oczywiste, że ona musi zaakceptować tę sytuację. A kiedy Sao usiłowała dojść do głosu i powiedzieć, że jeśli chce, może wziąć syna w następny weekend, wyłączył telefon. I tyle.

W niedzielę nieoczekiwanie przyszedł do niej do domu o dziesiątej wieczorem. Podczas powitania miała wrażenie, że Bigador ma przekrwione oczy i cuchnie alkoholem. Przeszli do pokoju. Andre już spał, ale on nawet na niego nie spojrział. Usiadł na brzegu łóżka i zaczął, jak dawniej, mówić zdenerwowanym głosem:

- Kim jest Luis?

Sao poprosiła go gestem o złagodzenie tonu, żeby nie zbudzić dziecka. Ale on nalegał:

- Kim on jest?

- Przyjacielem.



- Przyjacielem? To dlaczego Andre powiedział mi, że całuje cię jak ja Lię i że bierze cię za rękę? To dla ciebie jest przyjaciel?

Zauważyła, jak zaczyna mu płonąć krew. Miała ochotę zacząć krzyczeć, wyrzucić go z domu, spoliczkować, skopać i podeptać mu twarz. Nie czuła strachu, tylko ogromną wściekłość, falę złości, jak nigdy w całym swoim życiu. Musiała się jednak opanować ze względu na dziecko. Z całej siły wbiła paznokcie w dłonie i udało jej się spokojnie wstać:

- Nie uważam, żeby to był najlepszy moment na rozmowę na ten temat. Jeśli chcesz, zadzwoń do mnie jutro. Teraz idź.

Wstał wściekły, zmieszany, złapał ją za ramiona i zaczął potrząsać:

- Jesteś dziwką! Zawsze wiedziałem, że jesteś dziwką!

Andre się obudził i zaczął płakać. Bigador spojrział na niego i bardzo szybko wyszedł z pokoju. Słyszała, jak trzasnął drzwiami od ulicy, gdy obejmowała dziecko i starała się je przekonać, że to był tylko zły sen.

Następnego dnia pojawił się w jej kawiarni niedługo przed przerwą i zaprosił Sao na wspólny lunch. Spokojnie patrzyła, jak nadchodzi, wolna od wczorajszej złości, gotowa jednak bronić się ze wszelkich sił, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wydawał się nieco zawstydzony. Szli w milczeniu. Kiedy usiedli w pobliskiej piwiarni, przeprosił ją za to, co się stało:

- Napilem się i straciłem kontrolę nad sobą. Przepraszam.

- Dobrze, ale bardzo cię proszę, żebyś nie zrobił znowu awantury w obecności dziecka. Jeśli musisz ze mną porozmawiać, to zadzwoń, umówimy się.

- Muszę porozmawiać z tobą o dwóch ważnych sprawach.

- Mów.

- Spotykasz się z tym Luisem?

- Tak.

Miała wrażenie, jakby Bigador się skurczył i szykował do skoku:

- I jakie masz plany? - Plany?

- Planujesz wyjść za mąż? Zamieszkać z nim?

- Nie robiliśmy żadnych planów. Po prostu się spotykamy. Na razie to wszystko.

- Tak. Na razie.

- Tak. Nie wiem, co będzie w przyszłości. Tak czy inaczej nie uważam, żeby to była twoja sprawa.

Usta mu się wykrzywiły w bok i zaczął mówić podniesionym głosem:

- Nie? Nie jest moją sprawą, że mój syn będzie mieszkał z innym mężczyzną? Tak uważasz?

- Nie mam pojęcia, co będzie, Bigadorze. Zapewniam cię jednak, że jeśli któregoś dnia z nim zamieszkam, stanie się tak tylko wtedy, gdy będę bardzo pewna jego relacji z Andre. Nie zamierzam z powrotem wchodzić do piekła. I przypominam ci, że ty również żyjesz z Lią. A mnie nigdy nie wydawało się to czymś złym.

- Kobieta a mężczyzna to nie to samo! I dowiedz się, że jeśli przyjdzie ci do głowy zamieszkać w domu tego typu z Andre, spotkamy się w sądzie. Zabiorę ci go. Możesz być pewna, że ci go zabiorę.

Wstał, żeby wyjść. Zrobił jednak dwa kroki i wrócił.

- Zapomniałem. Druga rzecz, którą chcę ci powiedzieć, to że zamierzam zabrać Andre na święta Bożego Narodzenia do Angoli.

Sao wstrząsnął dreszcz. Pomyślała o malarii i dyzenterii, o grypie i gruźlicy, o wszystkich zagrożeniach, na jakie synek będzie narażony w tym dalekim kraju, pozbawiony matczynej opieki. Jej głos przez chwilę brzmiał błagalnie:

- Jest jeszcze bardzo mały... Nie ma nawet czterech lat. Poczekaj, aż skończy sześć czy siedem...

- Nie. Chcę go zabrać teraz.

Odzyskała siły. Wstała, stanęła na palcach, a jej oczy znalazły się na tej samej wysokości co oczy mężczyzny, i powiedziała z furją:

- Nie pozwolę ci na to. Nie dam ci paszportu.

- Zobaczymy.

Były to ostatnie jego słowa, jakie usłyszała przez wiele dni. Przez parę tygodni nie miała od niego żadnych wiadomości, do chwili, gdy w pewien czwartek w porze kolacji znowu pojawił się u niej w domu. Powiedział, że chciałby zabrać dziecko na noc do siebie. Nie widział go od dawna i się stęsknił. Sao postanowiła się nie zgodzić. Nie była całkiem pewna, czy nie kryje się za tym jakiś ciemny plan. Dziecko rzuciło się jednak ojcu w ramiona i z całej siły krzychało: tak! tak! Zaprowadziła synka do pokoju, by go ubrać, i otworzyła szufladę, gdzie trzymała jego dokumenty. Paszport Andre leżał tam, ukryty pod bielizną. Przez moment pomyślała, że może Bigador wszedł w jakiś sposób do domu i go zabrał. Ale wszystko wydawało się w porządku. Przed pożegnaniem przypomniawszy mu, że następnego dnia powinien zaprowadzić syna do przedszkola.

Tej nocy źle spała. Śniło jej się, że Andre biegnie przez ogromną łąkę, poruszając w powietrzu rękami, jakby fruwał. Słychać było tylko śmiech dziecka. Słońce ślizgało się łagodnie po ziemi i pieściło jego ciało, kiedy lekki i szczęśliwy szedł przed siebie wśród traw. Nagle poczuła, że zdarzy się coś strasznego, co go zniszczy. Zrozpaczona usiłowała pobiec za synkiem, żeby go zatrzymać, ale nie mogła ruszyć nogami. Otworzyła usta, żeby do niego zawołać, jednak nie mogła wydać z siebie głosu. Walczyła ze wszystkich sił. Nic. Nic. Katastrofa nadchodziła, a ona nie mogła nic zrobić.

Zbudziła się spocona, z sercem bijącym jak szalone, czuła, że się dusi. Na poduszce leżała lalka, z którą Andre codziennie zasypiał. Ścisnęła ją mocno, starając się poprzez jej fakturę i zapach odzyskać poczucie rzeczywistości - miała prawie czteroletniego, zdrowego syna, który o tej porze spał ze swoim ojcem. Ojciec bardzo go kochał i nie zrobi mu żadnej krzywdy... Znowu sprawdziła, czy paszport leży na swoim miejscu. Wszystko było w porządku. Wszystko będzie dobrze. Szarawe światło zamglonego listopadowego świtu zaczynało wpadać przez okno. Sao zamknęła oczy, głęboko odetchnęła i próbowała znowu zasnąć, ale już jej się nie udało.

Rano zadzwoniła do Bigadora, jednak jego komórka była wyłączona. Próbowała wiele razy, bez odpowiedzi. Poprosiła w pracy, żeby pozwolono jej wyjść nieco wcześniej, i poszła po dziecko do przedszkola. Dzieci bawiły się na dziedzińcu, liczni chłopcy i dziewczynki, czarni i biali, starsi i młodsi. Dzieci uśmiechnięte, brudne, wyczerpane, głodne, zdenerwowane, płaczące, krzyczące. Dzieci przytulające się do matek, które właśnie po nie przyszły i całowały je, jakby nie widziały swoich pociech od lat. Żadne z nich nie było jednak Andre. Sao weszła do budynku i skierowała się do sali swojego synka. Dona Teresa porządkowała porozrzucone wszędzie zabawki i książki. Była sama. Uśmiechnęła się na jej widok:

- Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

- Andre...

Kobieta popatrzyła na nią ze zdziwieniem:

- Ależ Andre dzisiaj nie przyszedł...

Reakcja Sao i jej zmieniona twarz skłoniły nauczycielkę do ponownego przejścia listy, na której każdego dnia odnotowywała nieobecności:

- O tutaj, widzi pani? Nie przyszedł... Sama go pani przyprowadziła?

Sao zaprzeczyła ruchem głowy. Wyjęła komórkę z kieszeni i znowu wybrała numer Bigadora. Nadal miał wyłączony telefon. Wówczas wybrała numer Lii. Jej komórka również nie odpowiadała. Poczowała, że musi usiąść. Dona Teresa natarczywie pytała, co się stało, ale ona nie mogła mówić. W końcu nauczycielka postanowiła przynieść jej szklankę wody i zawiadomić dyrektorkę. Obu kobietom udało się wydobyć z Sao wyjaśnienia. Spytały, czy ma rodzinę w Lizbonie, kogoś, kogo można by powiadomić. Przypomniała sobie o Lilianie. Dyrektorka osobiście do niej zadzwoniła i opowiedziała, co zaszło. W niecałą godzinę Liliana była już na miejscu. Sprawiała wrażenie spokojnej, silnej, gotowej znaleźć dziecko, gdziekolwiek było. Objęła Sao i starała się podnieść ją na duchu:

- Chodźmy, chodźmy, to na pewno jakieś nieporozumienie. Pójdziemy teraz do domu Bigadora, dobrze?

Poszły w kierunku jego domu. Liliana podtrzymywała przyjaciółkę, która sprawiała wrażenie lunatyczki, jakby zostało z niej tylko ciało, a umysł zniknął, przeniesiony w jakieś inne dalekie miejsce, skąd nie mógł powrócić. Dzwoniły do drzwi mnóstwo razy, jednak nikt nie odpowiadał. Pytały sąsiadów, ale nic nie wiedzieli. Potem weszły do jakiegoś baru i poszukały numeru przedsiębiorstwa, w którym Bigador pracował. To Liliana z nimi rozmawiała. Powiedzieli, że poprosił o rozliczenie i pożegnał się w zeszłym tygodniu. Wówczas zdecydowała, że należy pójść na policję.

Szukały komisariatu, gubiąc się i klucząc, jak dwie oszalałe pijaczki ścigające na ulicach nieistniejący ślad widma. Kazali im czekać ponad pół godziny. W końcu przyjęła je jakaś kobieta, która bardzo powoli przygotowywała swój komputer, zanim pozwoliła im mówić. To Liliana metodycznie opowiedziała o wszystkim, starając się nadać

jakiś sens przekazywanym informacjom. Sao ograniczała się do potwierdzania od czasu do czasu jej słów, wytrzeszczonymi suchymi oczami wpatrując się w plakat ze zdjęciami rozmaitych przestępców. Funkcjonariuszka wysłuchiwała ich z zainteresowaniem, a następnie powiedziała, że jeszcze nic się nie da zrobić. Dziecko było ze swoim ojcem. Trzeba poczekać, aż upłynie czterdzieści osiem godzin, od kiedy wyszli z domu, żeby zgłosić zaginięcie dziecka. Tak czy inaczej była przekonana, że wrócą wcześniej: nie było możliwości wywiezienia dziecka z kraju bez paszportu. Najprawdopodobniej ojciec zabrał je na weekend w jakieś miejsce, nie uprzedzając o tym. A może poszli do ogrodu zoologicznego i wrócą wieczorem. Uśmiechała się cały czas, gdy do nich mówiła, zaangażowana, ale nie przejęta; starała się je przekonać, że tego rodzaju sytuacje są normalne i że wielu ojców zachowuje się w ten sposób.

Po wyjściu z komisariatu Liliana zabrała przyjaciółkę do siebie do domu. Wstąpiły najpierw do mieszkania Sao, żeby zabrać trochę ubrań i ładowarkę do komórki, kilka razy wybierały numer Bigadora, ale bez rezultatu. Potem wsiadły do taksówki. Zmierzchało. Ludzie szybko szli ulicami, starając się osłonić przed wilgotnym chłodem, przenikającym przez skórę aż do kości. Rzucali cienie na chodniki, kiedy przechodzili pod latarniami lub neonami. Reszta była ciemnością i chaosem. Siedziały obok siebie, w milczeniu, trzymając się za ręce. Od czasu do czasu Liliana mówiła: „Wszystko się ułoży, zobaczysz”, tylko po to, by nie zacząć wykrzykiwać tego, co naprawdę chciała powiedzieć: „Skurwysynu, niech Bóg cię przeklnie i ześle ci złą śmierć”.

Nie zjadły kolacji ani nie spały. Siedzieli we trójkę na sofie, Sao, Liliana i jej narzeczony, udając, że oglądają telewizję, w której raz za razem leciały te same informacje co zwykle: wojny, zabici, huragany, korupcja i wzniosłe słowa

polityków. Na stole, w blasku światła rzucanego przez ekran telewizora, pobłyskiwała komórka, jak bożek, od którego oczekuje się ratunku.

O szóstej rano przyszedł SMS. Rzucili się w stronę telefonu. Pisała Lia: „Andre ma się dobrze. Jest w Angoli. Nie denerwuj się”. Sao nazbyt drżały ręce, by mogła odpisać. Poprosiła Lilianę, żeby zapytała, kiedy syn wróci. Czekali całą wieczność na odpowiedź. Minuty, jedna pod drugą, spadały na nich troje jak uderzenia młotka. W końcu słowa skończyły swój bieg przez Afrykę, od współczującego umysłu i zdenerwowanych palców Lii, i wybuchły w sercu mieszkania w dzielnicy Castelo w Lizbonie: „Nie wiem. Może upłynąć dużo czasu. Przykro mi”. Wtedy Sao wybuchnęła płaczem.

Kiedy piętnaście dni później przyjechałam ją odwiedzić, była w opłakanym stanie. Przez cały ten czas prawie nic nie jadła i nie spała, schudła kilka kilogramów. Miała puste spojrzenie, jakby nie zostało w niej nic z życia, wielkie worki pod oczami wydawały się niebieskawe, niemal przezroczyste, na jej ciemnej skórze. Lekarz dał jej zwolnienie i zapisał bardzo silne środki uspokajające. Oglupiała, prawie cały dzień siedziała na sofie w domu Liliany. Przyjaciółka nie zgodziła się, żeby Sao została sama w wynajmowanym pokoju. Nie płakała, nie użalała się nad sobą, nie buntowała się przeciw przeznaczeniu, nawet przeciw Bigadorowi. Niewiele mówiła. Ja jednak wiedziałam, że myśli o tym, żeby umrzeć. Było tak, jakby jej umysł komunikował się z moim. To było porozumienie bez słów; jej umysł powiedział mojemu, że czuje się wyczerpana, że już nie może wytrzymać dłużej tego życia pełnego upadków i tym razem nie ma siły, żeby ponownie zaczynać, nie ma też żadnego powodu, żeby zaczynać, i chce umrzeć, odejść w ciszy, zamienić się w proch, rozpaść w nicości.

Adwokatka, którą wyszukała jej Liliana, pozbawiła Sao nadziei, jaką przez parę dni żywiła, że wszystko da się rozwiązać na drodze sądowej. Po tym, jak przyszedł SMS od Lii i mogły złożyć zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, policja wkroczyła do mieszkania Bigadora i potwierdziła, że zabrał wszystkie swoje rzeczy. Nie było tam ani jednej koszuli, ani jednej zapomnianej kartki papieru w kącie. Wydawało się oczywiste, że mężczyzna nie zamierza wracać. Pozostawało jednak tajemnicą, jak zdołał wywieźć dziecko z kraju. Sprawdzili samoloty, które wylatywały w tamtych dniach do Luandy. W jednym z nich w towarzystwie jakiejś kobiety podróżowało dziecko w wieku Andre, choć nosiło inne imię. Było prawdopodobne, że chodziło o niego i że miał fałszywy paszport. Bigador wyleciał poprzednim lotem. Policja zakwalifikowała sprawę jako porwanie dziecka. Sao wierzyła, że sędziowie zwrócą jej syna. Pani adwokat od razu jednak wyprowadziła ją z błędu: sprawa jest bardzo trudna - powiedziała. Po pierwsze, dziecko nie ma portugalskiego obywatelstwa. Rodzice także go nie mają. Oboje są cudzoziemcami, a w tego rodzaju sytuacjach wymiar sprawiedliwości stara się umyć ręce. Nawet gdyby zapadł wyrok, że Bigador musi oddać matce dziecko, nikt nie kiwnie nawet palcem, żeby to wyegzekwować. Gdyby wyrok został przekazany władzom Angoli, te także odmówią jego wykonania. W tym kraju w procesach o rozwód czy separację zwyczajowo pozostawia się synów ojcom. Nie warto nawet występować z tym żądaniem przed sądem w Luandzie: nigdy nie przyznają Sao opieki nad synem. Tak - podsumowywała pani adwokat - prawo może zniszczyć człowieka swoim okrutnym brakiem współczucia. Ale tak już jest. I nic się nie da zrobić.

Byłam razem z nią, myślałam o jej cierpieniu i starałam się ją zrozumieć, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.



Przychodziło mi do głowy tylko tyle, by ją objąć i ukołysać, żeby w końcu zasnęła, jakby stała się małym dzieckiem, jakby teraz ona zajmowała tę opuszczoną przestrzeń bezbronności, jaka pozostała po zniknięciu Andre. Ale co powiedzieć kobiecie, której porwano, być może na zawsze, jedyne go syna? Mówiłam banalne słowa, jakie zwykle wygłasza się w takich sytuacjach: że musi być silna, musi zachować nadzieję, że może się zdarzyć, iż Bigador zmieni zdanie, kiedy przekona się, jak trudno opiekować się dzieckiem na co dzień, i że pewnie zwróci jej syna za kilka miesięcy...

Mówiłam to wszystko, ale w głębi duszy byłam przekonana, że nigdy więcej nie zobaczymy Andre. Bigador zatroszczy się o to, by trzymać go z dala od Sao. W swoich relacjach z innymi był zaborczy, a zarazem tchórzliwy. Wznosił mur wokół tych, których kochał, i sam lokował się pośrodku, jako wyłączny strażnik swoich dóbr. Chciał być pewny, że jest jedyny. Nigdy nie pozwoliłby na to, żeby jakiś inny mężczyzna zaistniał w życiu jego syna, żeby go pokochał, żeby go uczył i się z nim bawił. Prawdopodobnie przez długi czas nawet nie myślał, że coś takiego może się zdarzyć. Sao wprawdzie odeszła, ale zapewne uważał, że nawet z daleka pozostaje jego własnością. Dzięki prostoduszności Lii zorganizował jej życie, przekonał ją, żeby wróciła do Lizbony, znalazł pracę i mieszkanie, stał się kimś potrzebnym przy opiece nad dzieckiem. Przywiązał ją do siebie miękkimi sznurami obciążonymi jedwabiem, którymi jednak mógł pociągać, jak chciał, gdy uznał to za stosowne. Nigdy natomiast nie spodziewał się, że nadejdzie taki dzień, w którym ona, matka jego dziecka, się zakocha, że będzie pożądała innego ciała, że stworzy sobie życie bez niego, z własnymi planami i marzeniami, i że w ten sposób uchylą się drzwi twierdzy, której on miał być jedynym panem, a w której rezydowali Sao i Andre, należący do niego.

Byłam pewna, że Bigador nigdy nie zwróci dziecka. Zniknie z nim w najbardziej przegniłych dzielnicach Luandy. Schowa je w dżungli, jeśli będzie to konieczne, pod strażą węży i hien. Choćbyśmy wszyscy, którzy kochali Sao, umówili się i razem pojechali go szukać, nigdy nie zdołamy odnaleźć Andre. Przez lata będzie poddany dominacji ojca, jego normom i irracjonalności, skazany na zapomnienie o matce. Może nawet zacznie jej nie znosić. Mimo to cały czas mówiłam o zaufaniu, o tym, że trzeba czekać, o sądach i nowych traktatach międzynarodowych, rozmaite głupstwa. W końcu zamilkłam. Siedziałam obok niej, zanurzona w tę straszną ciszę pulsującą nieznośnym bólem. Zza okien słysząc było dźwięki ulicy - silniki samochodów, głosy witających się ludzi, śpiew dzieci - ale wszystko to należało do innego świata, do świata tych, którzy mają choćby jeden powód, żeby dalej żyć.

Wróciłam do Madrytu, martwiąc się o przyszłość Sao. Liliana, Zenaida i ja często dzwoniłyśmy do siebie, żeby o niej porozmawiać, wiele razy powtarzałyśmy te same słowa: że się o nią martwimy, że rozumiemy jej ból. Staraliśmy się również podnieść ją na duchu, używając kłamliwego argumentu, że być może Bigador zdecyduje się oddać jej dziecko. Nie wzięłyśmy jednak pod uwagę niesłychanej siły naszej przyjaciółki i jej zadziwiającego sposobu istnienia na tej ziemi, jej zakorzenienia w najgłębszych głębiach i umiejętności wykorzystywania najtrudniej dostępnych kropli wody oraz chwytania się najmniej prawdopodobnej nadziei.

Ledwie trzy tygodnie po mojej wizycie w Lizbonie, w dzień Bożego Narodzenia, ktoś zadzwonił z nieznanego numeru na komórkę Sao. Pośpiesznie odebrała, myśląc przez dziesiątą część sekundy o najrozmaitszych ewentualnościach. Po drugiej stronie słuchawki zabrzmiał słodki i wytęskniony głosik Andre. Rozmawiała z nim przez kilka chwil,

zdenerwowana, rozradowana, szczęśliwa i zrozpaczona. Dziecko cały czas płakało, prosiło, żeby je zabrała, mówiło, że chciałoby być z nią. Potem odezwała się Lia. Powiedziała, że wszystko jest w porządku i że nie musi się o nic martwić. Skorzystała z tego, że Bigador wyszedł na chwilę, i zadzwoniła do Sao. I robi to ponownie, gdy tylko będzie mogła. Teraz musi kończyć. Do widzenia. Do widzenia. W tle rozmowy słychać było płaczącego Andre.

Ten telefon całkowicie odmienił stan ducha Sao. Jakby przywrócił ją do życia i rozniecił w niej ogień, który od tej chwili płonął nieugięcie, nie słabnąc ani na chwilę. Ogień, który ona podsycała swoją odwagą i szlachetnością silnej kobiety.

Następnego dnia przestała brać środki uspokajające i wróciła do pracy, a na początku stycznia wprowadziła się do Luisa. Proponował jej to od momentu zniknięcia dziecka, ale ona nie chciała obciążać go swoim zmartwieniem. Teraz jednak czuła się zdolna do odwzajemnienia, choćby w części, jego troski i miłości. Luis rzadko się odzywał. Był mężczyzną małym i poważnym, pozbawionym błysku. Zwykle nie wzbudzał nadmiernej sympatii przez swój toporny sposób bycia. Był jednak niezwykle dobrym człowiekiem. Nie ulega wątpliwości, że Sao w swojej mądrości właśnie to dostrzegła pod jego nudnym wyglądem. I bardzo ją kochał. Każdego dnia po lekcjach szedł do Liliany. A ponieważ wiedział, że Sao prawie nic nie jadła, przynosił jej to, na co, jak mu się wydawało, mogła mieć ochotę: ciastka, cukierki, tropikalne owoce. Siadał koło niej na sofie i siedział tam w milczeniu aż do późna, poprawiając ćwiczenia lub czytając jakąś książkę. Od czasu do czasu brał ją za rękę i mocno ścisnął, nie mówiąc nic, tylko po to, żeby przypomniawszy sobie, że on jest obok i że nigdy nie zostawi jej samej.

Wszyscy bardzo się ucieszyliśmy z tej nagłej odmiany Sao. Myśleliśmy po prostu, że wzięła się ona stąd, iż mogła porozmawiać z Andre, upewnić, że synek nadal żyje i pamięta o niej, a także z nadziei na następny telefon, który przyrzekła jej Lia. Głos dziecka rozbił jej przygnębienie, przedziurawił przezroczystą bańkę izolacji i smutku, w jakiej żyła od czasu jego porwania. Tak jak zazwyczaj czynią to ludzie, kiedy bliskie osoby przechodzą kryzys, Liliana, Zenaida i ja zaczęliśmy za plecami Sao snuć dla niej plany na przyszłość. Byliśmy tak zadowolone z jej związku z Luisem, iż odważyliśmy się mówić między sobą o tym, że może zechce mieć z nim dziecko. Oczywiście nie oznaczało to, że zapomni o Andre. On zawsze będzie obecny w jej pamięci, każdego dnia będzie myślała o tym drobnym ciałku rosnącym z dala od niej, które nabierze mięśni i obsypie się meszkiem, aż stanie się pełnym energii młodzieńcem, potem dorosłym mężczyzną, naznaczonym wiekiem, choć jego matka nie przestanie wyobrażać go sobie jako dziecko o gładkiej skórze i miękkim ciele, z którym pewnego dnia została tragicznie rozdzielona. Wydawało się nam jednak, że byłoby dobrze dla Sao, gdyby znowu została matką i cieszyła się dziką radością, jaką tylko dzieci nieświadomie nas zarażają.

Tak czy inaczej czuła się w miarę dobrze, o wiele lepiej, niż się spodziewaliśmy. Po paru miesiącach doszła do dawnej wagi. Trudne chwile przeżyła podczas posiedzenia sądu. Było mniej więcej tak, jak zapowiedziała wcześniej pani adwokat, a nawet gorzej: sąd nie zakwalifikował tego czynu jako porwania, tylko zwykłe przywłaszczenie, i orzekł, że Bigador musi zwrócić dziecko. I to wszystko. Sao poczuła się pozbawiona ochrony i opuszczona przez wymiar sprawiedliwości, ale nie mogła nic na to poradzić.

Poza tym prowadziła normalne życie: praca, Luis, spotkania z Lilianą i innymi przyjaciółkami... Często mówiła o

Andre, ale nie w ten sposób, jakby wspominała utracone dziecko. Opowiadała o jego sprawach, powiedzonkach, żartach, gestach i zabawach, jakby przed chwilą się zdarzyły i miały się znowu wydarzyć następnego dnia. Od czasu do czasu, co cztery czy pięć tygodni, rozmawiała z nim przez kilka minut, gdy Lia mogła zadzwonić, tak żeby Bigador się nie dowiedział. Dziecko nadal płakało i prosiło, żeby matka je zabrała. Mimo to nikt, kto nie znał jej historii, nie powiedziałby, że ta kobieta skrywa jakieś cierpienie, choć wiedzieliśmy, ile ją kosztuje ukrywanie smutku, stałe udawanie, że żyje, nie ciągnąc za sobą tej nieobecności ostrej jak sztylet, który w każdym momencie może ją rozerwać. Choć wydawało nam się, że ją znamy, żadne z nas nie zdołało przewidzieć jej planów. Zapomnieliśmy o tym, że Sao, nawet w nieszczęściu, była zdolna do podejmowania niezwyklej decyzji. A kiedy już je podjęła, zawsze wprowadzała w czyn.

Trzeciego października 2007 roku, niemal rok po porwaniu Andre, Luis jak zwykle o wpół do ósmej rano wychodził do szkoły. W tym czasie Sao szykowała się do pracy. Pożegnali się spokojnie: do widzenia, kochanie, do zobaczenia, dobrego dnia. Ona pocałowała go nieco dziwnie jak na tę pośpieszną porę, bardzo długim, może trochę smutnym pocałunkiem, i powiedziała, że go bardzo kocha. Nie zauważył, że ten gest jest sygnałem. Kiedy wrócił do domu o czwartej po południu, na stoliczku przy wejściu znalazł kopertę zaadresowaną na jego nazwisko. Otworzył ją, zmartwiony i zdenerwowany. Sao napisała, że wyjeżdża do Angoli, aby odnaleźć Andre, i prosi, żeby za nią nie jechał, lecz pozwolił jej samej zmierzyć się w tej walce. Nie chciała, by wystawiał się na niebezpieczeństwo. O tej porze była już w samolocie, lecąc nad pustynią Algieru czy puszciami Kamerunu, przemierzając Afrykę ku miejscu, które

przywoływało każde uderzenie jej strapionego serca, dawało siłę woli i niezłomną nadzieję.

Od pierwszego telefonu Lii i Andre, przez dziewięć miesięcy, przygotowywała swój plan w tajemnicy. Wiedziała, że jeśli o nim opowie, nie pozwolimy jej spróbować. Tydzień po porwaniu nadszedł kategoriyczny SMS od Bigadora, jedyny, jaki od niego otrzymała: „Jeśli przyjdzie ci do głowy przyjechać po dziecko, zabiję cię. Przysięgam”. Lia powtarzała to za każdym razem, kiedy rozmawiały: Bigador mówi, że cię zabije, jeśli przyjedziesz. Nie przyjeżdżaj, proszę, jestem pewna, że to zrobi...

Wszyscy wzięliśmy tę groźbę na poważnie, również ona, która znała go lepiej niż inni i wiele wycierpiała z powodu jego brutalności, a także wiedziała, do czego jest zdolny, kiedy opanuje go wściekłość i furia. Po pierwszej rozmowie z Andre zdecydowała jednak, że spróbuje. Nie tylko dlatego, że bez niego umarłaby z żalu, ale przede wszystkim dlatego, że była jego matką, kochała go jak nikogo na świecie i pragnęła, by żył w spokoju, z dala od gwałtowności ojca i przemocy kraju, do którego ten go zabrał, z dala od nędzy i chorób, nękających jak biblijne plagi dzielnic Luandy. Chciała, by wiódł życie spokojne i uczciwe, studiował i uczył się wiary w moc rozumu, a nie pięści, maczet i kałasznikowów, by czuł się odpowiedzialny za konsekwencje swojej bytności na ziemi. Może Bigador ją zabije, ale miała obowiązek spróbować uratować swojego syna z tego świata rumowisk.

Oszczędzała, ile tylko mogła, na opłacenie podróży. Wydawała pieniądze tylko na rzeczy niezbędne. Chodziła nawet na piechotę do pracy, prawie godzinę tam i z powrotem. Luisowi powiedziała, że taki spacer dobrze jej robi, choć naprawdę chodziło o zaoszczędzenie pieniędzy, jakie wydałaby na autobusy. I teraz była w końcu w Luandzie, stawiając czoło temu, co musiało się zdarzyć.

Zamieszkała w pensjonacie w centrum miasta, w pokoiku pełnym karaluchów i moskitów. Z sufitu zwisała blada żółtawa żarówka, która rzucała ogromne cienie, zamieniając insekty w monstra. Na materacu leżały brudne prześcieradła, przykryła je swoim ręcznikiem, tyle ile mogła. W rogu, na chybotliwym stole, niegdyś pomalowanym na niebiesko, stała miednica pełna cuchnącej wody, na jej powierzchni unosiły się dziesiątki martwych owadów. Wylała ją przez okno. Czuła głębokie obrzydzenie, wiedziała jednak, że nie ma innego wyjścia i musi wytrzymać. Nie mogła sobie pozwolić na nic lepszego. Może będzie musiała pozostać w tym miejscu długo, dopóki nie znajdzie Andre, a potem... Nie chciała myśleć o tym, co się zdarzy później. Na szczęście znała na pamięć adres domu doni Fernandy, który ona powtarzała jej setki razy, zawsze wtedy, gdy odczuwała tęsknotę za Angolą, i zaczynała recytować jak w monotonnej, niekończącej się pieśni nazwę swojej ulicy i imiona wszystkich sąsiadów, ulica Katyawała numer 16, dzielnica Viana, Berau, Adolfo, Kuntaka... Staruszka zmarła prawie trzy lata temu, wkrótce po powrocie z Portugalii. Może jednak Bigador, który był właścicielem domu, nadal tam mieszka. Rano, jak tylko wstanie, od razu odszuka ten dom, zadzwoni do drzwi, jakby dzwoniła do bram nieba, i postara się uspokoić uderzenia serca, kiedy będzie tam czekała.

Położyła się w ubraniu, osłaniając ciało moskitierą. Panował piekielny upał, cuchnący i zastarzały, nagromadzony przez lata w tym pokoju niemal pozbawionym powietrza. Z ulicy cały czas dochodziły hałasy: dźwięk klaksonów, warkot silników ciężarówek, które krążąc powoli, rozrywały powietrze, wrzaski pijanych, odgłosy bójek, szczekanie psów, płacz dzieci, spędzających noc ze swoimi wynędzniałymi matkami na pobliskiej ulicy, wśród śmieci i szczurów. Sao nie spała ani sekundy. Czuła sączący się upał jak rozżarzony

metal na swoim ciele, a duchota nie pozwalała jej oddychać. O piątej, gdy słońce nagle wdarło się do jej pokoju, oświetlając wszystkie maleńkie drobiny kurzu unoszące się w powietrzu, wstała, wzięła prysznic we wspólnej łazience i poszukała miejsca, w którym mogłaby się napić kawy.

Pytała, jak najłatwiej dostać się do Viana, w końcu dobiła targu z taksówkarzem. Jechali rozklekotanym samochodem najpierw przez szerokie aleje zabudowane nowymi gmachami, sprawiającymi wrażenie, jakby już zaczynały się rozpadać pod nieznośnym ciężarem słońca i saletry, codziennie наносzonej przez wiatr, z odpryskującymi kawałkami farby i cementu, marmurów i szkieł, które spadały na ziemię, skąd nikt ich nie zbierał. Przejechali następnie przez dzielnice biedy z tysiącami prowizorycznych bud, skleconych z kartonów i zardzewiałej blachy, otoczonych gruzami, wrakami samochodów, puszkami, plastikowymi bidonami, żelastwem i wszelkiego typu odpadkami. Dzieci bawiły się wśród zniszczonych opon, smutne kobiety przypominały czarne kamienie, mężczyźni spali w cieniu stosów śmieci, nie robiąc nic przez cały dzień. Ale Sao ich nie widziała. Jechała pogrążona we własnych myślach, walcząc ze strachem i niepokojem, zmagając się z własną słabością po to, by zjawić się na ulicy Katyavala 16 jak królowa Amazonek, okryta błyszczącym pancerzem ze złota, niezwyciężona i wyniosła.

Dom był brzydki, dwupiętrowy, zbudowany z bloków betonu w szarym kolorze, których nikt nigdy nie pofatygował się pomalować. Z przodu znajdował się niewielki plac, w zamyśle zapewne ogród, czyli kawałek wysuszonej ziemi z rachityczną, pokrytą pyłem akacją, starającą się przetrwać w rogu. Drzwi były otwarte. Widać było pokój o zielonych ścianach, posprzątany i czysty. Skądś dobiegały dźwięki telewizora, pomieszane piskliwymi głosami i towarzysząca im stale



muzyczka. Sao opanowała drżenie rąk i mocno zapukała do drzwi: raz, drugi, trzeci.

Usłyszała kroki i kobiecy głos wołający "już idę!", zaraz potem pojawiła się kobieta okryta tuniką o intensywnych barwach i w turbanie zasłaniającym włosy. Uśmiechnęła się bardzo uprzejmie, dużymi ustami i błyszczącymi oczami, jakby była gotowa obdarzyć gościa wszystkim, czego potrzebuje:

- Dzień dobry. Czy mogę pani w czymś pomóc?

Sao nie była pewna, czy zdoła wydobyć z siebie głos:

- Dzień dobry. Jestem Sao, matka Andre.

Kobieta znieruchomiała na kilka chwil, jakby nagle jakiś czarownik zamienił ją w posąg. W końcu zareagowała.

- Joaquina, jestem żoną brata Bigadora.

- Czy Andre jest tutaj?

- Nie... Mieszkają w innym mieście, w Uige...

Sao poczuła, że coś gęstego rusza się w jej głowie. Nagle wszystko zaczęło wirować. Musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść. Joaquina podtrzymała ją i posadziła na schodku przy wejściu. Potem zniknęła na parę chwil i wróciła ze szklanką koziego mleka. Sao piła powoli, starając się w zmieszaniu uporządkować myśli. Joaquina łagodnie gładziła jej głowę, jakby rozumiała wszystko, co się stało, i jej współczuła:

- Bigador wie, że jesteś tutaj?

- Nie. Powiedział, że mnie zabije, jak przyjadę. Ale muszę spróbować odzyskać Andre...

- To ty mu go nie oddałaś?

- Oddałam?

- Opowiadał, że nie chciałaś dziecka i że mu je oddałaś, by je tutaj przywiózł...

- Boże mój! Nie! Jak mogłabym oddać mu dziecko? Jak mogłabym nie kochać mojego syna?

Joaquina popatrzyła na nią i zrozumiała, że dziewczyna mówi prawdę. Sama wychowała sześcioro dzieci. Mimo trudnych chwil, zmęczenia, nieprzespanych nocy, kłótni i wybryków, kochała je w każdej minucie swojego życia. Czuła się z nich dumna, z ich wykształcenia i posad, z żon, jakie sobie wybrali trzej starsi synowie, i pięknych wnuków, które z czasem się pojawiły, jak gwiazdy spadające z nieba, żeby rozświetlić egzystencję starej kobiety. Była pewna, że Sao jest równie dobrą matką jak ona. Przyjechała z drugiego końca świata, żeby spotkać się ze swoim dzieckiem, sama, ryzykując, że brutalny Bigador ją zabije. Ona sama się go bała. Zawsze oszałamiała ją jego wrzaski i walenie pięścią w ściany. Sao musiała być bardzo odważna, skoro zamierzała stawić mu czoło. Joaquina zdecydowała się pomóc jej we wszystkim, tak jak mogła:

- Posłuchaj. Mój mąż teraz pracuje. Dlaczego nie miałabyś przyjść o czwartej i z nim porozmawiać? Nelson nie jest taki jak jego brat. Lubi słowa i żyje w pokoju ze światem. Szanuje kobiety. Powiem mu, że musimy cię wesprzeć. Dziecko powinno być ze swoją matką, jeśli ona jest dobra. A ty jesteś dobra.

Sao uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd opuściła Lizbonę. W tym momencie chmura migrujących ptaków pojawiła się na niebie. Leciały mocne i niez mordowane, pewne miejsca, do którego zmierzały, jakiegoś spokojnego zakątka świata z łagodnymi temperaturami, z wystarczającą ilością pożywienia i drzewami odpowiednimi do założenia gniazd. Były mądre, cierpliwe i silne, a ich przelot wydał jej się dobrą wróżbą.

Nelson był o dziesięć lat starszy od Bigadora. Podobny do niego - taka sama twarz, takie samo ciało, choć nieco sterane wiekiem, czoło poprzecinane zmarszczkami, ciemne włosy upstrzone siwizną. Nie miał jednak w sobie arogancji brata ani

tęgo nagłego okrucieństwa w spojrzeniu i pogardliwego grymasu warg. Przyjął ją uprzejmie, mocno uściśnął dłoń. Jednocześnie zachowywał pewien dystans, był poważny, jakby nie do końca wierzył w to, co bez cienia wątpliwości opowiedziała mu żona. Weszli do przyjemnego pokoju, pełnego fotografii ich dzieci i wnuków. Było tam również jedno zdjęcie doni Fernandy, nieco wystraszonej widokiem aparatu fotograficznego, za to wystrojonej w najlepsze ubranie. Sao poczuła tęsknotę na jej wspomnienie: gdyby żyła, nie pozwoliłaby na to, co się stało. Po cichu błagała ją, żeby jej pomogła. Joaquina podała kawę i w trójkę usiedli do stołu.

Przeypytywanie jej trwało długo. Nelson musiał być pewny, że wszystko, co Sao mówi, jest prawdą, że w jej słowach nie ma sprzeczności ani niejasności, że potrafi wytrzymać jego spojrzenie, nie spuszczać wzroku. Trudno było jej się tłumaczyć. Nie chciała sprawiać wrażenia, iż nadal żywi urazę do Bigadora i z jakiegoś powodu pragnie się na nim zemścić. Jednocześnie uważała, iż powinni wiedzieć, że zawsze ją źle traktował, że na ogół narzucał swoją wolę i swoje zachcianki przemocą, lekceważąc wszelkie względy, że sprawiał jej ból i poniżał. Musiała ich przekonać, że był zdolny do porwania własnego dziecka, nie zważając na jego cierpienie.

Nelson, słuchając jej, od czasu do czasu potrzasał głową, wydawał różne dźwięki i okrzyki. Upłynęło więcej czasu niż godzina, kiedy uznał, że już wystarczająco dużo usłyszał, i gdy Sao pokazała mu paszport Andre oraz SMS od Bigadora grożącego jej śmiercią, który zachowała w swojej komórce. Wstał i poszedł usiąść w kucki pod akacją w ogrodzie, patrząc przed siebie. Sao się spieszyła, ale Joaquina uśmiechała się dzielnie, jakby wszystko było w porządku.

- On jest szefem rodziny - powiedziała. - Musi się zastanowić. Wielka jest bowiem jego odpowiedzialność.

Wszyscy robią to, co zdecyduje szef, ale tylko pod warunkiem, że podejmuje trafne i sprawiedliwe decyzje. Jeśli nie, rodzina w końcu się dzieli.

Sao czuła, jak jej ciało drży. Chciała wierzyć, że ten człowiek ją zrozumiał i że może jej zwrócić Andre. Musiała jednak poczekać. Musiała uzbroić się w cierpliwość, by nie zostać startą na proch, zamienioną w garść atomów bez znaczenia. Przez chwilę udawała, że ogląda z Joaquina fotografie jej dzieci, i jakby z oddali słuchała jej opowieści o życiu każdego z nich. Potem zobaczyły przez okno, jak Nelson wstaje i wraca do domu. Wydawał się zmartwiony. Stał po drugiej stronie stołu i utkwiał w niej wzrok.

- Zwołam spotkanie na niedzielę - oznajmił. - Jeśli wszystko, co mi opowiedziałaś, jest prawdą, mój brat nie postępował dobrze. Chcę go jednak wysłuchać, a także starszych z rodziny. Możesz być spokojna: nie powiem mu nic do niedzieli rano, żeby nie miał czasu cię poszukać. Przyjdź po obiedzie.

\*

Sao spędziła dni dzielące ją od niedzieli na plaży. Nie myślała o niczym, tylko obserwowała fale uderzające o piasek, raz po raz, raz po raz. Zbliżały się groźne i ryczące. Uderzały o brzeg. Rozbijały się, tworząc brudną pianę, i wracały do morza pokonane, proszące, wlokąc się jak zranione zwierzęta. Raz za razem, raz za razem. Mewy skrzeczały, polując na ryby. Słońce prażyło ziemię bez litości. Na morskim deptaku bez przerwy dźwięczały klaksony. Czas był jak niekończący się tunel. Wieczność dzieliła ją od niedzielnego obiadu, całe pięćdziesiąt sześć godzin. Trzy tysiące trzysta sześćdziesiąt minut. Dwieście tysięcy sześćset sekund, jedna po drugiej, każda z nich o własnym ponadludzkim ciężarze, bosko powolne. Przeróżający czas bogów.

Od czasu do czasu podchodził do niej jakiś mężczyzna i coś do niej mówił. Nie odpowiadała. Ciągłe patrzyła przed siebie. Musieli brać ją za wariatkę. Niektórzy z nich przysuwali się i potrząsali nią albo wybuchali śmiechem lub rzucali w nią piaskiem. Ona jednak trwała niewzruszona, spokojna i milcząca, patrząc na rozbijające się fale i mewy nurkujące w morzu. Potem odchodzili, mówiąc głośno do siebie. Na plaży siedzi jakaś wariatka. Na coś czeka, na coś bardzo ważnego, jak życie lub śmierć.

O jedenastej rano w niedzielę wsiadła do taksówki. Kiedy dotarła do domu, przez okno zobaczyła Joaquinę podającą do stołu, przy którym siedziało parę osób. Kobieta popatrzyła na nią, ale nic nie powiedziała. Sao usiadła pod akacją. Siedziała tam dłuższą chwilę, w końcu Joaquina po nią wyszła i przyprowadziła do domu. Bigador jeszcze nie przyjechał. Był już jego brat Gil z żoną oraz siostra Azea z mężem. Mężczyźni zachowywali się poważnie. Kobiety natomiast patrzyły i uśmiechały się do niej, jakby były po jej stronie, jakby mocno wierzyły w to, iż rola matki jest świętym nakazem jednoczącym wszystkie kobiety świata. Zaprosiły ją, żeby usiadła. Podały kawę, której nie była w stanie wypić. Potem siedziały w milczeniu, czekając. Od czasu do czasu ktoś pytał o któreś z dzieci. Matka lub ojciec opowiadali najświeższe historyjki. Wszyscy wybuchali śmiechem. Potem znowu zapadała cisza, słychać było tylko przetykanie kawy i gdakanie kur na podwórku za domem.

Upłynęło ponad pół godziny, zanim pojawił się Bigador. Przyjechał z Lią. Sao ledwo na niego spojrzała. Patrzyła tylko na nią. Postarzała się i schudła. Wydawała się mniejsza i słabsza, przedwcześnie postarzała. Miała czujne, wytrzeszczone oczy, jakby nie mogła zamknąć powiek, jakby żyła, stale obserwując koszmar. Przywitali się z rodziną. Bigador nie podszedł do Sao. Lia również, choć przez chwilę

popatrzyła na nią bezbronnym wzrokiem. Potem spuściła głowę. Gdy tylko usiedli, Nelson zabrał głos i zwrócił się do brata:

- Matka Andre mówi, że wywozłeś dziecko bez jej zgody.

- Nieprawda. Sama mi go oddała.

Sao podniosła głos:

- Nigdy nie oddałabym swojego syna!

Nelson przerwał jej gestem:

- Ona ma paszport i twój SMS, że ją zabijesz. Musisz powiedzieć prawdę.

Przeypytywali go prawie przez dwie godziny. Kłamał ile wlezie, w końcu, osaczony pytaniami, zaczął się poddawać. Opowiedział, co się wydarzyło, usprawiedliwiał się, starał się ich przekonać, wreszcie zabrakło mu argumentów. Wystawiony na wstyd swoich kłamstw, obrzucił Sao obelgami, krzyczał i pluł na nią, dziwkę, która pójdzie z każdym mężczyzną, żalną biedaczkę, która nigdy nie będzie potrafiła utrzymać swojego syna... Siedzące do tej pory w milczeniu kobiety zaczęły jej bronić: nawet najbiedniejsze matki potrafią wychować swoje dzieci, choćby dona Fernanda. Sao, z wysoko uniesioną głową, udawała, że nie czuje się tak, jakby za chwilę miała umrzeć, dumna i wyniosła jak Amazonka w złotej zbroi, nie dawała po sobie poznać, że reszta jej życia zależy od jednego słowa i że to strasznie okrutne. Dwa życia, jej i jej syna, zawieszzone na cieniutkiej nitce, tak delikatnej jak granica między oddechem a jego brakiem. Krew pulsowała mocno w jej głowie.

Gdy mężczyźni skończyli przeypytywać Bigadora, wysłali go do drugiego pokoju. Sami zaś wyszli i usiedli pod akacją. Sao została z kobietami. Siedziała w milczeniu w ogromnej przezroczystej bańce smutku i nadziei. One nic nie mówiły, ale się do niej uśmiechały i dawały znaki, że wszystko idzie

dobrze. Tylko Lia siedziała ze spuszczoną głową, poważna, zanurzona w głębokiej studni. Przez okno widać było diskutujących mężczyzn - podnosili ramiona, wskazywali na siebie nawzajem zamaszystymi gestami rąk. Ich słowa, wypowiedane w języku kimbundu, brzmiały w powietrzu jak strzelanie z bata. Nagle w całym domu zapanowała wielka cisza. Zamilkli. Wstali i wyciągnęli do siebie ręce. W końcu weszli poważni, sztywni, jak trybunał bogów orzekających, co jest słuszne, a co nie. Zawołali Bigadora. Wszyscy usiedli z wyjątkiem Nelsona, który stojąc, zwrócił się do brata:

- To, co uczyniłeś, jest złe. Nie wolno kraść dziecka matce. Teraz musisz za to zapłacić. Zdecydowaliśmy, że masz jej zwrócić dziecko.

Sao poczuła, jakby uderzył w nią piorun, jakby się właśnie urodziła, była w raju i miała w zasięgu ręki wszystkie niewyobrażalne przyjemności. Kobiety westchnęły z ulgą i spojrzały na Bigadora. Chciał coś powiedzieć. Otworzył usta i naprężył całe ciało. Chciał na nich krzyczeć, że się mylą, że jego syn powinien zostać prawdziwym Kimbundu, prawdziwym mężczyzną, a nie dzieciakiem wychowanym przez bezużyteczną matkę i białego słabego ojczyma, i że nie zamierza go oddawać. Ale nagle się zatrzymał: strach przed wygnaniem, izolacją z grupy, ostatecznym oderwaniem od własnych korzeni okazał się bardziej potężny niż jego chęć dalszej walki. Spojrzał na nią pełen nienawiści. Ona potrafiła jednak dostrzec, że za tą nienawiścią skrywa się rezygnacja, postanowienie, by zapomnieć, że kiedyś miał syna, który teraz będzie żył w Europie, z dala od niego na zawsze, nieistniejący. Zrozumiała, że stanie się to, czego sobie nigdy nie życzyła, a czemu nie mogła już zapobiec: Andre będzie dorastał bez swojego ojca. I zrozumiała, że w okrutnym mechanizmie życia to była ta wysoka cena, jaką musiała zapłacić za swoje zwycięstwo.

Bigador wyszedł, trzaskając drzwiami - uderzenie zabrzmiało w całym domu, wymazując swoim echem całą przeszłość. Wówczas posłali Lię po Andre, którego pilnowali sąsiedzi. Czekać na niego, Sao wstała i podeszła do okna. Zapadła już noc. Ponad dachami właśnie ukazał się księżyc, ogromny, pomarańczowy, z niewinną miną obserwujący ziemię. Piękna świetlista kula wśród ciemności nieboskłonu. Nieulękła.



## Podziękowania

Chciałabym podziękować moim przyjaciółkom pochodzącym z Wysp Zielonego Przylądka, których wspomnienia pozwoliły mi napisać tę powieść: Aunolii Neves Delgado, Benvindzie da Cruz Gomes, Natercii Lopes Miranda i Zenaidzie Duarte Soares, a przede wszystkim Marii da Conceicao Monteiro Soares, Sao, za to, że opowiedziała mi znaczną część swego życia. Niech wszystkie te słowa pomogą odpędzić jej ból, a ona, Andre i mała Beatriz niech kontynuują swoją drogę przez świat w spokoju.